

MARIA KRÜGER

PO PROSTU

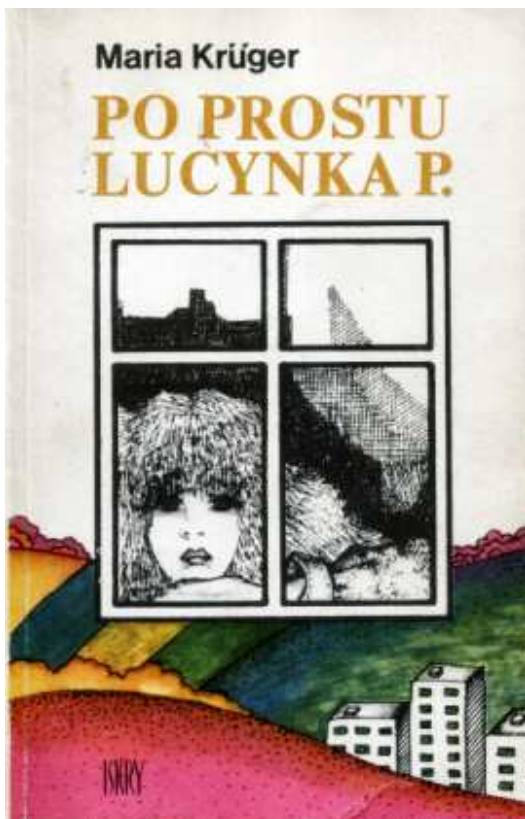
LUCYNKA P.



Siedmioróg

Maria Krüger

Po prostu Lucynka P.



Wygłupiamy się z tą dojrzałością okropnie. Szalejemy. Biegamy po kawiarniach, po sklepach z ciuchami, cieszymy się, regulujemy sprawy z nauczycielami na plus i na minus i projektujemy bale, które mają być czymś, czego jeszcze nie było. Żartujemy ze wszystkiego, szargamy wszystkie świętości, świat do nas należy i nie chcemy, za nic nie chcemy myśleć o tym, o czym będziemy myśleć za dwa tygodnie, za miesiąc, za pół roku... Pozwólcie nam na to... Bo niektórzy z nas trochę się boją życia i dorosłości – takiej zaplanowanej... Chociaż są i tacy, którzy już mają wszystko posegregowane i godzą się z tym... Ale nawet oni przez ten krótki czas pomaturalnego szaleństwa nie chcą się nad niczym zastanawiać...

Świadectwa maturalne wręcza nam dyrektor. Uroczyście odczytuje nazwiska, a my podchodzimy, aby odebrać cenny dokument wraz z krzepiącym, przyjacielskim uściskiem dłoni. „Kochana, dzielna, wspaniała młodzież” – jak zapewniał wszystkich obecnych. Dyrektor mówił to z zapalem i prawie przekonywająco.

Podchodzimy więc do stołu, za którym siedzą nasi nauczyciele i uśmiechają się do nas życzliwie, a może tylko z wyrozumiałością, z pobłażliwością tych, którzy już wszystko albo niemal wszystko wiedzą o życiu ludzi naprawdę dojrzałych. Chociaż, czy ja wiem?... Czy ludzie dorosli to zawsze ludzie dojrzały? I czy chcą tego? Bo ja nie jestem pewna...

Podchodzimy więc do stołu, aby odebrać zaświadczenia o dojrzałości, a przez to utracić nasze urocze prawo do tego wszystkiego, do czego nam już nie wolno wrócić. Nie wypada wrócić.

Alter Alojzy – włożył ciemny, granatowy garnitur i niebieski krawat. Na czole błyszczą krople potu. Nie bój się, Lojza! Jakoś to w tym życiu będzie!...

Brzeska Urszula – płynie w stronę stołu w anielsko błękitnej sukience w kwiatki, jasne włosięta rozczesane i roztrzepane niczym aureola, jasne, okrągłe oczęta szeroko rozwarte! Jest trochę wystraszona, bo przecież zupełnie nie wiadomo, jakie jest życie bezmyślnych, dorosłych aniołków. Jej mama twierdzi, że anioły Urszulopodobne szybko wychodzą za mąż. Zupełnie możliwe...

Cicha Alicja – jeśli Urszula jest aniołkiem, to Alicja jest szatanem z horror-filmu. Rasowym, ale niedrogim wampem w czarnej sukni z czerwonym paskiem i nastroszonymi czarnymi lokami, umocnionymi lakierem firmy „Pollena”. Boję się o jej dalsze losy, bowiem mam głębokie przekonanie, że jest to coś zupełnie demode. A ona, biedactwo, jest taka ufna, tak wierzy w czar demonów... Odbierając świadectwo, patrzy przejmująco na dyrektora, który jest jeszcze dość przystojny, mimo że ma chyba koło czterdziestki...

Po niej zbliża się do stołu Robert Dybek. Ale dlaczego w czarnym garniturze? Liczy, że mu się przyda do ślubu?

A teraz Fistacki Daniel. Hej! Tu dopiero jest na co patrzeć. Same ciuchy zagraniczne na nim. I nie wiadomo, czy to szeryf, czy mafioso... Niektóre dziewczuchy szaleją za tym Danielem Bo to nie dość, że łachy nosi takie więcej supermodne, ale i samochód posiada... Ach, milcz serce...

Za Danielem przydreptała do stołu, nakrytego zielonym suknem, Hyrko Beata, czyli nasz klasowy brzdąc oraz malentas. Co prawda Beśka Kasperska twierdzi, że Beata ma nogi tylko do kolan, ale być może Beśka przesadza...

Za to mucha nie siada, jak wspaniale wygląda Jaworska Joanna – w eleganckiej biało-czarnej sukience, którą sobie sama uszyła. I uczesana gładko, i cudownie, i figura jak u modelki... I w dodatku w ogóle to fajna dziewczyna dla wszystkich miła, koleżeńska, chociaż Beśka twierdzi, że nie jest trudno być dobrą, jeśli się jest tak ładną. Może Beśka ma rację?

Ale Beśka też jest fajna. I niegłupia, i niebrzydka. To ona szczypie mnie w łokieć i szepce: „Uważaj! Twoja kolej!”

– Prandota Lucyna! – odczytuje dyrektor.

Tak, Lucyna Prandota to ja! Więc z kolei wszyscy patrzą na mnie i pewnie trochę krytykują, że ubrałam się w białą bluzkę i granatową spódniczkę. Po raz ostatni włożyłam szkolny galowy mundur! Tak sobie właśnie postanowiłam. Ale podobno wyglądało to zupełnie nieźle. Beśka i Kinga też wystąpiły w mundurkach. Może to sentymentalne i staroświeckie, ale niech tam sobie gadają. Tak chciałyśmy pożegnać szkolne lata. A teraz zacznie się nowe życie.

Jest mi tylko trochę łyso, że występuję jako samotna sierota, bo na sali siedzą całe klany rodzinne, aby swoją obecnością uczcić i uświetnić dzień tak uroczysty, a mój tata, jak to tata – spóźnia się po swojemu. A obiecywał, że się wyrwie wcześniej, że go któryś z kolegów zastąpi w redakcji i że nie nawali.

„Córeńko! – zapewniał – możesz liczyć na mnie! Przylecę, żeby tam nie wiem co i zabiorę cię na szykowną wyzerkę do Bristolu.”

Tak mówił mój tata. A do Witka, mojego starszego o trzy lata braciszka, oczywiście nie mogę mieć żadnej pretensji, bo go w ogóle nie ma w kraju, gdyż „bawi w zagranicznej podróży”. I to jakiej! Pojechał z grupą studentów z jego wydziału (bo on jest geografem) aż do Meksyku! Nawet nie wiem, czy doszedł już do niego list, w którym pisałam mu o mojej maturze. A nawet jeśli doszedł, to nie mam pewności, czy jego treść dotarła do przepelnionego wiedzą mózgu Witka, który pasjonuje się tylko tą swoją geografią i chyba niczym więcej. Nawet za dziewczynami nie lata, tylko uczy się i uczy.

Tymczasem stoję, biedulka, na uboczu, trzymając w dłoni urzędowy dokument i zastanawiam się, czy mam tak tkwić dalej, czy też z podniesioną dumnie głową, by nikt nie dostrzegł, że mi łyso – po prostu iść do domu. Zrobiłam nawet krok w stronę wyjścia, kiedy w tym momencie zbliża się do mnie Daniel. I oczywiście – jak to on – autorytatywnie oświadcza, że zabiera mnie do siebie na uroczysty obiad. Ze zgrozą widzę, że sunie również w moją stronę jego mama. Ubiera się też, jak Daniel, bardzo modnie i raczej młodzieżowo. Potrząsa grzywą rudych loków, które spływają jej na ramiona, i wykrzykuje dziarsko:

– Hej! Cześć, Lucynko! Idziesz z nami! Zabieramy cię! Daniel przepada za tobą! Wyglądasz cholernie seksownie!

E, tam! Opowiadanie! Zresztą nie zależy mi na tym, żeby być seksbombą, bo to nie w moim typie. Gorsze natomiast jest to, że nie przepadam za Danielem. To znaczy owszem, lubię, kiedy zaprasza mnie na lody albo na kawę. Ale on jest okropny snob i to mnie denerwuje. Nie, teraz nie mam ochoty iść do nich na obiad. Zaczynam się więc wymawiać, że nie mogę, że już jestem umówiona i próbuję wtrącić parę słów na ten temat w przerwach, kiedy madame Fistacka

milknie, aby zaczerpnąć tchu, aż naraz na szczęście dostrzegam mojego tatę. Stoi na progu sali zadyszany, bo na pewno biegł po swojemu jak szalony. Zawsze zresztą biegnie, bo zawsze jest spóźniony. Kochane moje ojczyisko! Macham ręką w jego stronę. No, dostrzegł mnie wreszcie i teraz, wymachując wiązanką kwiatów, niewątpliwie dla mnie przeznaczoną, usiłuje przedostać się przez cały ten tłum maturzystów i ich rodzin, nauczycieli i uczniów. Niestety w tejże prawie samej chwili dostrzega go i mama Daniela i natychmiast woła radośnie:

– Ach! Pan redaktor! Jakże się cieszę!

Po czym oświadcza, że możliwość poznania mojego ojca była zawsze jej marzeniem.

Nie mam teraz innego wyjścia i zła jak sto diabełców przedstawiam jej tatę, podczas kiedy Daniel tym swoim chamsko–protekcjonalnym tonem oświadcza, że chyba słyszał parę razy mojego ojca na antenie. Chyba słyszał! Dobrze sobie! Jestem pewna, że wszyscy znają głos mojego ojca. Ten piękny głos o ciepłym, głębokim brzmieniu! Jest bądź co bądź znanym sprawozdawcą i relacjonuje nieraz bardzo ważne mecze. Niestety raczej krajowe, bo naprawdę przez jakieś czarne intrygi nie ma zbyt wielu wyjazdów na spotkania zagraniczne. Ale wierzymy obydwójce ja i tata – że w końcu poznają się na nim. „Jeszcze będziesz sprawozdawca na olimpiadzie” – mówię mu zawsze. Żeby więc jakoś pouczyć Daniela i poprawić jego maniery, niby niechący kopnęłam go w kostkę. Zawył z lekka i mam nadzieję, że dotarło do niego to skromne pouczenie i twórcza krytyka jego prostactwa. Ja zaś, jako dobrze wychowana młoda osoba, przeprosiłam go uprzejmie i pocałowałam ojca, żeby mu podziękować za bukiet ogromny i biały, jak dla panny młodej. Tata w odpowiedzi uśmiecha się do mnie po swojemu – tak jakoś nieśmiało i z chłopięcym wdziękiem.

Tymczasem pani Fistacka, która usiłuje wyglądać jak płomień Nowego Orleanu, a w teatrze nosi pseudo Hanna Bonaparte – zaczyna szaleć.

– A więc jedzicie do nas, moi państwo, obydwójce! – woła głosem Balladyny Kirkorowej. – Jedzicie! Zabieramy was do naszego wozu! To już zdecydowane, prawda, panie redaktorze?

Nie daj Boże, aby mój taki zawsze grzeczny dla dam tatko miał ulec namowom tej wieloletniej czarodziejki, więc patrzę na niego przejmująco i nieznacznym ruchem głowy daję mu znać, aby nie dał się zagadać. No, na szczęście ojciec zdobywa się wreszcie na tyle odwagi, aby odmówić i podziękować za zaproszenie.

– Jesteśmy już umówieni w Bristolu – tłumaczy, nie wyjaśniając oczywiście, że umówieni jesteśmy tylko my, we dwójkę.

– A więc innym razem! Koniecznie innym razem, proszę mi to obiecać – grucha teraz ozdoba sceny polskiej, podczas kiedy Daniel patrzy na nas ponuro. Być może boli go jeszcze to kopnięcie w kostkę. Żal mi się go nawet zrobiło i mam ochotę poradzić mu, aby sobie położył kompres.

Tymczasem mój tatko spisuje się na medal – kończy zręcznie rozmowę z aktrissą i dodaje, że chce jeszcze zamienić parę słów z dyrektorem, podziękować mu za jego pedagogiczny trud. Również chciałby podziękować naszej wychowawczyni, która zresztą zawsze była bardzo fajna. Bo muszę wyjaśnić, że mój tato jest okropnie dobrze wychowany i zawsze zachowuje się nienagannie. Są jednak i tacy, którzy mają mu to za złe. Ale jest ich coraz mniej, bo od niejakiego czasu zaczęła się rozprzestrzeniać wśród nas moda retro, która też w skromnym zakresie obejmuje i dobre maniery. Co prawda na razie dotyczy to subtelnych rozważań na temat wypluwania pestek z kompotu, imienin pani kierowniczkii lub właściwego używania noża i widelca – niemniej klimat jest sprzyjający.

Nie jest to jednak najważniejsze.

Najważniejsze jest to, że nareszcie wychodzimy z tłumu i rozgwaru. Oddychamy głęboko, aby dotlenić organizm i ojciec wskazując eleganckim gestem naszego zajeżdżonego fiacika, mówi:

– Jaśnie pani! Powóz zajechał.

Niestety, nasz fiat jest krnąbrny i ledwie władowaliśmy się, zaczął prychać, podskakiwać i zupełnie nie mógł ruszyć z miejsca. Znieważaliśmy więc staruszka przez czas niejaki, aż wreszcie podskoczył i ruszył z kopyta. Ucieszyło to mnie podwójnie – po pierwsze, że w ogóle jechaliśmy, a po drugie kącikiem oka dostrzegłam Daniela i jego ozdobną mamę, jak opuszczając szkolne mury skierowali się w stronę swojej nowej renówki. Zatem nie dostrzegli naszych

zmagań z fiacikiem. Żałowałam za to, że nie widzą, jak z nieskrępowaną swobodą wkraczamy do Bristolu. Zupełnie jakbyśmy tam bywali co dzień.

Oczywiście obiad w tej knajpie jest imprezą rujnującą, ale przecież dobrze widzę, że ojciec ma ochotę szarpnąć się. Wszystko jest więc teraz tak, jak zaplanował: podaje mi rękę przy wysiadaniu z fiacika, jakbym była królową angielską, potem ujmuję mnie pod ramię, a ja krocę z bukietem białych kwiatów i z dumnie podniesioną głową. To nasze wejście do sali restauracyjnej najwidoczniej robi silne wrażenie, bo przy wielu stolikach twarze odwracają się w naszą stronę. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że wyglądamy dość niezwykle: tata – taki przystojny, smukły, wysoki i przy nim ja – niezbyt wysoka dziewczynina w białej szkolnej bluzce i granatowej spódnicy, z tymi wspaniałymi kwiatami w ręku.

– Obawiam się, że biorą mnie za starszego pana, który podrywa licealistki – szeptem tata bardzo z siebie zadowolony.

– Wcale nie wyglądasz na starszego pana – odpowiadam mu również szeptem. Bo rzeczywiście wygląda jeszcze zupełnie młodo. Najwyżej na jakieś trzydzieści sześć lat. A ma już czterdzieści jeden. I pomyśleć, że kiedy urodził się Witek, ojciec miał zaledwie dwadzieścia lat. A mama była rówieśnicą ojca. Jakby teraz wyglądała, gdyby żyła? Pewnie byłaby jeszcze bardzo ładna, taka, jak na tych fotografiach, które po niej pozostały. Pamiętam ją doskonale. Miałam osiem lat, kiedy umarła. Ona i to dziecko, które urodziła. Moją małą siostrę. Gdyby tak się nie stało – byłibyśmy pewnie tu dziś wszyscy razem na uroczystym obiedzie. Mama, tata, Witek, ja i ta najmłodsza z nas. Byłaby to szczęśliwa rodzina. A tak to jest nas tylko troje na świecie. W dodatku Witek siedzi teraz w Meksyku. I w ogóle chyba nic go poza jego geografiami nie interesuje...

Dzisiaj jednak ja i ojciec postanowiliśmy szampańsko spędzić czas. Rozglądamy się więc za wolnym stolikiem, ale wygląda na to, że wszystkie są zajęte.

– Czy szanowni państwo mają zamówiony stoliczek? – zapytuje nas odgórny tonem gruby, rudy kelner.

– Czy zamówiliśmy? – powtarza mój biedny tatko i, widząc błysk pogardy w oczach kelnera, wyciąga pięćdziesiąt złotych, wtykając je

niedbałym ruchem w garść rudego prześladowcy, po czym dodaje odzyskując kontenans. – Zdaje mi się, że ktoś z moich kolegów z redakcji telefonował do was, aby was uprzedzić, że przyjdę...

Teraz głos opasłego przedstawiciela gastronomii nabiera słodyczy, a ruchy stają się zwinne, lecz zarazem pełne godności.

– Oto stoliczek dla państwa! Wygodny, niezbyt na uboczu, owszem, miejsce reprezentacyjne, przeciągu nie ma...

Odtańcowuje wokół nas coś w rodzaju solówki z Jeziora Łabędziego, odsuwa i przysuwa krzesła i wyrwa mi z rąk mój piękny bukiet, aby go wpakować do wazonu z wodą. Z kolei wtyka nam w ręce karty z jadłospisem i zaczyna tajemniczo a namiętnie szeptać ojcui do ucha, że jeśli chodzi o przekąski, to polecałby łososia. Właśnie dostali świeży transport...

– Masz, Lucynko, ochotę na łososia? – pyta tato takim tonem, jakbyśmy jadaliby tę rybkę co najmniej dwa razy dziennie i właściwie istnieje tylko obawa, czy aby łosoś się nam nie przejadł.

Ale najwidoczniej nie przejadł się, bo w dalszym przebiegu sprawy kelner przynosi nam tę skromną przekąskę, po czym czekamy na chateaubriand z polędwicy.

– A co macie dobrego z win? – mówi tato tonem lorda, na którego przed Bristolem czeka najnowszy model mercedesa. I naradza się z kelnerem, który obiecuje przynieść coś szczególnie doskonałego. Jednak rzuciwszy okiem na przyniesioną butelkę tato stwierdza z naganą:

– To jest zbyt mocne dla damy... Widzę, że nieświetny macie wybór...

Po tej miażdżącej uwadze grubas podreptał kaczym krokiem w głąb sali, a ja jęknęłam, że przecież dla mnie i tak nie warto podawać jakiegoś dobrego wina, bo się nie znam, i że najzupełniej wystarczy mi coca-cola, byle była zimna...

– O nie, hrabino! – mruknął tato. – Dobrym szlachetnym winem wypijemy toast za twoją młodość i w ogóle za inne rzeczy...

Ach! Łosoś, chateaubriand, melba na deser, wino, mój biały bukiet na stoliku! Tato podnosi napełniony kieliszek:

– Pijmy, Lucynko!

– Za olimpiadę dla ciebie! – mówię, bo wiem, że to jest jego jeszcze ciągle nie spełnione marzenie, aby być sprawozdawcą z olimpiady. Nigdy o tym nie mówi, ale ja to wiem na pewno. Teraz jednak porusza przecząco głową.

– Nie, nie! Najpierw za twoją młodość, za twoje szczęście, żeby ci się wszystko w życiu udało! I żebyś się dostała na te twoje studia!

Trzymam podniesiony kieliszek i upijam łyk wina. Ale pyszne! Więc jeszcze jeden łyk. I tak pijemy za mój udany egzamin. Boże święty, jakże ja się chwilami boję! Co prawda moja teka z rysunkami, którą złożyłam w akademii, została przyjęta bez specjalnych oporów. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba jeszcze zdać! Odpowiedzieć na pytania. Na pewno będą trudne i zaskakujące. Jeśli nie zdam teraz, będę próbować za rok. Ja wiem, że nie mam zbyt wielkiego talentu, nigdy nie będę geniuszem. Ale nie o to chodzi. Ja po prostu chcę pracować przy konserwacji zabytków. Wiem, że będę ogromnie lubiła swoją pracę. A czy to nie jest najważniejsze?

Wychylamy więc kieliszki do dna – za egzamin i za olimpiadę.

– Zobaczysz, że pojedziesz, tatku – mówię z przekonaniem. I wszystko wydaje się w tej chwili łatwe i osiągalne. Od razu więc planujemy kilka wycieczek krajowych i zagranicznych, malowanie mieszkania, nowy samochód, a także zakupienie płaszcza dla ojca. Ma to być elegancki, ciepły i lekki płaszcz z prawdziwej wielbłądziej wełny. Mówiliśmy właśnie o tym, że płaszcz powinien mieć duże, nakładane kieszenie, kiedy tato jęknął nagle ze zgrozą.

– Lucynko, chyba mam sklerozę! Zupełnie zapomniałem!

– Co się stało? – zaniepokoiłam się. Ale tato już sięga do kieszeni i wyciąga z niej małe pudełeczko.

– To nic takiego... – mruczy skromnie – ale może ci się spodoba. – Uśmiecha się przy tym nieśmiało, niepewnie, tak, jak to on potrafi.

– Rety! – jęczę teraz, po otwarciu pudełka. W jego wnętrzu spoczywa pierścionek z dużym turkusem, otoczonym drobnymi perełkami.

– Jest staroświecki, ale ty, zdaje mi się, lubisz takie rzeczy... Znalazłem go w Desie.

– Jest najcudowniejszy na świecie! – zapewniam z niekłamanym zachwytem mego lekkomyślnego ojca i wyobrażam sobie, ile za to

cudo wybulił. Takich rzeczy nie rozdają w Desach za darmo! Nie mam jednak serca, aby robić mu wyrzuty, że szasta groszem. Przysięgnę, że wziął w tym celu jakąś pożyczkę. Ale jest w tej chwili taki szczęśliwy i dumny!

– Moja matka miała kiedyś podobny – dodaje ni to w formie wyjaśnienia, ni usprawiedliwienia tego zakupu.

Mama mojego taty. To znaczy moja babka. Biedny tato. Przecież tak naprawdę to jakby jej wcale nie miał! Nie cierpię jej! Zwiąła w trzydziestym dziewiątym roku, kiedy zaczęła się wojna. Zwiąła z Warszawy, a potem z Polski, z jakimś facetem z MSZ–etu, a mojego tatę zostawiła tu z ciotką. Dziewięcioletnie dziecko! Nie cierpię jej. Siedzi do dziś dnia w tym swoim Londynie i tęskni za ojczyzną. Ale nie sama, nie sama! Razem z tym swoim drugim mężem i córką, która się tam urodziła. A ojciec taty zginął we wrześniu, gdzieś pod Kutnem.

Teraz, kiedy ojciec mówi o tym pierścionku, nie chcę, żeby zaczął cokolwiek wspominać, bo zawsze są te wspomnienia zaprawione goryczą i rozczarowaniem. Dziś ma być dzień pogodny, dzień bez trosk, nasza mała rodzinna uroczystość.

Kończę właśnie ogromną porcję melby, tata zapala pierwszego papierosa i zaczynamy zastanawiać się nad powrotem do domu. A jest się nad czym zastanowić, bo toast spełniony winem wyklucza teraz prowadzenie samochodu. Więc co zrobić z fiacina? Rozważamy wszystkie możliwości, kiedy tata urywa w pół słowa i milknie, czymś zaskoczony. Idę za jego wzrokiem i też już jestem zafascynowana widokiem czarnowłosej dziewczyny w sensacyjnej zielonej sukni. Mijając nasz stolik dziewczyna, której towarzyszy jakiś starsza wy pan (chyba cudzoziemiec z gatunku „Ali Baba i czterdziestu rozbójników”), więc dziewczyna uśmiecha się do ojca i pozdrawia go ruchem ręki:

– Ahoj!

– Ahoj! – odpowiada dość blado mój tata. Chcę dowiedzieć się, kto to jest – dziennikarka czy ktoś ze sportu? – ale tata niechętnie wyjaśnia, że raczej ani jedno, ani drugie i korzystając z tego, że kelner przyniósł nam rachunek, usiłuje uregulować należność. Używając określenia „usiłuje”, mam na myśli nerwowe przeszukiwanie portfela i portmonetki, albowiem kwota, na którą oceniono nasze gastronomiczne szaleństwo, wydaje mi się nielicha. Ale wreszcie oddecham z ulgą –

starczyło! Starczyło nawet na napiwek dla grubego rudzielca. Zabieram więc moje białe kwiaty i wychodzimy.

– To co teraz robimy? – pyta melancholijnie tata, kiedy podeszliśmy do potulnie na nas czekającego staruszka fiata.

– Nie możesz prowadzić w upojeniu alkoholowym – mówię srogo. – Idziemy piechotą.

– Ale co wobec tego zrobimy z samochodem?

– Czy sądzisz, że znajdzie się ktoś, kto chciałby go ukraść? – zauważam z powątpiewaniem.

– Nie, obawiam się, że taki się nie znajdzie – stwierdza tata – ale to tylko dlatego, że ludzie przede wszystkim zwracają uwagę na pozory.

Przyglądamy się mu więc przez chwilę, jak stoi tak skromnie przycupnięty wśród różnych rozwalistych, połyskujących wyzywająco kolorowymi lakierami wozów.

– Wiesz co? – mówi tata. – Niech sobie tu zostanie. Przyjdę po niego jutro rano. A teraz spacerem, niespiesznie wracamy do domu.

Idziemy w milczeniu, zatopieni w swoich myślach.

Szliśmy więc, a ja patrzyłem od czasu do czasu na Lucynkę i dopiero teraz uderzyło mnie, jak bardzo podobna jest do swojej matki. Takie same bujne, ciemne włosy i drobna, szczupła twarz, i oczy, śliczne szare oczy Ewy.

Życie to jednak bardzo dziwna powieść. Żaden literat nie potrafiłby nieraz wymyślić takiego wątku. A człowiek nigdy nie wie, jak będzie wyglądał następny rozdział. Boże mój! Czy wtedy, kiedy jako trzynastoletni szczeniak, na tym samym Krakowskim Przedmieściu, biegłem z butelką na „Tygrysa”, mógłbym sobie wyobrazić, że za trzydzieści lat będę szedł tędy z moją córką, która właśnie dostała maturę?

O czym ja wtedy myślałem? Chyba tylko o tym, że muszę podejść jak najbliżej do tego czołgu, toczącego się z piekielnym hałasem. I że muszę za wszelką cenę celnie rzucić w potwora moją filipinkę. Jedną z niewielu już, które nam pozostały. I że to mnie powierzyli tę cenną broń, abym z niej zrobił właściwy użytek.

Siedzę przyczajony za załomkiem muru i czuję, jak pot strużką mi spływa po twarzy, a serce wali tak, że zdaje mi się, że mogą to usłyszeć

Niemcy w czołgu. Z drugiej strony ulicy czekają z filipinkami Roman i Grzesiek. Czekam jeszcze chwilę, za chwilę... Zaraz... teraz! Huk! Huk! znów wybuch. Wszystkie trzy butelki. Czołg się pali! Pali się! Co za radość!

Nigdy dotychczas nie zastanawiałem się, że wtedy powody do radości trzynastolatków były jednak zupełnie nietypowe. Wtedy fajne wydawało się, że to nie jest zabawa w wojsko, tylko prawdziwa walka. Walka straszna na śmierć i życie. Było to trochę tak, jakby jakaś okrutna wróżka nagle spełniła życzenia chłopaka, marzącego głupio o wojnie i dała mu szansę zostania bohaterem. Wspaniała szansa! Nie przeczuwałem jednak wtedy, że jest to również szansa ogromnej samotności. Bo my, którym zamiast dzieciństwa dano dorosłość, my, którym odebrano zabawę w Indian i grę w harcerskie podchody, a na to miejsce podarowano rozpacz i szaleństwo odwagi – my poznaliśmy też nie dumę, lecz smutek bohaterów.

Lucynka idzie obok mnie. Jest dla mnie najbliższą istotą na świecie, a mimo to istnieją przecież między nami strefy nieprzekraczalnej samotności. Witek? Syn. Powinniśmy się rozumieć z Witkiem. Mój syn – jest między nami zaledwie dwadzieścia lat różnicy. Tylko o tyle jestem od niego starszy – a przecież ileż jest spraw, których on nie rozumie, nie pojmuje. Nie, żeby nie chciał – nie potrafi. Dlaczego? Boję się na to pytanie odpowiedzieć... Tylko Ewa była zdolna mnie zrozumieć. Pewnie dlatego, że ona też miała trzynaście lat, kiedy bawiła się w chowanego ze śmiercią w płonącym mieście, a zamiast wpisywać koleżankom do albumów sentymentalne wierszyki, wypisywała na murach słowa i znaki, które dodawały sił do przetrwania.

Ewunia moja... Kiedy pobraliśmy się, mieszkaliśmy w pokoju przerobionym z łazienki z oknem. Cieszyliśmy się, że tak się nam udało...

Ale Ewa nie żyje... A ja muszę za wszelką cenę postarać się, żeby Lucynka miała dobre życie. Witek sam sobie da radę. On to nic – tylko te studia, ta geografia. Dziwny chłopak – ja taki nie byłem. A może i dobrze, że on ma jakąś swoją szaloną pasję... chyba dobrze.

Lucynka. Idzie teraz obok mnie przez Krakowskie. Czy jest szczęśliwa? Nie, szczęśliwa – to za dużo powiedziane, ale czy jest

zadowolona z tego, że już skończyła liceum? Czy spodobał się jej pierścionek? Chyba tak... Zdaje mi się, że będzie go lubiła... Chciałbym, żeby lubiła coś, co dostała ode mnie... A swoją drogą czuję się jakoś kiepsko. Jestem zmęczony. Okropnie zmęczony. Był taki film „Bohaterowie są zmęczeni”. Zdaje mi się, że zaczynam być śmieszny. Chyba przesadzam. Nie, nie jestem bohaterem, to byłoby tanie stwierdzenie. I nie mnie o tym sądzić. Ja spełniłem tylko swój żołnierski obowiązek. Koniec, kropka. Miałem zaszczyt i szczęście, że mogłem go spełnić. Nawet jeśli wtedy miałem trzynaście lat. Jakie to dziwne, że kiedy człowiek usiłuje jakoś sformułować bodaj parę słów na temat tamtych spraw, zawsze się boi, aby nie było w tym patosu. A może ten patos istnieje poza nami i dlatego nie sposób go uniknąć? I może dlatego jest piękny, chociaż w jakiś sposób traktujemy go jakby z zażenowaniem.

A swoją drogą innych zaszczytów spotkało mnie w życiu nie tak wiele. Mniejsza o to! Gwiżdżę na te małe, głupie intryżki, dogryzanie, wysadzanie z siodła... może mi się jeszcze kiedyś coś w życiu uda. Miłość? Prawdziwa? Dobra i mądra.

Nie chcę myśleć o tym teraz, to zbyt trudne. Poza tym jakże trudno jest zrozumieć kobietę...

To tylko Ewa rozumiała mnie – zawsze mądra i wyrozumiała dziewczyna o parę miesięcy młodsza, a naprawdę jakby starsza ode mnie. To ona mnie wychowała. To ona pilnowała, żebym zrobił maturę, ona dbała o to, żebym nie chodził obdarty, nauczyła mnie schludności, poprawiała moje maniery. Kiedy pobraliśmy się – ona miała osiemnaście lat i osiem miesięcy, a ja dziewiętnaście. Ale obydwójce nie mieliśmy już rodziców i chcieliśmy mieć dom, i być rodziną. To było szczęście, którego chcieliśmy. Ewa mówiła: „Musi się nam jakoś życie ułożyć. Zobaczysz, będzie dobrze! A nasze dzieci muszą być szczęśliwe!”

– No co? Nie jesteś zmęczona? – pytam Lucynkę, kiedy już doszliśmy do placu Trzech Krzyży.

– Nie, cóż znowu... – odpowiada Lucynka i uśmiecha się do mnie. Śliczna jest i jestem z niej ogromnie dumny. I znów przysięgam sobie, że zrobię wszystko, aby i ona, i Witek byli szczęśliwi. Bo Witkowi też pomogę, jeśli by tego potrzebował.

– Lucynko...

Sięgam do kieszeni i okazuje się, że mam jeszcze trochę groszy. Wszystko w bilonie, ale jest tego około czterdziestu złotych. Mijamy akurat obskurną kawiarenkę, gdzie za drucianym ogrodzeniem ustawione są stoliki.

– Lucynko powtarzam – starczyłoby jeszcze na kawę albo na lody, albo na coca-colę... – I pobrzękuję pieniędzmi.

– Starczy ci? – pyta Lucynka z radosnym niedowierzaniem i już po chwili siedzimy przy stoliku i najpierw przez czas niejaki gapimy się na przechodniów, a potem Lucynka zamawia swoją ukochaną kawę mrożoną, a ja pół czarnej. Jutro z samego rana skoczę do kasy w Radiu. Należy mi się tam co nieco za mecz Szombierki–Resovia.

– Co robisz jutro, Lucynko?

Lucynka zastanawia się i wylicza:

– Trochę muszę posprzątać, bo pani Lodzia przychodzi dopiero pojutrze. Muszę przeprać kilka drobiazgów...

– Planujesz małe pranko? – pytam z żywym zainteresowaniem, które Lucynka natychmiast odczytuje właściwie.

– Oczywiście, tату, masz jakieś koszule, które są ci pilnie potrzebne?

– Tak, owszem, ale kochanie, mam opory, naprawdę mam opory, żeby cię tym obarczać. Wpadnę jutro po drodze do pralni – oświadczam stanowczo.

Ale Lucynka łamie tę męską decyzję.

– Po pierwsze, tato, pranie kosztuje, a po drugie tergalowych koszul nie trzeba prasować, więc żadne pranie.

– A twój egzamin, czy nie musisz jakoś o tym pomyśleć? Odłóż wszystkie domowe sprawy...

– Nie przypominaj mi teraz o egzaminie, tato! Nie chcę dziś o tym myśleć, bo w ogóle to się piekielnie boję.

– Mówmy więc o czymś innym... Powiedz mi, co z balem maturalnym?

– Ach, będzie ich kilka. Ale nie wiem, czy pójde na wszystkie. Więc najpierw jeden, taki duży – dla maturzystów ze wszystkich klas. W balowych sukniach...

Zaniepokoiłem się.

– Jak to? Nic mi dotychczas nie mówiłaś o balowych sukniach. Przecież trzeba o tym pomyśleć. Nie bój się – jutro dam ci forszę. Choćbym miał urządzić napad stulecia na bank. Chciałbym, żebyś wyglądała przepięknie...

– Nie przejmuj się, tato – uspokaja mnie Lucynka. – Już ja sobie coś fajnego wymyślę, i to za trzy grosze. Zobaczysz!

No, czy to nie jest kochane dziecko! Jestem wzruszony. Paszkotowa z naszej redakcji opowiadała mi z rozpaczą, że jej jedynaczka na bal pomaturalny zażądała sukni z komisju, za ciężkie pieniądze. A Lucynka? Kochanie moje – za trzy grosze...

Ojciec pewnie nie bardzo wierzy w tę moją groszową sukienkę. Ale zobaczy, co ja potrafię. Będzie to wysoki szyk z kretonu. A dziś z samego rana pognął do radia po forszę. Zaraz do mnie zadzwoni, kiedy dostanie, bo musimy ułożyć budżet do końca miesiąca. Na szczęście w moim tajnym skarbcu, czyli w blaszanym pudełeczku po szwajcarskich piernikach „Lakerli”, które przysłała kiedyś dla mnie Myszka – spoczywa całe pięćset sześćdziesiąt złotych. Dumna jestem z tego, że je „uszparowałam”, jak mawia pani Lodzia. Kiedy biorę do ręki to blaszane pudełko, zawsze wtedy myślę o Myszce. Myszka to właśnie mama mojego ojca. Ta, która nawiała do Londynu. Zazdroszczę tym, którzy mają prawdziwe babcie i tak mogą je nazywać. A moja rodzona babka, której zresztą nigdy nie widziałam na oczy, mieszka za granicą. Często wypuszcza się w wojaże po świecie, tylko do Warszawy nie chce trafić. Z tych podróży przysyła widokówki. *Tu jest cudownie. Ubóstwiam Wenecję* (czasem to jest Paryż albo Lozanna czy Ateny) *Pozdrowienia Wasza Myszka*. Myszka! Bo kiedyś napisała, że jest za młoda, aby być babcią. Więc w grzecznościowych, świątecznych kartkach do niej piszę: Kochana Myszko. Ale to nieprawda – ona nie jest kochana. Uważam, że jest wstrętna i okropna. Zostawiła w bombardowanym mieście ośmioletnie dziecko! A ta ciotka, która opiekowała się tatą, kiedy był mały, umarła w czasie powstania...

Ale to przeszłość. A terażniejszość? Słońce świeci, jest cudownie na świecie! Zaraz wskoczę pod prysznic. I chyba umyję głowę...

Trrrrrr! – dzwoni telefon. To pewnie tata. W sprawie pieniędzy.

– Halo! – wołam wesoło.

Tymczasem jakiś damski głos żąda, abym poprosiła do telefonu pana Prandotę.

– Nie ma go – odpowiadam – ale kto mówi?

Bęc! Słuchawkę z tamtej strony ktoś odłożył dość gwałtownie. Wracam więc do łazienki i poświęcam nieco czasu na krytyczną ocenę mojej urody. Zastanawiam się, co zrobić z włosami. Obciąć krócej czy też zapuścić? Na razie, ponieważ sięgają mi do ramion, związuję je granatową aksamitką, bo mam zamiar włożyć sukienkę granatową w białe groszki. Przepadam za groszkami. Znów telefon!

Tym razem w słuchawce panuje milczenie. To mnie irytuje, więc rzucam ją na widełki i biegnę do łazienki, żeby posmarować ręce kremem. Postanowiłam dbać o nie więcej ze względu na ten piękny pierścionek, który wczoraj dał mi tata. Ale musiał się porządnie szarpnąć! Pierścionek jest cudny.

Trrrr... znów dzwonek. Teraz ktoś dzwoni do drzwi.

– Kto tam?

To nasza doręczycielka, pani Jadzia. Przyniosła jakieś zawiadomienia i zaproszenia z klubów sportowych – wszystko dla taty. Jejku! Jest też przekaz pieniężny! Tysiąc siedemset złotych!

– Pani pokwituje za tatusia? – pyta pani Jadzia.

Więc kwituję drżącą dłonią. Zamykam drzwi za postanką łaskawej bogini Fortuny i szybko wykręcam numer do radia – proszę redakcję sportową. Ojciec przyjmuje telefon i kiedy poznał, że to ja, od razu zaczyna płatać się, biedaczysko, w zeznaniach: że jeszcze w kasie nie ma listy honorariów, że na pewno forsa będzie, tylko jeszcze nie wiadomo kiedy...

– Hej! hej! Nie martw się o nic, tato! Przysłali, nawet nie wiem, skąd... Nieważne. Całe tysiąc siedemset!

– Naprawdę? Nie oszukujesz starego ojca?

– Naprawdę! Daję ci słowo honoru! Jesteśmy uratowani i życie na razie znów jest piękne.

– Jeśli tak mówisz, to widać masz rację. – W głosie taty dają się wyraźnie zauważyć tony optymistyczne, po czym dodaje: – Słuchaj, Kiciu–miau – tak mnie czasem nazywa – weź sobie od razu te pieniądze na balową kieckę. Nie bój się, postaram się o dalszy ciąg

dopływu gotówki. Ale, ale, wiesz co? Być może, troszkę wyskoczę w świat.

– Dokąd?

– Do Pragi. Tam będzie kilka rozegranych.

– Fajnie! – cieszę się razem z tatą. Wiem, że marzy o tym, żeby być sprawozdawcą z wielkich imprez światowych i na pewno robiłby to wspaniale. Ale jego szef nie taki znów skłonny, aby go wysłać, bo tam są tacy, co kopią dołki pod tatą. Ale Praga to też coś! Obiecał mi, że mnie tam kiedyś zabierze...

Odkładam słuchawkę i radosna jak ptaszek zaczynam poważnie zastanawiać się nad łańchem na ten bal. Możliwości są według mnie nieograniczone, więc tylko wszystko zależy od inwencji. Postanawiam zabłysnąć kreacją godną Diora. Pokazać coś zupełnie super. Niech wiedzą, co potrafi malarka!

Malarka... mój dobry humor odrobinę przygasa. Malarka dobre sobie. A jeśli nie zdam? Wolę o tym nie myśleć, bo tak już sobie pięknie zaplanowałam, co będę robiła, kiedy uda mi się zdać... Przecież ja bardzo poważnie...

Trrrrrr – znów telefon! Urwać się można!

– Poproszę pana Witolda – zażądał jakiś impertynencki damski głos.

– Nie ma go w domu – wyjaśniam chłodno, bo nie lubię takiego tonu.

– Więc o której będzie?

– Nie wiem, – proszę pani. – A kto mówi?

Teraz moja rozmówczyni rzuca słuchawkę. Te wszystkie paniusie, które tu się dodzwaniają, na ogół bardzo lubią występować incognito. Nie rozumiem, dlaczego. A niektóre to są wprost natrętne.

– Proszę powiedzieć panu Witoldowi, że czekam. On będzie wiedział, kto dzwonił – powiada mi taka babulka. Więc kiedyś zdenerwowałam się i powiedziałam:

– Może pani jednak wyjawi, kto mówi, bo dziś już trzy panie będą na niego czekać tam, gdzie zawsze, o tej, co zawsze. Więc może się pomylić.

Wiem, że to nie było grzecznie. Ta pani w dodatku zaczęła się odgrażać, że poskarży się ojcu, że jestem bezczelna.

– Proszę bardzo – powiedziałam i było mi przykro, że w ogóle mogło dojść do tego rodzaju rozmowy. Ale chyba nie poskarżyła ojcu, bo nic mi o tym nie wspominał i raczej jak go znam, to pewnie wstydził się za tą swoją znajomą. A w ogóle dochodzę do wniosku, że kobiety są okropne. I chyba niektóre zupełnie nie mają ambicji. Ojciec jest przystojny, owszem, i ma piękną sylwetkę, jest wysoki, szczupły. U mnie w klasie niektóre dziewczyny to nawet podkochują się w nim, tak podejrzewam, albo też przez snobizm chciałyby go poderwać – żeby pokazać, że potrafią to zrobić. Ale tata jest na to nieczuły. Jak któraś zaczyna robić omdlewające miny i mówić mu, że jest cudowny i że ona mogłaby słuchać jego głosu przez dwadzieścia cztery godziny, to tato zaraz pyta – czy ona nie boi się matury i co będzie robić po skończeniu liceum.

Znów dzwonek – u drzwi. To pani Lodzia – filar naszego domu. Pomagała w gospodarstwie, jeszcze kiedy mama żyła. A potem, kiedy już mamy nie było, zajęła się nami, tak jak tylko potrafi to zrobić człowiek życzliwy i uczciwy. Miała wtedy własne kłopoty, bo mąż, pijaczyna, odszedł od niej, a ona została z dwojgiem dzieci. Ale Lodzia wszystkiemu da radę. Nic jej nie zmoże. Poza tym ma swoją własną filozofię życiową. Uwielbiam, kiedy krzątając się przy sprzątanii, wygłasza swoje złote myśli. Zawsze przy tym wydają mi się oryginalne i godne uwagi. Bo pani Lodzia to jest indywidualność, jak twierdzi tata.

– Lucynko – mówi na przykład do mnie pani Lodzia – frenetycznie nie lubię („frenetycznie” to jedno z ulubionych powiedzeń pani Lodzi) frenetycznie nie lubię tych różnych takich paniusiów, co się tu do naszego redaktora dodzwaniają. Nasz pan jest przystojnym mężczyzną i ma powodzenie, ale kiedy taka jedna z drugą panicznie się (to drugie powiedzonko) dodzwania, to cała jestem w nerwach. Boję się, żeby nie wpadł, bo to z babami nigdy nie wiadomo.

Teraz otwieram więc drzwi, a w nich stoi pani Lodzia ociekająca potem, odziana w swój deszczowy płaszcz.

– Dzień dobry – mówi – no i co? Widzi Lucynka? Zaufałam temu redaktorowi z radia, który przepowiadał, że będzie padało, i jak na tem wyszłam? Jeszcze się przeziębę, tak się zgrzałam...

Pani Lodzia od niejakiego czasu zwraca się do mnie w trzeciej osobie, chociaż i ja, i tata prosiliśmy, aby mówiła: ty, tak jakby do

swojego dziecka. Ale pokręciła głową i oświadczyła, że co, jak co, ale do „maturatki” nie może mówić per ty, bo byłby to brak szacunku dla wiedzy. No, czy nie jest wspaiała?

„Maturatka” jest słowem stworzonym przez panią Lodzie nie tylko dla oznaczenia stopnia wykształcenia, ale także pozycji społecznej i towarzyskiej. Nam obojgu z ojcem bardzo się podoba ten udział naszej nieocenionej pani Lodzi we wzbogacaniu polskiego słownictwa. Niektóre z jej zwrotów od razu akceptujemy i stosujemy.

Tymczasem pani Lodzia, zdejmując płaszcz, dalej wyjaśnia mi powód swojego rozgoryczenia.

– Radio jest dla ludzi, nie? Instytucja poważna i nasz pan tam pracuje. I usłuchałam – a teraz mi za gorąco. Upał się zapowiada. Niech Lucynka aby się za ciepło nie ubierze, tylko tak lżej.

Ubieram się więc w lekką sukienkę, granatową w białe grochy. Fason sama wymyśliłam – niby modny, ale nie taki, co już wszystkie dziewczyny noszą. Skądże! Wygląda zupełnie nieźle, zwłaszcza z dużym kołnierzem z białej piki.

Dokąd pójdę tak piękna i strojna? Eh, życie, życie! Pójdę chyba do akademii, zobaczyć, czy nie ma jakiego nowego ogłoszenia, dotyczącego kandydatów. Jejku, czy ja zdam? Jeśli się uda – oszaleję ze szczęścia. A jeśli nie? Powinam oszaleć z rozpacz, ale jednak nie zrobię tego, tylko będę musiała przebrnąć przez trudny rok i zdawać jeszcze raz. Na razie po prostu denerwuję się albo staram się nenerwować.

Trrrr... oszaleć można, znów telefon. Na szczęście tym razem pani Lodzia podnosi słuchawkę i mruga do mnie porozumiewawczo na znak, że jeśli to na przykład jakaś taka wyrafinowana pani (wyrafinowana – w słownictwie pani Lodzi oznacza osobę o różnych ujemnych cechach), to już ona, Lodzia, potrafi grzecznie i taktownie ją załatwić. Ale tym razem, jak się okazuje, nie jest to żadna „wyrafinowana” osoba, bo Lodzia ze słodyczą, niemal wpadając w euforię, mówi:

– Dzień dobry, dzień dobry panu, a jakże, zaraz poproszę!

I zakrywając słuchawkę dłonią wyjaśnia mi szeptem, że dzwoni do mnie jeden bardzo elegancki pan.

– Skąd pani wie, że bardzo elegancki? – pytam również szeptem, nieco zaciekawiona.

– Bo okropnie grzecznie się odezwał – informuje mnie podniecona pani Lodzia. – Widać, od razu po głosie poznał, że mówi z inteligentną osobą.

Wyrwam więc słuchawkę pani Łodzi i wołam zaintrygowana:

– Słucham?

– Tu Daniel!

– Daniel? No, wiesz? Wywarłeś przez telefon bardzo silne wrażenie na naszej pani Łodzi. – Rzuciłam przy tym miażdżące spojrzenie w jej stronę, bo przecież zna go. Był kilka razy u mnie i sama zauważyła, że jest jej zdaniem podobny do słynnego ongiś bandyty Zielińskiego, który odbił kochankę jednemu hrabiemu.

– Może byś się ze mną spotkała? – zagaił tymczasem Daniel.

– Czy ja wiem... – zastanawiam się, bo nie jestem pewna, czy akurat marzę o spotkaniu z Danielem. Ale on grucha dalej:

– Chciałem cię zaprosić na małą przejażdżkę autem. Będiesz pierwszą dziewczyną, która ze mną pojedzie.

– To brzmi jak „Love Story” – odpowiadam. – A skąd masz auto?

– Wyobraź sobie, że mój stary szarpnął się i zafundował mi gablotę.

Stary – to jest ojciec Daniela, senior Fistacki, rozwiedziony z jego mamą. Podobno ma posesję w jakiejś centrali zagranicznej i tarza się w złocie.

– Jakiego koloru? – raczyłam okazać zainteresowanie.

– Białe! A potem pójdziemy na lody, zgoda?

– Białe? – powtarzam. – No, niech będzie. Ale zgadzam się tylko dlatego, że będzie pasować do mojej sukienki.

Daniel jest teraz rozpromieniony i oświadcza, że za pół godziny będzie czekać przed naszym domem. A ja kończę ubierać się, aby wyglądać jak młoda lady. Nie bardzo wiem, jak mi się uda, ale mniejsza o to. W każdym razie pani Łodzianka, przyjrząwszy mi się krytycznie, orzeka, że wyglądam „frenetycznie”. Dobrze i to. Niewątpliwie była to jednak ocena pozytywna. Tak więc w pogodnym nastroju zbiegam na dół – przed bramą stoi biały jak porcelanowa umywalnia fiat – a za kierownicą Daniel. Rany! Ale ubrany! Zupełnie jak prawdziwy gangster. Czerwona koszula z krawatem białym w

czarne paski i biała marynarka do spodni w biało-czarną pepitkę. Na głowie – biały, prawdziwy stetson.

– Nie zaaresztują nas? – upewniam się, mając na myśli jego wygląd.

– Bo słuchaj, Daniel, ja mam domowe obowiązki, nie mogę ich zaniedbać, siedząc w kryminale nie wiadomo za co.

– Albo co? – pyta Daniel, który, biedactwo, ma nieco spóźniony zapłon.

– Bo wyglądasz jak taki facet z mafii, wiesz? Przemyt diamentów, kokainy albo damskiej konfekcji.

– Naprawdę? – ucieszył się Daniel, bo uważa to za komplement. – To fajnie! Dokąd jedziemy?

Pojechaliśmy więc do Wilanowa, bo chciałam zobaczyć wystawę plakatów, ale nic z tego nie wyszło, bo już nie chcieli nas wpuścić.

– Wyprzedane na dziś bilety – oznajmiła ponuro kasjerka, więc tylko z żalem popatrzyłam, jak woźna wpuszcza jakąś wycieczkę znudzonych i zmęczonych dzieciaków.

– Co więc robimy? – zastanawia się Daniel. – Może pojedziemy na lody do Europejskiej?

– Do Europejskiej? – pytam ze zgrozą. – A czy ty wiesz, kto tam bywa? Sami waluciarze. Jeszcze cię przymkną za sam wygląd. Typowy handlarz trefnym towarem!

Daniel czuje się teraz nieco dotknięty.

Nie znasz się na prawdziwej elegancji. Dokąd więc w końcu jedziemy?

Wreszcie proponuje, żebyśmy pojechali do Konstancina. Jest tam taka dość miła knajpka „Pod Świerkami”.

Godzę się na te „Świerki” i jedziemy. Na szczęście Daniel nie udawał pirata szos, tylko jechał dość ostrożnie. Knajpka w rezultacie okazała się zupełnie miła, bo był to ogródek, w którym między drzewami stały stoliki oddzielone od siebie żywopłotem. Fajne miejsce na zakonspirowane spotkania.

– Czym można ci służyć? – pyta światowo Daniel, więc decyduję się na mrozoną kawę z kremem. Ubóstwiam to. A tymczasem Daniel, kiedy czekaliśmy na tę kawę, ujął moją dłoń i szepnął namiętnie.

– Podobasz mi się! Jesteś piekielnie seksowna. Dopiero teraz to widzę. Można dla ciebie zwariować.

– Fajny jesteś, kiedy się zgrywasz – pochwaliłam go – chyba na pewno zdasz do tej swojej aktorskiej szkoły.

– Ja naprawdę, a ty się wygłupiasz – Daniel znów poczuł się dotknięty – naprawdę mi się podobaś. Słuchaj, czy rzeczywiście uważasz, że jestem dobry? Bo mnie też się zdaje, że jestem niezły.

– Jesteś znakomity.

– Dzięki za słowa otuchy, ale poza tym muszę cię poderwać.

– Nie męcz się – mówię z niemal macierzyńską troską – nie zdzieraj się przed egzaminem. A myślisz, że zdasz?

– Chyba zdam. Ale nie mówmy o egzaminach. Pojedziesz ze mną do Zakopanego? Albo nad morze?

Potrząsam przecząco głową.

– Lubię cię, Danielku mówię, aby osłodzić odmowę. Ale nie mam ochoty być dziewczyną Daniela. Ani chyba niczyją na razie. Co nie znaczy oczywiście, że nie chcę mieć jakiegoś chłopaka do chodzenia z nim do kina czy na wycieczki albo na kawę... To się jednak jeszcze okaże, kto nim będzie...

– Dzięki, Danielu, dzięki, wspaniały, rasowy podrywacz – powiedziała do mnie na pożegnanie Lucynka, kiedy odwiozłem ją do domu. I nawet nie dała się pocałować. Ostatecznie obejdzie się bez łaski. Nie, to nie. Chociaż podoba mi się. Mama mówi, że ona jest rasowa. Może i jest. W każdym razie zaprosiłem ją na nasz cocktail. Mama szykuje wielki show, a stroje przewidziane są wieczorowe. Czy aby mój smoking będzie na czas?... No, niby za te pieniądze powinni zdążyć. To ważne – bo mama zakreśliła się koło tego reżysera, co ma podobno być rektorem PWST i on będzie u nas. Mama liczy na to, że będzie mógł ocenić moje warunki. A warunki mam. Wzrost odpowiedni, oko żywe... Tylko Lucynka uważa, że nie nadażam z kulturą! Oczywiście drażni się ze mną. Dopóki byliśmy w szkole, jakoś nie zwracałem na nią uwagi – a teraz zauważyłem, że jest po prostu bombowa. Nawet mama mówi, że ona jest atrakcyjna, tylko że nie ubiera się dość efektownie. Chyba tak...

Egzamin... To już raczej mama obgada wszystko z góry. Nie obawiam się. Tylko Lucynka... nie! Co jest, do diabła, z ta Lucynka? O

czym bym pomyślał, ciągle płacze mi się Lucynka. A może by tak ożenić się z nią? Nie. Artysta musi być wolny.

A swoją drogą byłoby to śmieszne, gdyby tak naprawdę Lucynka kochała się we mnie! Oczywiście, że się do tego nie przyzna! Ja ją znam! Ale to zupełnie możliwe...

Oj, ten Daniel! To nie jest zły chłopak, tylko po prostu Danielek O Bardzo Małym Rozumku. Dlatego chyba nie mam zamiaru poświęcać mu zbyt wiele uwagi, chociaż jest dość zabawny.

Wracając do domu, zajrzałam do skrzynki na listy. Do mnie nic, do ojca jak zawsze cały stos korespondencji, bo piszą do niego różne kluby sportowe i jest list od Witka, z Meksyku. To cudownie, że się nareszcie odezwał, bo my tu z tatą siedzimy obydwój w nerwach. Meksyk piękny kraj i ciekawy, ale ten Prandota Junior stale wypuszcza się na jakieś szalenie niebezpieczne wycieczki i jest zupełnie nieobliczalny. Będziemy więc teraz z tatą razem czytać, co pisze nasz kochany Wituś. Chociaż jestem okropnie ciekawa, jednak za nic nie otworzę listu sama, bo wiem, jaką to sprawa przyjemność ojcu, kiedy to właśnie on rozcina kopertę i mówi: „No, zobaczmy, co tam odkrył nasz naukowiec...” Swoją drogą dumny jest z Witka. A czy będzie dumny i ze swojej Lucynki? To się jeszcze okaże. Mnie by wystarczyło, gdyby po prostu był ze mnie zadowolony...

Jeszcze nie przekroczyłam progu mieszkania, kiedy zabrzączał telefon. Pani Łodzi już nie było, więc podbiegłam co prędzej, żeby przyjąć. Dzwoni tata. Ma taki jakiś zmęczony głos, że serce mi się kraje.

– Lucynko, kochanie, tak się składa, że muszę do tej Pragi jechać jeszcze dziś, nocnym pociągiem. Już mam zamówiony sypialny. Powiniennem zobaczyć, jak nasi trenują przed meczem...

Stanowczo w głosie taty nie słyszę zwykłego entuzjazmu. Najwyraźniej źle się czuje.

– Naszykuję ci nesesor i coś do zjedzenia.

– Nic do jedzenia – broni się tato. – Najwyżej przed wyjazdem wypiję trochę mleka. Wstaw do lodówki, żeby było zimne.

– Przyszedł list od Witka – mówię, żeby jakoś poprawić ojcu humor.

Ucieszył się, ale też nie tak jak zawsze i zapowiedział, że wróci po szóstej. Teraz jest trzecia. Warto by zjeść jakieś małe co nieco. Zaglądam do lodówki, ale oprócz pół kostki masła i dwóch jajek nie znajduję nic więcej. Ponieważ jednak nie tracę nadziei, że uda mi się namówić ojca, aby zjadł cokolwiek, postanawiam, że pobiegnę zaraz po zakupy. Nienawidzę robienia zakupów, ale czego się nie robi dla taty. Po godzinie wracam do domu i niosę śmietankę, jogurt, mleko – do wyboru. A także szczypiorek, rzodkiewki, twarożek, jaja i razowy chleb. Wzięłam również pół pieczonego kurczaka – jeśli tata wzgardzi, będę miała jutro na obiad.

Sprawdzam, o której odchodzi pociąg, bo muszę tatę dość wcześniej wyprawić z domu. Do rozpaczy zawsze mnie doprowadza jego brak poczucia upływu czasu. Witek zresztą jest taki sam.

Ciągle myślę o tej rozmowie z ojcem, bo jestem pewna, że źle się czuje. Ostatnio wygląda nie najlepiej. Nic mi nie mówi, ale podejrzewam, że ma jakieś kłopoty. Pewnie w redakcji.

Dwudziesta pierwsza dwadzieścia – pociąg już rusza. Lucynka stoi na peronie i jeszcze raz woła do mnie, żebym o siebie dbał. Ten chłopak, który się z nią ożeni, wygra wielki los. Ona jest taka rodzinna, taka dbająca, że na pewno będzie to szczęśliwe małżeństwo. Tylko nie chciałbym, aby wyszła za męża zbyt wcześnie. Bądź co bądź od razu zaczną się dla niej kłopoty – zakupy, gotowanie, dbanie o tego chłopaka, żeby zjadł, żeby miał wszystko przygotowane...

A to są przecież sprawy już w dorosłym życiu nieuniknione. Zwłaszcza gdyby przyszedł dzieci... Za młoda jest jeszcze na to i za dziecinna.

Pociąg oddala się coraz szybciej od dworca i sylwetka Lucynki staje się coraz mniejsza, aż wreszcie tracę ją z oczu. Na razie jestem sam w przedziale i mam nadzieję, że już nikt nie wsiądzie przed Pragę. To byłoby wspaniale, przynajmniej wyspałbym się porządnie. Swoją drogą okropnie marnie się czuję ostatnio. No, nic dziwnego... Kiedy człowiek ma kłopoty, to i zdrowie też nawala... Nie, nie chcę teraz o niczym myśleć... Najważniejsze, abym jutro był w dobrej formie i aby moje sprawozdanie było dobre. Lucynka będzie słuchać, a potem krytykować. To jest mój rzetelny, uczciwy krytyk. Może gdyby była

trochę starsza, mógłbym pomówić z nią o tym, co mnie teraz tak gnębi....

Słuchałam sprawozdania z Pragi i uważam, że tato był cudowny. Wspaniale relacjonował. Z takim jakimś młodzieńczym zapałem, z pasją. Widziało się ten stadion, ludzi na trybunach, zawodników, strzały do bramek i nieoczekiwane gole. Ach, ten mój tato! W jego głosie zawsze jest wtedy rozpacz i radość, duma i niepokój. To się nazywa sprawozdawca z sercem, to jest człowiek zaangażowany uczuciowo.

A propos zaangażowania uczuciowego... Daniel zadzwonił dziś do mnie z samego rana i oznajmił autorytatywnie, że nie wątpi w to, że go kocham. No, czy on nie jest znakomity? Powiedziałam mu, żeby raczej zwątpił, bo to nam pozwoli na kontynuowanie dalszych stosunków koleżeńskich. Jednocześnie przyszło mi do głowy, że przecież obecnie nastał moment, kiedy kończy się koleżeństwo szkolne, to z liceum, a zacznie pewnie inne, studenckie. Jakie ono będzie? Niektóre dziewczyny wyobrażają sobie, że ci nowi koledzy będą je uwielbiać. A ja? Co o tym myślę? Ja w tej chwili wymiguję się od odpowiedzi. Na razie cieszę się każdym pogodnym dniem, każdym spacerem, pójściem do kawiarni, kina – wszystkim. Bo kończę osiemnaście lat i życie jest przede mną. A jakie ono będzie? Zobaczymy...

Czekam teraz na Beškę. Ją najbardziej lubię ze wszystkich moich koleżanek z klasy. Zawsze była równa, wierna, fajna, nie plotkara, zawsze można było na nią liczyć. I ma ogromnie miłą mamę, która traktuje mnie jak swoją córkę. Chociaż jest trochę surowa. I dlatego trzyma jednak Beškę dość krótko.

Dzwonek do drzwi zwiastuje przybycie Beški. Od razu, od samego progu zaczyna mnie besztać, że jeszcze jestem nie ubrana, bo szkoda czasu na siedzenie w domu. Poza tym przyszła ze świeżym pomysłem. Ponieważ wszystko wskazuje na to, że ten cocktail u Daniela to będzie jeden wielki wygłup, czy wobec tego nie powinnyśmy pomyśleć o tym, żeby się ubrać nie tak zupełnie zwyczajnie.

– Alicja na pewno szykuje sobie jakąś kiecę a la Dior i to za ciężką forszę, bo ona nie ma poczucia humoru, a wszystkie sprawy dotyczące łańców i życia towarzyskiego traktuje szalenie serio. Ale co byś

powiedziała, gdybyśmy na przykład poszukały czegoś zupełnie idiotycznego? – proponuje Besia. – Mówiłam o tym z Zuzką Bajer i ona też by się do nas przyłączyła...

– Fajnie! – oceniłam pomysł mojej przyjaciółki. – Czemu nie? Na przykład gdybyśmy wszystkie trzy wybrały się na ciuchy, na bazar?

– Możemy zobaczyć – zgodziła się Beśka – ale kupić to pewnie nic nie kupimy, bo tam drogo.

– Ale przynajmniej zobaczymy, co mają – trwam przy swoim, bo po prostu mam ochotę na tę wycieczkę. Ubóstwiam egzotykę targowisk, jarmarków i bazarów. Więc dzwonię do Zuzki: – Przyjedź – mówię.

Dziewczęta wreszcie zgadzają się i oto już po chwili pospieszny autobus wiezie nas na bazar.

Jest wspaniale. Wrzask, zachwalania, przekrzykiwanie się przekupniów, kolorowe stragany, jakieś ciemne typy, które szeptem proponują kupno różnych okazji. Ale my chłodno odnosimy się do tych pokus, tylko rozglądamy się za ciuchami. Są, a jakże, są! Na straganach lub wprost na ziemi leżą kolorowe, zniszczone, wybrudzone, śmieszne, niemodne albo czasem i modne sukienki, bluzki, spodnie, szale, kapelusze. Przystajemy i najpierw przezornie, z daleka przyglądamy się handlarkom i kupującym.

Ale oto widzimy coś, co szczególnie przykuwa naszą uwagę. Jakaś młoda, tęga dziewczyna o żółtych włosach i rumianych policzkach trzyma w ręku białą, wymiętoszoną i brudną suknię ślubną.

– Słuchajcie! – woła Zuza. – A gdybyśmy przybyły na bal u Daniela jako trzy panny młode?

Pomysł trafia w dziesiątkę! Zwłaszcza jeśli mama Daniela planuje jakiś show swojego pomysłu, to my też zaimprovizujemy coś, co urozmaici przyjęcie. – Podchodzimy więc bliżej i przysłuchujemy się uważnie oraz oglądamy z zainteresowaniem suknię. Dziewczyna z żółtymi włosami jest niezdecydowana. Targuje się i bez przekonania przymierza biały kapelusz, który ma być jakoby koniecznym uzupełnieniem stroju ślubnego nowoczesnej panny młodej, a tak naprawdę jest po prostu „wodoodpornym” kapeluszem plażowym.

– Dla mnie ślub bez welonu to nie ślub – mówi z pogardą i zjadliwie sąsiednia straganiarka. Odwracamy się w jej stronę.

Oszłamiająca osoba! Pod wysoką kopą tapiru w kolorze marchewki pływają w tłuszczu maleńkie oczki, obmalowane błękitnymi cieniami. Kolorowe wargi wydymają się z pogardą w świński ryjek, a potem rozchylają się na niepełnym uzębieniu.

– Tylko w welonie! – mówi autorytatywnie i aby zwabić niezdecydowaną klientkę, wyciąga z kupy leżących przed nią łąchów zgnieciony, przybrudzony biały welon ozdobiony upięciem z kwiatków. – Iwona! – woła przy tym donośnie. – Włóż welon, to klientka zobaczy, jak powinna wyglądać panna młoda! Elegancka panna młoda.

Amatorka ślubnego stroju zwraca się teraz w stronę tej konkurencji i patrzy, a my razem z nią, jak zmiętoszoną, zwiewną szmatkę welonu przymierza na swej głowie wysoka, czarnowłosa dziewczyna. Jest tak piękna, że nawet w tym łąchu wygląda atrakcyjnie.

Chyba gdzieś już widziałam tę piękność. Ale gdzie i kiedy? Gotowa jestem przejść nad tym do porządku, gdyby nie to, że czuję najwyraźniej na sobie spojrzenie czarnych oczu dziewczyny. O co chodzi? Widzę, że mówi coś po cichu do tej okropnej stwory z marchwiowym tapirem. O co im chodzi?... Być może dowiedziałabym się, gdyby nie to, że w tej chwili ta pierwsza handlarka wyciągnęła jeszcze jakieś inne łąchy, mogące zniszczyć konkurencję.

Nastąpiła żywa wymiana zdań, o tyle bezprzedmiotowa, że żółtowłosą oblubienicę skusiła przez ten czas srebrzysta suknia na trzecim straganie. Kiedy się wszystko wreszcie uspokoiło, czarnowłosa dziewczyna już zniknęła, a handlarka powiewa znów tym zmiętoszonym, przykurzonym welonem.

– Zdaje mi się, że jednak nie zrealizujemy naszego genialnego pomysłu – zdecydowała zawsze trzeźwo myśląca Besia. – Te łąchy są niesamowicie drogie, a poza tym musiałybyśmy jeszcze sporo zapłacić za pralnię. To nie dla nas.

Oczywiście, że zgadzamy się z nią i postanawiamy, że w takim razie welony zrobimy z białej firanki, takiej z metra – jest szalenie tania, kwiatki kupimy plastikowe, a Zuzka, która ma liczną rodzinę, ofiarowała się, że znajdzie dla nas trzy nocne koszule prababci – długie i białe, co najwyżej w lekki rzucik. Prababcia ich nie nosi, bo kupiła sobie inne. Włóczymy się jeszcze przez chwilę po bazarze, podziwiamy

różne dziwne rzeczy, które tam się sprzedaje, przez chwilę trwam w zachwycie przed straganem, na którym można dostać wspaniałe makatki, a także olejno malowane jelenie w złotych ramach i po tej zabawie decydujemy się pojechać w stronę Łazienek i tam wśród zieleni i historycznej atmosfery – zjeść lody. To postanowienie uznajemy za twórcze i konstruktywne, przy czym Zuza i Beśka dzwonią do swoich domów, żeby zawiadomić rodzinę, że nie będą na obiedzie. Przed maturą taka rzecz byłaby nie przeszła, to pewne, ale po otrzymaniu cennego dokumentu, stwierdzającego naszą dojrzałość, rodziny są liberalne i mamy mówią po prostu: „Niech teraz poszaleją sobie trochę. Potem im to przejdzie...”

Chyba przejdzie... Zresztą mnie to dotyczy w mniejszym stopniu, bo raczej nie jestem związana jakimiś terminami domowymi, chyba że tak się składa, że ojciec i Witek mają czas i wtedy pani Lodzia szykuje dla nas porządną, rodzinną kolację. A jeśli ona nie może tego dnia do nas przyjść, to my obydwójka z Witkiem usiłujemy upitrasić coś, co lubimy. Zwłaszcza robimy to w niedzielę. Siedzimy we trójkę przy stole, zjadamy zupę pomidorową z ryżem, która jest moim numerem popisowym i potem są jeszcze placki kartoflane, które są dziełem Witka. Na deser kawa i owoce z cukrem lub śmietanką. No co? Czy to nie pyszny obiad? Albo tato kupuje dwa pieczone kurczaki i robimy do tego sałatę i kompot. Może jest to menu niezbyt urozmaicone, ale my to lubimy...

Wsiadamy znów w autobus i powracamy do Warszawy. W Łazienkach w kawiarni sporo ludzi, więc z jakimś trudem znajdujemy stolik. Ale znajdujemy i chwilowo jesteśmy zupełnie zadowolone w życiu. Chichoczymy, obżeramy się lodami, popijamy coca-colę i obgadujemy wszystkich z klasy po kolei. Właśnie doszliśmy do obgadywania Alicji, kiedy jakby na zamówienie ona sama, we własnej osobie, ukazała się w kawiarnianym ogródku. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, wszyscy obecni zapomnieli o kawie, lodach i chłodzących napojach, albowiem wyglądała tak efektownie, że dech w piersiach nam zapało. Bo to i suknia rzeczywiście cudna i wygłupiona, jakby z paryskiej kolorowej ilustracji, takiej, którą człowiek ogląda i nie chce mu się wierzyć, żeby można było nosić coś podobnego. I do tej wydekoltowanej na plecach

kiecki miała na ramionach boa czy coś takiego z zielonych piórek, a na głowie kapelusz wielkości parasola. Skinęła nam łaskawie ręką, ale nie podeszła do nas, bo nie była sama, gdyż towarzyszył jej brodaty facet, który wyglądał jak sam Madej odziany w młodzieżowe dżinsy.

– Ciekawa jestem, w czym nasza Alicja wystąpi na tym balu u Daniela – mruknęła Beśka, wylizując resztę lodów. – Wyobrażam sobie, co to będzie... A my?

– My w cokolwiek się ubierzemy i tak będziemy nieludzko piękne – odpowiedziała mi na to Lucynka, bo ona nie przywiązuje znów takiego wielkiego znaczenia do łańców. Owszem, umie ubrać się ładnie, nawet elegancko, ale bez takich wyglupów, jak Alicja. Zresztą Alicji dają w domu forszę na najbardziej modne szmaty.

Oczywiście dają dlatego, że mama Alicji, która też, mimo że jest już starszą osobą, ubiera się okropnie młodzieżowo, wierzy niezachwianie, że jeśli Alicja będzie szalowo się ubierać, to prędzej wyjdzie za mąż. Wiem o tym od samej Alicji, która przeprowadzała cały wywiad, na której uczelni najłatwiej jest znaleźć chłopaka. I to takiego, jak ona mówi, dobrze ustawionego, to znaczy bogatego z domu.

– Może to być syn ministra albo dyrektora spółdzielni eksportowej, bo moja droga, ja się nadaję na żonę reprezentacyjną. Bardzo bym chciała na przykład wyjechać na jakąś placówkę zagraniczną. Przyjęcia, stroje – to coś dla mnie...

Tu nie mogłam odmówić sobie przyjemności, żeby nie przypomnieć Alicji, że na takiej placówce to trzeba znać jakiś obcy język. A jej możliwości są w tym wypadku zerowe...

– Ambasadorowa nie musi znać – powiedziała mi na to z niezachwianą wyższością – sama znam takie, co nie znają, a reprezentują...

Myślę, że Alicja łże, ale niemniej na balu u Daniela wystąpiła w zielonych tiulach i innych przezroczystościach i zwiewnościach, a wszystko było nakrapiane w srebrne ciapki. Myślałam, że to Goplana, ale Alicja zaznaczyła od razu surowo, że jest to model według Diora. Poza tym wyglądała sztywnie i dorośle, bo włosy miała uczesane do góry, a nad jej lewym uchem wetknięty był srebrny kwiat orchidei. Sama nas objaśniła, że to orchidea. Zaimponowało nam to jednak, bo

my wypadłyśmy dużo skromniej. Zwłaszcza ja, w tej różowej sukience z białym hafcikiem...

W tej różowej sukience z białym hafcikiem Beška wyglądała ślicznie. Była apetyczna jak krem poziomkowy. Tak przynajmniej orzekł ojciec Daniela, który dziś też był tu gościem. Bo chociaż jest rozwiedziony z mamą Daniela, to jednak zjawił się ze względu na to, że okazja była szczególna. Co prawda był niezmiernie dla wszystkich miły i usiłował pozyskać sobie naszą sympatię – ale mnie się nie podobał! Taki rasowy konferencyjny dyrektor. Mnie też próbował oczarować, ale ja się nie dałam. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś zaczyna rozmowę od zwrotu – ach, ta nasza dzisiejsza młodzież!

– To znaczy jaka, proszę pana? – zapytałam i spojrzałam na niego ponuro, a on zaczął plątać się w zeznaniach.

– No, taka samodzielna – wyjąkał – i taka nieufna w stosunku do starszych.

– Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pana – odpowiedziałam. – Jeśli chodzi o mnie, to mam do mojego taty bezgraniczne zaufanie i poza tym ubóstwiam go...

Na szczęście w tym momencie nadszedł Daniel w białym smokingu, taki najbardziej playboyowaty playboy, i wyratował mnie.

– Nie podrywaj, staruszku – mruknął. – Potępiasz młodzież, ale garniesz się do niej dość chętnie. Zwłaszcza jeśli wygląda tak, jak Lucynka. Prawda, mamó? Lucynka reprezentuje dziś szaf i upojenie!

Bo właśnie podeszła do nas mama Daniela. W białej, złotem haftowanej sukni wyglądała jak królowa, ale dobra królowa, która zesłała między lud. I z tym ludem, czyli właśnie z nami, wypita bruderszaft.

Dla nas jednak to nie było takie proste i wszyscy wymigiwali się w rozmowie od zwracania się wprost do niej. Nie to, że była przecież znaną aktorką, ale mama kolegi... jakoś to nie szło.

Mnie obdarzyła łaskawym uśmiechem i pochwaliła moją kreację.

– Doskonały pomysł! – powiedziała. – To jest kefija, prawda?

No właśnie! Ja też uważam, że miałam niezły pomysł. Tę kefiję przywiózł mi jeden z kolegów ojca z Damaszku. Jest to cudowna wielka chusta z najprawdziwszej bawełny, przerabiana w czarno-białą

kostkę, zakończona na brzegach biało–czarnymi pomponikami. Arabowie owijają kefią głowy w niezmiernie malowniczy i twarzowy sposób. Ja zaś po prostu zawinęłam się w nią cała. Sięgała mi aż do kostek, a ramiona miałam gołe. I do tego miałam czerwony pas. Szyk i elegancja, jak mówi Beśka. Tak więc kreację balową miałam z głowy.

A sam bal? Jasne było, że Danielowi zależy, żeby to było coś niezwykłego. W ogóle samo mieszkanie było takie pod piekielną modernę. Wszystko z gąbki, plastiku i nadmuchiwane. No, bo taki fotel z przezroczystego plastiku, a w środku powietrze! Bałam się, że to pode mną klapnie.

Ale zachowałam się tak, jakbym przez całe życie na niczym innym nie siadywała. Na podłodze leżała zielona wykładzina z wysokim włosiem, udająca trawę, a sufit był pomalowany na niebiesko w białe obłoczki. Jednym słowem coś niebiańskiego! Do tego Daniel w białym smokingu. Powiedziałam mu, że brak mu tylko skrzydeł.

On, oczywiście, przyjął to na serio i wcale nie wątpił, że wywarł na mnie szalone wrażenie. Objął więc mnie namiętym ramieniem, które to ramię zdjęłam z mej kibici i poinformowałam go, żeby się nie wygłupiał. No. ale trzeba znać Daniela! Szepnęłam demonicznie, żebym nie skrywała dłużej swych uczuć (dla niego!), bo my, artyści (to on i ja), nie powinniśmy uprawiać mieszczańskiego zakłamania. Byłby pewnie bredził tak dalej, ale na szczęście los przyszedł mi z pomocą, bo w tej chwili jeden z gości potknął się o sztucznego tygrysa, leżącego w sztucznej trawie – i całą filizankę czerwonego barszczu wylał na niepokalanie biały smoking Daniela. Moment był straszny! Daniel zaniemówił, usta miał otwarte, oczy wytrzeszczone i przez chwilę nie wiadomo było, co się stanie, ale sytuację uratowała Beśka.

– Daniel! – krzyknęła. – Wyglądasz zupełnie jak Krwawy Szeryf! Powinieneś teraz rozegrać jakąś westernową scenę! Przecież jesteś aktorem! Ty to potrafisz!

Wcale nie jestem pewna, czy Beśka podegrała to świadomie, czy też tak tylko krzyknęła w rozbawieniu, ale w każdym razie rozładowała dramatyczne napięcie. Daniel momentalnie opanował się i udawał, że wcale się nie zmartwił plamą na smokingu (a wiem, jak się piekielnie, zmartwił, bo znam go doskonale!). Zaczął nawet błaznować i udawać, że jest ranny, że umiera, że walczy do ostatniej chwili i wołał: Bang!

Bang! mierząc z wymagowanego pistoletu. Biliśmy mu brawo, żeby go pocieszyć, a potem rzuciliśmy się w stronę bufetu, bo po takich wrażeniach mieliśmy nielichy apetyt.

Nie było to zbyt eleganckie zachowanie, jak się obawiam, ale niemniej był to jeden z atrakcyjniejszych momentów tego przyjęcia, zwłaszcza że w bufecie był szampan. Prawdziwy francuski szampan! Beśka chyba wypła odrobinę za dużo, bo żłopała go jak wodę sodową...

Rzeczywiście od tego szampana zakręciło mi się trochę w głowie. Niemniej wydaje mi się, że to całe przyjęcie nie było znowu takim wystrzałem. Wszyscy się po trochu nudzili i naprawdę żał mi było Daniela. On przecież chciał nas olśnić, chciał zabłysnąć – a tu wszystko tak jakoś głupio wyszło!

Dopiero potem, kiedy Daniel, trochę pocieszony aktorskim sukcesem, wrócił w purpurowym golfie, a my naźarci siedliśmy razem w kąciku, zrobiło się trochę weselej. Alicja, która miała zieloną tiulową sukienkę w srebrne ciapki, zażądała, żeby Wojtek, który jest naszym etatowym tekściarzem, zaśpiewał coś na jej cześć. Ale Wojtek nie był skłonny.

– Coś ty, Alicja? Pory roku pomyliłaś!

– Jak to pomyliłam? – zaszczebotała Alicja.

– Bo teraz jest czerwiec, a ty jesteś przebrana za choinkę!

– No, wiesz! – oburzyła się Alicja. – Choinka, mój drogi, czy nie choinka, ale jest się po co schylić!

I ponieważ widać ten szampan szumiał jej w łepetynie, zaczęła w rozmarzeniu wyliczać, co też jej tata za nią da przy zamążpójściu, oczywiście odpowiednim.

Więc mieszkanie (własnościowe), i meble (antyki), i samochód (nie fiacik, nie), i oczywiście luksusowa podróż poślubna za granicę.

– Hm – mruknął na to Wojtek – podarki ująd, ale co zrobić z choinką, kiedy zacznie usychać?

Alicja poczuła się urażona.

– Ty nie wchodzisz w rachubę – powiedziała – z tobą zanudziłabym się na śmierć.

– Inteligentne dziewczyny nigdy się nie nudzą – odparł pogodnie Wojtek.

– Więc ja według ciebie... – zaczęła teraz Alicja, najwidoczniej dotknięta, i już zanosilo się na nieprzyjemną awanturę, bo Alicja nie ma poczucia humoru i nie potrafi odciąć się dowcipem, tylko zaraz wszystko bierze na poważnie. Uważałam więc, że należy to jakoś szybko zażegnać, zwłaszcza że Daniel, nieszczęsny gospodarz tego przyjęcia, wiądlł coraz bardziej z rozpaczy, a jego mama powtarzała tylko ciągle:

– Ale dlaczego nic nie jecie, moi drodzy?

Było więc coraz gorzej i zabawa nie kleiła się. Całe szczęście, że Lucynka i Robert, i jeszcze inni zaczęli wołać, żeby Alicja i Wojtek przestali się wygłupiać i pocałowali się na przeprosiny. A potem ktoś włączył adapter i zaczęliśmy tańczyć.

Nie przepadam za tańcem i muzyka była chyba za głośna i nawet namówiłam Lucynkę, żeby wyjść wcześniej, ale kiedy spokojnie wymykałyśmy się w stronę przedpokoju – dopadła nas Zuzka i zaczęła nam tłumaczyć, że będziemy ostatnie idiotki, jeśli właśnie teraz wyjdziemy i zrezygnujemy ze wspaniałych lodów.

– Widzicie? Właśnie je podają.

To był argument – bo ja uwielbiam lody!

– Ale zaraz po lodach wiejemy – postanowiłyśmy twardo. I tak właśnie zrobiłyśmy.

Oj ta Beśka! Lody rzeczywiście były wspaniałe, ale kiedy zobaczyłam, że Besia pochłania już trzecią porcję i rozgląda się za czwartą, zmusiłam ją do opamiętania. Bo jeśli chodzi o lody, Beśka traci wszelki umiar i rozsądek.

– Przecież umówiłyśmy się, że zwiejemy – przypomniałam jej. I już miałyśmy wyjść tak po angielsku, ale pomyślałam, że jednak trzeba pożegnać się z Danielem i jego mamą. Ostatecznie duszę z siebie wypruwali, żeby to wypadło jak najlepiej, a biedna pani Hanna za wszelką cenę chciała stworzyć nastrój nieskrępowanej swobody. Podeszłyśmy więc do pani domu i podziękowałam za uroczne przyjęcie. Użyłam tego zwrotu, bo czułam, że tak trzeba w tym wypadku

powiedzieć. Wypadło to, jak twierdziła Beśka, bardzo elegancko i światowo.

– Ale dlaczego tak wcześnie? – martwiła się tylko aktrissa.

Wtedy zaczęłam zasłaniać się moim tatą. Że może zadzwonić z Pragi i wobec tego muszę być wcześniej w domu.

– Obawiam się, że nie dostaniecie teraz taksówki – zatroszczyła się. I to już było naprawdę bardzo sympatyczne z jej strony. Mimo swoich pretensjonalnych zagrywek ma jednak jakieś lepsze odruchy. – Zaraz o tym pomyślimy – powiedziała i co prędzej odszukała swojego byłego męża. – Bądź tak dobry, proszę cię, i odwieź koleżanki Daniela do domu. Mam nadzieję, że nie piłeś za dużo i możesz prowadzić wóz.

– Oczywiście, że mogę. Przecież wiesz, że kiedy jeżdżę, nie piję ani kropelki. – Po czym zwrócił się do nas: – Daleko panie mieszkają?

Ucieszył się, że to niezbyt oddalone dzielnice i po drodze zwierzał się nam, jak bardzo martwi się o Daniela.

– Jeśli ma talent, to niech zostanie aktorem jak matka, ale jeśli nie ma, to drzę, co się z nim stanie. Przeraza mnie myśl, że chłopak zmarnuje się. Marny aktor to marna dola – westchnął na zakończenie swoich rozważań.

Przyznałyśmy mu rację i na pociechę Beśka dodała, że być może Daniel nie zda do tej aktorskiej szkoły i wtedy pomyśli o czym innym.

– To znaczy, że pani uważa, że ten mój jedynak to beztalencie...

– No, nie, tego nie powiedziałam, ale przecież egzamin to zawsze jakiś sprawdzian – niedołącznie ratowała sytuację Besia.

– No zobaczymy – powiedział i zatrzymał auto, bo właśnie dojechaliśmy na Polną.

– Dziękuję – zawołałam. – Niech pan się nie martwi! Wszystko będzie dobrze!

I pognałam na górę, a z Bešką już przedtem się umówiłam, że zadzwoni do mnie, jak się wyśpi.

Lucynka wysiadła, a ja jechałam dalej w ciemną dal u boku taty Daniela. Przyglądałam mu się ukradkiem i wydawał mi się zupełnie sympatyczny. Ciekawa jestem, dlaczego się rozwiódł z panią Hanną. Mnie się zdaje, że on się martwi o Daniela, ale Daniel tak jest

przyzwyczajony do stylu życia swojej matki, że trudno byłoby mu przestawić się na inny.

Niektórym dziewczynom u nas w szkole to Daniel imponuje. Ale mnie – nie. Takie niezwykłości na co dzień, taki teatr w domu to ja bym nie potrafiła. Lucynka co innego. Ale nie wiem, czyby chciała, bo ona się z Daniela podśmiewa.

Myślę o tym wszystkim i patrzę z ukosa na Danielowego tatę. Ma ładny profil i w ogóle jest taki męski w typie, i głos ma przyjemny, głęboki. Czy młoda dziewczyna może być szczęśliwa z mężem dużo od niej starszym? Nie umiem na to odpowiedzieć, ale przyznaję się, że podobają mi się panowie w starszym wieku.

– Jesteśmy na miejscu – mówi tata Daniela, zatrzymując wóz – miło mi było panią poznać i dostarczyć bezpiecznie do domu. Proszę zadzwonić do bramy, a ja zaczekam, dopóki dozorca nie otworzy.

– Strasznie dziękuję – wyszeptałam – ale on zaraz przyjdzie, jakoś dam sobie radę, nie chciałam, żeby pan czekał.

– Moje dziecko, za nic na świecie nie zostawię tu pani samej na pustej ulicy, w ciemną noc. Ale oto i dozorca otwiera bramę.

– Dziękuję panu, dobranoc!

Jednak inni są ci mężczyźni z tamtego pokolenia.

Beśka więc pojechała dalej ze starszym panem, a ja już na szczęście jestem w domu. Zmęczona i śpiąca. Chyba zrobię sobie prysznic, aby zmyć z siebie brud rozpusty, jak mawia Witek. Tak dawno nie było od niego listu. A tata? Może dzwonił z Pragi, kiedy mnie nie było w domu? Trzeba mi było wrócić wcześniej.

Trudno, niepotrzebnie się zasiedziałam. Otwieram drzwi, wchodzę, a bardzo nie lubię wchodzić do ciemnego mieszkania, przekręcam kontakt w przedpokoju i buch! potykam się o tę okropną walizkę i rozwalam sobie kolano. Pończocha na nic. Obca, brzydka, tandetna walizka. Wygląda odrażająco w naszym ładnym, małym przedpokoju i od razu przypomina mi tę dziwną wczorajszą wizytę.

Było to zupełnie rano i już sam sposób dzwonięcia do drzwi wydał mi się bezczelnie natrętny. Nie miałam pojęcia, kto może dobijać się w ten sposób. Pani Lodzia ma klucze, więc to nie mogła być ona. Poczta? Albo ktoś z redakcji do ojca? Zwykle przedtem telefonują, że wysyłają

gońca, żebym na niego czekała. Poczłapałam niechętnie do drzwi i nieufnie pytam: kto tam?

– Czy tu jest mieszkanie osiemnaście? – odezwał się nieznany kobiecy głos.

– Tu albo co?

– To proszę otworzyć. Mam zostawić coś.

Uchyliłam drzwi i zobaczyłam starą, tęgą kobietę w kwiciastej sukni. Włosy miała ufarbowane na jasnorudo, taki kolor marchewki, a oczy podcienione na zielono. Trawiastozielono.

– Pani się chyba pomyliła – mruknęłam niezbyt uprzejmie, bo ani rusz nie mogłam sobie z niczym ani z nikim skojarzyć tej barwnej postaci.

– Co się miałam omylić. Tu mam napisany adres!

Wyciągnęła do mnie niezbyt czystą rękę z krwawo pomalowanymi paznokciami i podała wymiętoszoną kartkę, na której nagryzmołony był nasz adres.

– Ale o co chodzi?

Zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym pogardy, po czym, popychając w moją stronę okropną, odrapaną walizkę przewiazaną sznurkiem, warknęła:

– Mam tutaj to zostawić!

– Zostawić? – spytałam głupkowato. – Ale co to jest? I kto to przysyła?

I przez moją mózgownicę, zasiloną licznymi notatkami prasowymi o zegarowych bombach podkładanych przez zemstę, przemknęła idiotyczna myśl, że nie jest wykluczone, że to jacyś niezadowoleni kibice chcą w ten sposób wyrzucić zemstę na Bogu ducha winnym sprawozdawcy z któregoś tam meczu.

– Kto to przysyła? – powtórzyłam.

Barwna osoba roześmiała się, przy czym jej uśmiech był uderzająco podobny do rehotu ropuchy. Błyskając złotym zębem spoza umalowanych warg, oświadczyła:

– Już on będzie wiedział. Nie ma sprawy!

Zdrętwiałam, usłyszawszy to, ale zanim zdołałam zapobiec, rudowłosa energicznym ruchem wepchnęła walizkę między drzwi, silnym kopniakiem wpakowała ją do przedpokoju i zasyczała:

– A co do tego, co jest w środku, to proszę się nie bać. Nic nie brakuje! – po czym oddaliła się szybko, a ja stałam zupełnie ogłupiała, zasłuchana w stukot jej wysokich obcasów.

Wreszcie, kiedy z lekka ochłonęłam i zamknęłam za nią drzwi, obecność tej walizy stała się dla mnie czymś okropnie przykrym. Po prostu byłam zgnębiona. Odwiązałam jednak sznurek i dotknęłam marnego, blaszanego zamka, który natychmiast odskoczył z trzaskiem, po czym uniosłam wieko. Bo jeśli by to miała być bomba zegarowa, to lepiej, żebym ja od niej zginęła niż mój drogi tata.

Ale we wnętrzu nie było bomby. Znalazłam tylko byle jak wepchnięty szlafrok męski z pomarańczowego frotte, parę zdartych kapci domowych, wygryzioną szczoteczkę do zębów i plastikową szklaneczkę z biedronką. Poza tym była zardzewiała maszynka do golenia. A także wyciśnięta do połowy tubka kremu „Pollena”.

Nie miałam pojęcia, co to były za rzeczy, do kogo należały i dlaczego przyniesiono je do naszego mieszkania. Nie wyglądało mi na to, aby adres był właściwy. Najchętniej wyrzuciłabym tę obrzydliwą walizę na śmietnik, ale postanowiłam poczekać, bo być może zgłosi się jeszcze jej prawdziwy właściciel. W każdym razie zupełnie zapomniałam w ciągu dnia o tej głupiej historii. A teraz przypominałam sobie dość namacalnie, kiedy starłam skórę na nodze. Zmoczyłam ręcznik i owinęłam nim nogę, po czym bardzo, ale to bardzo zmęczona, zdołałam się zdobyć na jeszcze tyle wysiłku, aby zdjęć moją balową kreację. Kiedy zaś w końcu dowleklam się do tapczana, rzuciłam się na niego i zaraz zasnęłam.

Owszem, zasnęłam. Ale nie wiem, dlaczego ciągle się budziłam i zasypiałam na nowo. To chyba koty miauczały na podwórku. Widać, pomylił się im koci kalendarz, bo przecież powinny miauczeć w marcu, a nie w czerwcu. Potem jednak znów zasnęłam, nieco mocniej, i śniło mi się, że Daniel i Besia lecieli samolotem nad naszym balkonem, a Besia wołała: „Każdemu wolno kochać!”. I rzuciła w moją stronę wiązanek kwiatów, które musiały chyba być ze szkła, bo ze szklanym brzękiem rozsypały się na podłodze. „Pozbieraj je! Pozbieraj! – wołał Daniel. – Pozbieraj, jeśli potrafisz.” – Śmiał się przy tym szyderczo, a potem dodał ponuro: „Idź do klasztoru, Ofelio! Idź do klasztoru!” „Zwariowałaś” – krzyknęłam w odpowiedzi i nawet usiłowałam

podskoczyć do tego samolotu, w którym oni obydwójce lecieli, ale skok mi się nie udał i poczułam, że spadam i spadam gdzieś w przepaść i zaczęłam się okropnie bać i aż krzyknęłam ze strachu. A kiedy krzyknęłam, to się obudziłam i to na moim starym, pocziwym tapczanie, który wydał mi się w tej chwili najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

– Coż za idiotyczne sny miewasz – powiedziałam sama do siebie z naganą i postanowiłam, że za to na jawie będę rozsądna. Rety! Przecież to już najwyższy czas pomyśleć poważnie o różnych sprawach. No, może nie tak od zaraz – bo powinnam trochę, chociaż troszeczkę poleniuchować po trudach i zdenerwowaniu maturą – ale aby nie za długo.

Usiadłam na tapczanie i zaczęłam się zastanawiać, jak powinnam spędzić dzień bieżący, aby wykorzystać go rozsądnie. Po prysznicu, który zaraz sobie zafunduję, pranko – bo nagromadziło mi się sporo drobiazgów, które na to czekają. Potem? Ach, nabrałam ochoty, aby się trochę poszpendać po mieście, przelecieć się po sklepach z młodzieżowymi ciuchami, obejrzeć coś niecoś. Może nawet i kupić? Coś zupełnie za trzy grosze, ale przyjemnie jest mieć nowy, choćby i tani łaszek, byle nowy! Oczywiście przed wyjściem zjem małe co nieco, bo zaczynam być głodna. Potem przyleci pewnie Beśka... Nie, nie przyleci, bo ona dziś jedzie do swojej babci, która jest w takim domu dla staruszków pod Warszawą. A może by pójść do kina wieczorem? Ostatnio opuściłam tyle znakomitych filmów. Mogłabym zadzwonić do kogokolwiek... Bodaj nawet do Daniela!... Poleciałby wcześniej po bilety...

Wzięłam więc gazetę, żeby przejrzeć, co dają w kinach, kiedy naraz przypomniałam sobie, że przecież nie będę mogła wyjść z domu, bo ojciec ma dzwonić wieczorem i powiedzieć, kiedy wraca. Więc nic z kina. Wobec tego zaproszę Goškę i może jeszcze kogoś la telewizję, bo dziś leci angielski kryminał. Urządzą małe przyjęcie – jajecznicą, słone paluszki, owoce, jogurt, razowy chleb z masłem i ogórkiem. Beśka, jeśli wróci wcześniej od tej swojej babci, na pewno dołączy do nas. Pogadamy sobie, poplotkujemy. Jakoś to będzie. A jeśli tata zadzwoni dość wcześnie, to jeszcze potem pójdziemy całą paczką na

spacer i na lody. Choćby w Aleje... Lipy już zaczynają pachnieć. A może to nie lipy, tylko jaśmin?

Jednak jaśmin!

Pachniał najcudowniej na świecie, a ja byłam niezmiernie szczęśliwa, bo ojciec zadzwonił zupełnie wcześniej i to z bombową nowiną. Zostaje w Pradze jeszcze dwa albo trzy dni, a potem jedzie do Szwajcarii! Będzie robił sprawozdanie z meczu z Zurychu i skądś jeszcze – nie dosłyszałam dobrze. Bo ten redaktor Latoszewski, który zawsze wszędzie jeździ, zachorował i nie może. To nieładnie cieszyć się z cudzej choroby, ale ja jestem widać obrzydliwym podlecem, bo właśnie że się ucieszyłam. Nareszcie mój jedyny, kochany tato, spychany na wołomińskie mecze, będzie miał okazję pokazać, co potrafi. Byłam szczęśliwa! Moje „party” udało się wspaniale, bo w dodatku każdy, jak na zamówienie, przyniósł jeszcze jakieś pyszności do żarcia. Więc nie cierpieliśmy głodu, siedzieliśmy na podłodze i oglądaliśmy telewizyjny kryminał. Po skończonym programie zdecydowaliśmy, że wieczór jest piękny, pogoda wspaniała, niespodzianki życia przed nami – a więc należy iść na spacer. Poszliśmy więc w Aleje i właśnie wtedy przekonałam się, że to jaśmin tak pachnie rozmarzające W zwariowanym nastroju pozwoliłam się nawet Danielowi pocałować. Ale tylko w policzek. Zaznaczyłam też, żeby nie traktował tego zbyt serio. Na przykład jako wyrazu moich uczuć dla niego. Co to, to nie. W końcu zaczęłam się trochę wygłupiać i było dość śmiesznie. Wszyscy teraz chcieli koniecznie wiedzieć, dlaczego jestem taka w skowronkach, ale ja nikomu nie powiedziałam nic a nic, żeby nie zapeszyć tatowego powodzenia. Bo jak się zaczyna dobrze dziać, to człowiek ze strachu o te trochę szczęścia staje się przesądny. Ale w ogóle to było fajnie. Zrobiło się jednak już bardzo późno, więc odprowadziliśmy Goškę na Starówkę, bo ona tam mieszka, a potem już nocnym autobusem, odwieziona przez Daniela i Roberta, wróciłam nieprzyzwoicie późno do domu. Ręczę, że niektórzy z naszych sąsiadów od razu powiedzą, że ta mała Prandotówna, kiedy tylko jej ojciec wyjechał, korzysta, jak to określiła jedna z naszych znajomych, z nadmiernej swobody.

Jaka tam nadmierna swoboda! Ale było nam wesoło. Bo jeszcze zanim rozstaliśmy się z Gosią, to przysiedliśmy na Rynku i wymyśliliśmy sobie świetną zabawę. Gadaliśmy szeptem, żeby ci, co tam mieszkają, nie urągali, że chuligani i w ogóle zdziczała młodzież. Ale dusiliśmy się ze śmiechu, bo zabawa polegała na tym, że każdy z nas wypowiadał swoje życzenie, wzywając staromiejskiego bazyliuszka, aby je spełnił. Wtedy wszyscy pozostali namawiali bazyliuszka, aby wszystko spełniał na opak i opowiadali, jak to będzie wyglądać. Więc kiedy ja powiedziałam, że chcę zostać konserwatorką zabytków i chcę odnawiać stare obrazy, ramy i stare gobeliny, od razu zaczęły zaklinać bazyliuszka, żeby nie słuchał, co opowiadam, tylko żebym na odwrót, zamiast naprawiać jakieś starocie, musiała obrebiać pieluszki dla moich licznych dzieci. A znów Daniel – żeby zamiast iść na scenę – został uczciwym krawcem, bo przecież przepada za ciuchami... A Beśka? Po co ma pchać się na arabistykę czy coś podobnego, lepiej niech się zajmie sportem wyczynowym, bo to jej dobrze zrobi na linię, ponieważ Besiulka jest trochę okrągła. Ale jej to wcale nie szpeci. Wygląda jak ciasteczko z kremem, przynajmniej mój tato tak ją nazywa.

Po tak szalonym wieczorze, oczywiście nazajutrz nie byłam w stanie zająć się sprzątaniami i zmywaniem, ale Besia i Gośka obiecały, że przyjdą gdzieś koło południa i pomogą mi zatrzeć ślady tego wytwornego przyjęcia. Bo obawiam się, że pani Lodzia byłaby lekko zgorszona tym, co by zastała. „Frenetycznie nie lubię brudnych naczyń w pokoju” powiedziałyby na pewno.

Wyniosłam więc to i owo do kuchni, wpakowałam do zlewozmywaka, potem posłałam sobie tapczan, umyłam się raczej pobieżnie i zaraz zasnęłam, mocno i smakowicie.

Spałam chyba dosyć długo, mimo że od jakiegoś momentu przeszkadzało mi żalosne kocie miauczenie. Przepadam za kotami, uwielbiam smukłe, czarne, bure i łaciate kicie dachowe i piwniczne, słucham pobłaźliwie marcowych śpiewów zakochanych kocurów, ale co za nadto, to niezdrowo. Żeby człowiek, który bądź co bądź ma prawo do wypoczynku, był budzony przez jakieś kocie nieporozumienia, to stanowczo przesada. W końcu miałam tego dosyć i zdecydowałam się jakoś tę kocią sprawę załatwić. Nie patrząc więc nawet na zegar, jeszcze okropnie zaspana, poczłapałam w stronę drzwi balkonowych,

bo nie wiem dlaczego wykombinowałam sobie, że być może mały kot wdrapał się na drzewo pod naszym balkonem i sam boi się teraz zejść. Na świecie było szaro, więc nie miałam pojęcia, czy to wczesny ranek, czy też bliżej południa, a może w ogóle już po południu? W każdym razie zdołałam stwierdzić, że pod balkonem nie ma żadnego kota.

– Chyba już nie będę spać dłużej – zdecydowałam i dopiero teraz spojrzałam na zegarek. Wskazywał godzinę piątą, ale to nie była piąta, ponieważ po prostu nie chodził. Najwidoczniej zapomniałam go nakręcić. W rezultacie zadzwoniłam do zegarynki i z niejakim zadowoleniem dowiedziałam się, że jest dopiero siódma czterdzieści siedem. No, nie tak źle. Co prawda bałagan po wczorajszym skromnym przyjęciu był kosmiczny, ale pocieszyłam się zaraz, bo przypominałam sobie, że dziewczyny przyjdą pomóc. Na razie należało umyć się i coś zjeść.

A jednak dobry chłodny prysznic jest rzeczą wspaiałą. Odzyskuje się po nim siły, humor i chęć do życia. Teraz małe co nieco na śniadanie, a potem porządky. Jejku! A pranko, które na mnie czeka, to co? Rozmyślenia na temat prania przerwał telefon. Dzwoniła Gośka, z przeprosinami, że dziś nie może przyjść do mnie, bo mają niespodziewanych gości z prowincji. No i tak wygląda przyjaźń i pomoc! Ona podbawia swoich gości, a ja będę się męczyć ze sprzątaniami. Nie można wierzyć dziewczynom! Teraz mogę liczyć już tylko na Beškę i mam nadzieję, że mnie nie zawiedzie. Na ogół jest fajna.

I właśnie w tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. To na pewno Besia! Otworzyłam więc z rozmachem i na oścież, gotowa na serdeczne przyjęcie ukochanej przyjaciółki, kiedy z największym zdumieniem stwierdziłam, że to wcale nie jest Besia, tylko jakaś inna dziewczyna. Starsza od niej, szczupła, elegancka, ciemnowłosa. Była podobna w typie do tej, którą widziałam w Bristolu. A może tylko mi się wydawało? Ubrana w jasny płaszczek letni, kieszenie duże, nakładane. Cud! Marzę o takim. W ramionach, bo tak należałoby to określić, trzymała jakieś spore zawiniątko. Wyglądało jak wałek. Mniej więcej jak bielizna, którą się nosi do zmaglowania.

– Pani do kogo? – spytałam.

– Ja wiem, że on tu mieszka – odpowiedziała wyraźnie zdenerwowana.

– Kto?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo chodzi! – krzyknęła. – Wiem, że nie ma go teraz w domu. Ale ja muszę wyjechać...

– Jeśli pani jedzie do Pragi – powiedziałam grzecznie, bo pomyślałam o koszulach, które mogłabym dać dla taty – to może pani by zabrała...

– Nie jadę do żadnej Pragi! – przerwała mi. – Jadę trochę dalej, moja droga! – Roześmiała się przy tym jakoś ironicznie, a potem schrypniętym szeptem zaczęła mówić, najwidoczniej zdenerwowana: – Już czas na mnie, rozumiesz? Za kilka godzin muszę być na lotnisku! Może to szaleństwo, ale tak postanowiłam...

Zupełnie nie rozumiałam, o co jej chodzi i stałam jak idiotka. Wreszcie wyjąkałam.

– Pani się chyba omyliła! Może pani do kogo innego...? Ja pani nie znam.

Jednak nieznajoma, najwidoczniej zniecierpliwiona, odepchnęła mnie i wpakowała się do przedpokoju, a potem, widząc otwarte drzwi do pokoju ojca, wpadła tam i położyła swój pakunek na tapczanie. Rzuciłam się do niej.

– Ależ proszę pani! Proszę wyjść! Kto pani jest? Niech pani zabiera swoje rzeczy!

– Nie zadawaj głupich pytań, bo jestem i tak zdenerwowana, rozumiesz, idiotko?

– Nie rozumiem! – wrzasnęłam teraz ja z kolei. – Proszę sobie iść!

– Zrozumiesz, jak przyjdzie czas – pokiwała głową, a potem spojrzała na zegarek. – Święty Boże! Za trzy i pół godziny odlatuje mój samolot.

– W takim razie już wiem! Pani leci do Zurychu!

Spojrzała na mnie z wyraźnym politowaniem, po czym wzruszyła ramionami i wyjaśniła.

– Lecę w świat! Tam, gdzie mnie czeka piękne życie!

Po tym zaskakującym oświadczeniu dziewczyna wybiegła na schody. Chciałam ją jeszcze zapytać, czy właściwie spotka się z tatą, czy ją wysyła Radio, ale nie zdążyłam, i już tylko usłyszałam stukot jej

wysokich obcasów. Rzuciłam się w pierwszym odruchu, aby za nią pobiec, ale zaraz wydało mi się to bezsensowne. Pobiegłam więc tylko na balkon i zobaczyłam, jak wsiadała do taksówki, która momentalnie ruszyła. Odczytana w kryminałach, chciałam zapamiętać numer, ale taksówka odjechała zbyt szybko i nie zdążyłam. Wróciłam więc do pokoju, znękana tą całą historią. Usiadłam na tapczanie i napiłam się trochę coli, żeby jakoś odzyskać równowagę. Co ona właściwie plotła? Pograżona w rozważaniach, zapomniałam o tym jej pakunku. Najważniejsze wydało mi się teraz, żeby zadzwonić do redakcji i dowiedzieć się, czy to czasem nie był ktoś od nich. Ale czy możliwe, aby dziennikarka zachowywała się jak osoba stuknięta? A może to była jakaś włamywaczka, która przyszła na przeszpiegi?

Już miałam wykręcić numer redakcji, kiedy znów usłyszałam kocie miauczenie. Urwać się można z tymi kotami! Najwyraźniej jakiś kociak odzywał się żałośnie, jakby u nas w mieszkaniu. Nic innego, tylko wpadł ze schodów, kiedy była ta dziewczyna. Zawołałam więc zachęcająco: kici, kici, ale nie dało to żadnego efektu. Miauknięcia jednak powtarzały się. Pewnie siedzi to kocisko pod fotelem albo pod szafą w pokoju ojca. Bo stamtąd wyraźnie dochodził teraz ten żalorny pisk.

Ale kota nie było ani pod szafą, ani pod fotelem, a kocie kwilenie, jak się okazało, wydobywało się z tego pakietu bielizny. Daję słowo! Podeszłam bliżej, żeby się dokładnie przekonać. Pakiet zawinięty był w piękny, różowy kocyk, pozapinany ordynarnymi agrafkami. Zdumiona, pochyliłam się więc nad zawiniątkiem i ostrożnie odchyliłam brzeg koca. I wtedy zobaczyłam małą, skrzywioną do płaczu buzię niemowlęcia.

– Dziecko! – wrzasnęłam.

I w tejże chwili niemowlę zaczęło ryczeć na dobre.

Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Zrozumiałam tylko, że ta dziewczyna podrzuciła u nas dziecko. Najwidoczniej mam spóźniony refleks, bo jak kretynka rzuciłam się do drzwi, aby ją gonić, ale zaraz też uświadomiłam sobie, że przecież wsiadła do taksówki i na pewno już jest daleko! A ja, biedna idiotka, nie zorientowałam się, po co ona tu przyszła. Co prawda na swoje wytłumaczenie miałam to, że jak

dotychczas nikt u nas nie podrzucał dzieci. Więc skąd mogłam wiedzieć, jakie ona ma zamiary?

Tymczasem niemowlak krzyczał coraz rozpaczliwiej. Zaniechałam więc pogoni i wróciłam do dzieciaka. Porozpinałam agrafki i rozwinęłam kocyk. Ubrane było toto bardzo ładnie, w niebieskie śpioszki i gdyby tak nie ryczało, nie byłabym taka zdenerwowana.

– No, nie płacz, nie płacz – zaczęłam przemawiać łagodnie, ale dzieciak ani myślał słuchać. Co robić? Podobno dzieciom, żeby je zabawić, śpiewa się piosenki. Ale co powinnam zaśpiewać? Żadna z tych piosenek, które znam, nie wydawała mi się odpowiednia. Spróbowałam więc nucić coś ludowego, ale kiedy to nie pomagało, przypomniałam sobie, że przecież małemu dziecku śpiewa się kołysanki. Zaśpiewałam więc, pełna najlepszych chęci: aaa, kotki dwa, szare bure obydwu. Ale podrzutek na kołysankę też nie reagował i właściwie dopiero teraz rozkrzyczał się na dobre.

Zaczęła mnie ogarniać panika. Czułam się bezradna i rzucona na pastwę złośliwego losu. W dodatku uprzytomniłam sobie, że mam na sobie tylko stary, frotowy płaszcz kąpielowy, że jestem okropnie głodna i że w ogóle przecież, muszę coś zrobić. Do kogoś się zwrócić... Może zatelefonować, zresztą bo ja wiem?

Zostawiłam więc płaczące niemowlę i kładąc sukienkę nabierałam coraz bardziej przekonania, że cała ta zwariowana historia wynika niewątpliwie z pomyłki. Nic innego! Dziewczyna była zdenerwowana, rozkojarzona i pomyliła piętra. A może numer mieszkania albo i domu? Kto to wie.

Dzieciak nie przestawał płakać i to mi przeszkadzało spokojnie zebrać myśli, zastanowić się nad sytuacją. W jaki sposób mogłabym zorientować się, kto miał otrzymać ten niezwykły pakunek? Muszę przecież coś zrobić. Muszę zacząć działać. Tak nie może być! Swoją drogą coś podobnie bezsensownego naprawdę tylko może się przyśnić.

Zaraz, a może rzeczywiście to mi się śni? I za chwilę obudzę się? Czasem tak się zdarza, że jakiś męczący sen gnębi człowieka i nie można się z niego wyrwać.

Ale to nie był sen, tylko okrutna rzeczywistość.

Najważniejsze – myślałam teraz – to zachować zimną krew i zastanowić się przez chwilę spokojnie. Więc jeśli to jest omyłka,

najpierw należy dojść do tego, o które mieszkanie naprawdę tej dziewczynie chodziło i komu chciała zostawić dzieciaka. Masz ci los, a to znowu płacze no, cicho bądź, czemu płaczesz? Przestań, proszę cię.

Byłam zła, a jednocześnie było mi ogromnie żal tego biedactwa. Co takie małe jest winne, że się mama omyliła? A teraz ja muszę naprawiać tę omyłkę. Dla dobra dziecka i dla własnego spokoju. Na razie muszę jednak coś zrobić, żeby przestało płakać.

Wzięłam więc je ostrożnie na ręce. To, widać, spodobało mu się, bo ucichło i przyglądało mi się teraz badawczo.

– No widzisz, jak to dobrze, że nie płaczesz? Grzeczne dziecko! – pochwiliłam.

Ale już po chwili brzdąc zaczął drzeć się na nowo. Buzię miał wykrzywioną żałością, a łzy wielkimi kroplami spływały mu po policzkach.

– No i znowu zaczynasz? – jęknęłam bezbronnie.

Naraz przyszło mi do głowy, że może to maleństwo jest głodne. Słyszałam nieraz, że dzieci płaczą z głodu. No, jasne! Ze też wcześniej się nie domyśliłam! Ja też jestem inteligentna osoba! Nie ma co!

Po tej samokrytyce położyłam niemowlaka na tapczanie i pogałam do kuchni. W lodówce powinna być cała butelka mleka. Mleko jest na pewno bardzo odpowiednie dla małego dziecka. Tylko, że musi być podgrzane. Drżącymi rękami nalałam trochę mleka do rondelka i podpaliłam gaz, pokrzykując przy tym do malucha, żeby nie płakał, bo zaraz dostanie mleczka. Oczywiście ledwie je zdążyłam przegotować, od razu musiałam je podstudzić, bo przecież nie dam ukropu. Tymczasem dzieciak jakby przycichł trochę, Widać zmęczony krzykiem, i tylko pomiaukiwał żałością. Brzegiem ręcznika obmyłam mu buzię. Ten zabieg toaletowy został przyjęty bardzo dobrze. Maluch przestał płakać i przyglądał mi się uważnie dużymi oczami. Wyglądał tak wzruszająco i bezbronnie... Biedactwo...

– Zaraz dostaniesz mleczka – powtórzyłam.

Ale jak się okazało, dziecko zupełnie nie potrafiło pić z kubeczka, krzywiło się i znów zabierało do płaczu. Spróbowałam więc łagodnej perswazji.

– Pij, kochanie, no, pij!... nic to jednak nie pomogło. – Co robić? Co mam zrobić? – krzyknęłam z rozpaczą. W tejże samej chwili

usłyszałam, że zegar bije godzinę dziewiątą. Nie ma co! Piękny dzień się zapowiada... – A ta twoja matka to dobry numer powiedziałam z wyrzutem do biednego malucha przecież ja nie umiem zajmować się dziećmi!

I ogarnęło mnie przerażenie, że jeśli nie zdołam malca nakarmić, to może umrzeć z głodu. Podobno takie maleństwa, jak kiedyś czytałam, są najmniej odporne na niedożywienie. A gdyby spróbować łyżeczką? Taką najmniejszą, od czarnej kawy?

Pomysł może był i niezły, tylko wykonanie gorsze, bo trudno było wlewać płyn do wykrzywionej płaczem buzi. W każdym razie jakaś odrobina dostała się do przetyku. To jednak nie powstrzymało malca od płaczu. Święty Boże! Co ja mam począć? W dodatku ktoś dzwoni do drzwi. Zaraz, może to ta wyrodna matka wróciła skruszona, aby zabrać niemowlę?...

Ożywiona tą nadzieją szybko otworzyłam drzwi. A za drzwiami stała Besia.

– To ty? – wyjąkałam.

– Ach, tak! Więc oczekiwałaś jakiejś innej wizyty? Przyznaj się! Toś ty taka?

– Uspokój się – jęknęłam. – Ty sobie dowcipkujesz, a ja...

Chciało mi się płakać i już nie mogłam dalej mówić.

– Lucynka, co ci? – zaniepokoiła się Besia. – Gadaj, co się stało?

– Co się stało? – powtórzyłam. – No to zobacz!

I wprowadziłam Beškę do pokoju taty.

– Dziecko? – zdziwiła się trochę, po czym dodała. – Hm, ostatnio wcale na to nie wyglądałaś!...

– Nie wyglupiaj się! – wrzasnęłam i opowiedziałam jej, w jaki sposób doszłam do posiadania podrzutka, który znów ryczał jak najęty.

– No i co mam począć? – spytałam bezradnie. – Dlaczego tak płacze okropnie?

Beška, która ma dzieciate kuzynki, jest więcej uświadomiona i dlatego od razu powiedziała, że na pewno dzieciak jest głodny albo ma mokro.

Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Oczywiście, takie małe brzdące ciągle mają mokro i ciągle im trzeba zmieniać pieluchy.

Tymczasem Beśka już ściągnęła z podrzutka błękitne śpioszki i zaczęła rozwijać go.

– Nie płacz, nie płacz – przemawiała do niego, a ja stałam i gapiłam się z podziwem, widząc, jak ona to zgrabnie robi.

– No, gdzie ta pielucha? – zapytała.

– Kiedy nie mam żadnej pieluchy – zdenerwowałam się. – Skąd mam wziąć pieluchę?

– Dawaj czystą szmatkę – stary ręcznik albo kawałek starego prześcieradła... Jejku! – zawołała naraz. – Lucynka, wiesz? To jest chłopak!

W istocie fakt nie ulegał wątpliwości.

– W każdym razie chociaż tyle o nim wiadomo – mruknęłam, wyciągając z szafy stary, czysty ręcznik.

– Ale wiadomo też, że jest głodny – gderliwie zauważyła Beśka. – Tyle że kiedy ma sucho, to nie płacze, nawet uśmiecha się! Patrz, jaki to ładny bobas! Dawaj teraz ciepłe mleko i małą łyżeczkę, spróbuję go nakarmić.

A swoją drogą Beśka jest wspaniała. Potrafiła tak jakoś zgrabnie trzymać brzdąca i wlewała mu do buzi mleko łyżeczką. Co prawda mały najwidoczniej nie potrafił jeszcze pić w ten sposób i mleko kapało mu po brodzie, ale jest nadzieja, że cokolwiek przełknął. Naraz Beśka krzyknęła z zachwytem.

– Lucynka, wiesz? On ma już dwa ząbki. Na dole! Śliczny bobas! Przyznaj się od razu, kto jest jego ojcem...

– Odczep się – mruknęłam – nie pora na żarty. Trzeba pomyśleć, co z nim zrobić. Przecież to jasne, że został tu podrzucony przez pomyłkę...

– No, nic innego zgodziła się Besia. – Na pewno tak było. Ale wiesz co? Musisz się postarać o butelkę ze smoczką. Na dłuższą metę nie da rady bez butelki!...

– Jak to „na dłuższą metę”? – oburzyłam się. – Co ty sobie wyobrażasz? Trzeba coś zrobić z dzieciakiem. Przecież nie może tu zostać...

– Więc jeśli chcesz się go pozbyć, to musisz dać znać milicji, żeby zabrali dzieciaka. Oddadzą go do jakiejś izby, gdzie przetrzymuje się

bezdomne dzieci, takie, co się zgubiły, co uciekły z domu albo podrzutki...

Spojrzałam na malucha i żal mi się go zrobiło... Patrzył na mnie tak ufnie i złożył wargi w śmieszny dzióbek. Czy można takie małe, bezbronne coś po prostu wyrzucić z domu? Powiedziałam więc niepewnie.

– A czy nie byłoby lepiej na własną rękę odnaleźć właściwego adresata? Kto wie, czy nie ucieszyłby się nawet, że jego dziecko, zamiast poniewierać się po jakichś zakładach, znajdzie się pod opieką ojca? Może ten ojciec nie byłby taki wyrodny jak matka?

– Odszukać właściwego adresata? – podchwyciła Beśka. – Wiesz, to jest myśl! Zupełnie możliwe, że dziewczyna pomyliła piętra albo numery mieszkania. Trzeba by spróbować. Tylko jak? Zastanówmy się... Kto mieszka pod wami? – zapytała rzeczowo.

– Samotna staruszka z pieskiem, a w drugim mieszkaniu wdowa z córeczką.

– Odpadają – zdecydowała Besia – chociaż... czekaj... a czy staruszka z pieskiem nie ma czasem sublokatora? Samotnego młodzieńca albo i pana w średnim wieku, który porzucił biedną dziewczynę z dzieckiem?

Tak. To nie było wykluczone...

– A piętro wyżej? – w Bęsie wstał duch Sherlocka Holmesa.

– Czekaj, niech pomyślę... Zaraz... Nad nami bezpośrednio mieszka jakiś inżynier z dwojgiem dzieci. Bliźnięta. A w drugim mieszkaniu... Kto mieszka w tym drugim?... Zdaje mi się... Tak, teraz jestem pewna! To są jacyś zupełnie nowi lokatorzy! Pamiętam tę ich przeprowadzkę! Podobno zamienili mieszkanie z tamtymi, co mieszkali tu przedtem...

– Być może, że ten, co się sprowadził, to właśnie uwodziciel – stwierdza Besia.

– Jaki znów uwodziciel?

Besia spojrzała na mnie z politowaniem.

– Lucynka, Lucynka! Maturę masz, a nic nie rozumiesz. Przecież jasne, że to musi być dziecko nieszczęsnej, uwiedzionej dziewczyny. Tylko że jako matka postąpiła ohydnie. No, nie?

Tak najzupełniej to się z Bešką nie zgadzam. Przecież nie wiemy, co ją do tego zmusiło? Tylko czemu za to wszystko ma pokutować ten biedny dzieciak?

– Musimy znaleźć tego ojca – powtarzała Besia – a być może okaże się człowiekiem, który kocha dzieci i będzie się dobrze opiekował podrzuconym synkiem. Słyszałam, że bywają i tacy...

– Może i bywają – zgodziłam się i poszłam do kuchni, żeby poszukać kaszki manny, bo Besia przypomniała sobie, że małe dzieci chętnie jedzą kaszę na mleku. Nie byłam tak zupełnie tego pewna, bo ja na przykład nie lubiłam, ale w każdym razie zabrałam się do gotowania. Powinno to trwać pięć minut, stałam więc przy kuchence i mieszałam starannie gęstą papkę, kiedy naraz z pokoju dobiegło mnie wołanie Besi.

– Lucynka! Lucynka! Chodź no prędzej! Patrz, co ja znalazłam!

Stała na środku pokoju i trzymała w ręce jakąś kartkę.

– Spójrz! To wypadło z kocyka, kiedy chciałam złożyć go na nowo. Bierz i czytaj!

Chwyciłam świstek i jego treść wydała mi się tak zaskakująca, że musiałam ją odczytać parokrotnie.

*Winniczku drogi – serce mi pęka, ale muszę
zostawić ci Adasia. Wychowaj go na dobrego Polaka,
gdy ja będę tęsknić na obczyźnie. Tak jest lepiej.
Wybacz i bądź szczęśliwy. O trzynastej trzydziści
pożegnam kraj i przeszłość*

Iwona

– Podoba mi się ta korespondencja! – syknęłam. – Ładny okaz, nie? I co teraz? Winniczku! Co to znaczy: „Winniczku”?

– Leć zamieszać kaszkę – przerwała mi Besia – mimo wszystko trzeba dzieciaka nakarmić... A ty też powinnaś coś zjeść. Założę się, że jesteś bez śniadania. A poza tym, jeśli się nie mylę, winniczek to taki ślimak.

– Ślimak?

– No, tak. Taki, co to się mówi: pokaż rogi, dam ci sera na pierogi.

– Jakie znów pierogi?! Ja zwariuję!

Jasne, że miałam rację. Lucynka była bez śniadania. A jeśli chodzi o podrzutka, jakoś udało się nam nakarmić go kaszką na mleku. Byłam bardzo dumna, że potrafiłam tego dokonać. Lucynka, kiedy zjadła co nieco, też odzyskała równowagę ducha. Przeczytałyśmy więc spokojnie jeszcze raz bazgroły tej wyrodnej matki, aby nabrać poglądu na sprawę.

– E... – machnęła ręką Lucynka – takie to jakieś ple–ple! W dalszym ciągu nic nie wiemy. Winniczek! Też wymyśliła!

– Jak to nie wiemy? – oburzyłam się. – Przede wszystkim wiemy już, że podrzutek ma na imię Adaś. Ze nie jest to zupełnie bezimienny podrzutek. A po drugie...

– Już wiem! – przerwała mi Lucynka. – Prawda! Wiemy, że ona odlatuje samolotem o trzynastej trzydzieści! Ona mi już o tym samolocie opowiadała, tylko że zapomniałam. A teraz jest...

Była dwunasta. Jedziemy więc na lotnisko – zdecydowałyśmy jednomyślnie.

– Właśnie! Tylko dokąd ta Iwona leci?

– Musimy zaryzykować – oświadczyła Lucynka.

– Będziemy pilnować wszystkich odlotów o tej godzinie i w końcu złapiemy ją! Ja się zaraz przebieram, żeby jako tako wyglądać, a ty przez ten czas przewiń na nowo dzieciaka, żeby nie ryczał na lotnisku.

– A może byłoby lepiej, żeby ryczał? Czy Iwona, słysząc płacz dziecka, nie złamie się? – zauważyłam i przeszłam do spraw realnych.

– Weźmiemy wasz samochód. Poprowadzisz fiata?

Ale nie był na chodzie, więc lada chwila miała po nas przyjechać zamówiona taksówka. Była to jazda luksusowa, bo za całe pięćdziesiąt osiem złotych, które Lucynka z ciężkim westchnieniem zapłaciła.

– Okropnie drogo – szepnęła – ale być może warto się szarpnąć. Teraz zobaczmy rozkład odlotów.

Podrzutek, który podczas jazdy taksówką zasnął błogo, spał dalej i dzięki temu mogłyśmy spokojnie rozpatrzyć się w sytuacji. Jak się okazało, w wymienionym przez Iwonę czasie startowały dwa samoloty: jeden o trzynastej trzydzieści do Stambułu, a w pięć minut później drugi do Madrytu.

– Obstawiamy obydwu – mruknęła konspiracyjnie Lucynka – musimy całą akcję przeprowadzić dyskretnie. – Po czym oddała mi malucha i

szybko pomknęła do kiosku, gdzie sprzedawano bilety na taras. – Po co te bilety? – zdołałam zapytać.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Po to, moja droga, aby ją zdemaskować...

Co prawda nie bardzo wiedziałam, jak zamierza tego dokonać, ale nie było czasu na zastanawianie się. Ręce mi przy tym zdrętwiały, bo podrzutek, kiedy się go dłużej taszczyło, ważył swoje i chciałam go oddać Lucynce, aby trochę pottrzymała, ale odskoczyła ode mnie i powiedziała, że dla dobra sprawy muszę jeszcze nieść małego, bo ona sama powinna wmieszać się w tłum i podstępnie dopaść tę podłą Iwonę.

– Jak zobaczy dziecko, to zaraz ucieknie!

Ja co prawda byłam innego zdania. Sądziłam, że żadna matka, gdy usłyszy płacz dziecka, nie potrafi się oprzeć, żeby go nie wziąć na ręce. A Adaś rzeczywiście, jak na zamówienie, ryczał teraz wniebogłose, co wywołało niejaki zainteresowanie wśród publiczności. Nawet jeden pan, taki starszy i gruby, powiedział niezupełnie po polsku:

– Ucisz, panienska, ten dzieciak!

Dopiero jakaś pani ujęła się za mną.

– Co to? – powiedziała. – Dziecko sobie popłakać nie może?

Tymczasem przez megafony zapowiadano, po polsku i w obcych językach, przyloty i odloty samolotów i nawet czułam się zupełnie dobrze w tym gwarным tłumie podróżnych, bo załatywało to szerokim światem, tylko rola młodej matki z dzieckiem na ręku nie bardzo mi odpowiadała. Zwłaszcza gdy usłyszałam, jak jacyś państwo ubolewali nade mną:

– Taka młodziutka, sama jeszcze dziecko... co za czasy...

Naraz przerwano nadawanie komunikatów, a za to z megafonu rozległo się wezwanie:

– Uwaga, uwaga! Pan Leszek Pikulski, odlatujący do Nowego Jorku, proszony jest o zgłoszenie się do dyżurnego portu! Powtarzamy... Pan Leszek Pikulski...

Poczułam uszczypnięcie w łokieć. Przy mnie stała Lucynka.

– Słuchaj – szepnęła – nigdzie nie ma tej Iwony! Ale za to mam pomysł. Słyszałaś, jak wzywano tego Pikulskiego czy jak tam?

– Słyszałam. Albo co?

– Jak to „albo co”? Zaraz wezwiemy w ten sposób Iwonę!

Pomysł w założeniu nie był zły, tylko miałam niejakie obawy, jak uda się jego realizacja. Ale należało spróbować. Przepychając się przez tłum, dotarliśmy do okienka, przy którym należało zgłaszać osoby, które powinny być wywołane. Przystojna blondynka w mundurku od pierwszej chwili zaczęła przeżywać wątpliwości, czy może spełnić naszą prośbę.

– Nazwisko tej pani, która ma się zgłosić – zażądała od razu.

Więc Lucynka na to, że najzupełniej wystarczy imię. Po prostu – Iwona!

– A dokąd odlatuje? – panienska w mundurku była dociekliwa.

– Albo do Stambułu, albo do Madrytu! – wyznała nieopatrznie Lucynka. I to wydało się tej podejrzliwej osobie jeszcze bardziej podejrzane, sprawa wyglądała więc coraz gorzej.

– A kto ją wzywa i po co?

W tym momencie Lucynka straciła cały rozmach i spojrzała na mnie bezradnie. Czułam, że muszę też jakoś się włączyć i palnęłam:

– Syn Adaś ją wzywa! Przecież pani widzi, że dziecko płacze za matką!

Nie było to jednak zręczne posunięcie i w jednej chwili zrozumiałam, że popełniłam fatalny błąd. Przecież Iwona, kiedy usłyszy takie wezwanie, na pewno nie zgłosi się! Chyba żeby ruszyło ją sumienie, ale na to nie bardzo można było liczyć.

– A właściwie to kto wy jesteście?

– My jesteśmy opiekunki! – powiedziałam.

– Opiekunki?... – powtórzyła z powątpiewaniem urzędowa osoba. – Coś mi to wszystko nie wygląda! Czyje opiekunki? Macie jakieś legitymacje albo dowody osobiste? A może to w ogóle ma być jakiś kawał? Co?

– Przysięgam, że to nie kawał, tylko sprawa poważna i życiowa – jęknęła Lucynka. – To jest dziecko tej Iwony...

– Co to za jakieś kręactwa... – wzruszyła ramionami. – Nie podoba mi się ta historia. Lepiej będzie, jak to wszystko opowiecie milicji. Zaczekajcie chwilę...

I naprawdę wzięła słuchawkę, nakręcając numer, który, nie wątpię, był numerem milicji.

– Wiejmy! – szepnęłam do Lucynki.

– Wiejmy! – szepnęła Besia i chyba miała rację, bo licho wie, co by wynikało z tego spotkania z milicją. W każdym razie na pewno odebraliby nam podrzutka, a po drugie, nie miałyśmy przy sobie żadnych legitymacji i to wszystko też wywołałoby niewątpliwie niepożądane komplikacje. Szybko więc utonęłyśmy w tłumie, bo właśnie na szczęście przybyła jakaś liczna wycieczka rodaków z zagranicy i zrobiło się takie radosne i gwarne zamieszanie, że nawet bystra panienka z okienka straciła nas z oczu.

I w tym momencie dotarła do nas podana przez głośniki zapowiedź, że za dwadzieścia minut startować będzie samolot do Stambułu. Spojrzałyśmy na siebie. Tam Iwona bezkarnie odlatuje w siną dal, a my dźwigamy jej niewinnego i bezbronno potomka. Naraz przypomniałam sobie, że przecież nabyłam szczęśliwie bilety na taras, skąd być może dostrzeżemy wyrodną matkę. Nie byłam pewna, co wtedy zrobimy, ale w każdym razie postanowiłam, że wezwiemy ją, aby nie opuszczała Adasia.

– Jeśli nie dostrzeżemy jej wśród pasażerów do Stambułu, to jeszcze mamy szansę, aby poczekać na odlot do Madrytu – zauważyła Besia – ale na razie weź ten słodki ciężar, bo mi już ręce zupełnie zdrętwiały.

Szczęśliwe, że wyrwałyśmy się z tłumu i rozgwaru, zmierzałyśmy teraz w stronę schodów, wiodących na taras, skąd można było oglądać starty i lądowania samolotów. Ale tu czekała nas przykra niespodzianka.

Na schodach, wiodących w górę, stał tłum ludzi, posuwających się niezmiernie wolno. Okazało się, że są to wycieczki. Trzy wycieczki, bardzo liczne. Jedna składała się z działwy szkolnej, przybyłej na zwiedzanie lotniska z wioski Ruczaj Górny, druga wycieczka to był zespół pieśni i tańca przy spółdzielni mleczarskiej „Galaktyka”, a trzecia grupa składała się z pracowników biurowych wytwórni spinaczy imienia Jana z Czarnolasu. W sumie chyba ponad czterysta osób, a my na samym końcu.

– Rety! I za godzinę nie wdrapiemy się na te schody, bo ten tłum posuwa się jak stado ślimaków winniczków! – jęknęła przerażona Besia. – Samolot odleci i w ogóle nic nie zobaczymy!

– No, właśnie – przytaknęłam zgnębiona, kiedy naraz Beśka ujęła mnie pod ramię. – Proszę państwa, tu jest matka z maleńkim dzieckiem na ręku, proszę zrobić przejście!...

Adaś zasnął właśnie, widać zmęczony gwarem i słońcem, bo pogoda zrobiła się cudowna, i na tak kategoryczne wezwanie Beśki tłumy zaczęły się rozstępować, szepcząc nawet jakieś sympatyczne uwagi.

– Bardzo dziękuję... – powtarzała co jakiś czas Beśka, przeprowadzając mnie, z miną pielęgniarki, a kiedy usuwano się z drogi zbyt niemrawo, moja nieoceniona przyjaciółka rzuciła od niechcienia informację, że oto z tym maleństwem w ramionach chcę pożegnać męża sportowca, który ma rozsławiać w dalekim świecie imię polskiego sportu. Jakoś to poskutkowało i oto w słoneczne i błękitne południe stanęliśmy na tarasie, patrząc pilnie na płytę lotniska, czy aby nie dojrzymy tam występnej Iwony. Beśka, która jest bardziej oblatana i pomysłowa, od razu zapytała jakiegoś starszaka, który z tych samolotów odlatuje do Stambułu. Starszerek miał chyba dobre pięćdziesiąt lat, ale trzymał się jeszcze niezłe i najwyraźniej miał chęć podtrzymać rozmowę. Może odprowadzał kogoś i poczuł się samotny, a może po prostu lubił pogadać. Zaraz więc pokazał jej ten samolot i zwrócił uwagę, że właśnie z odprawy celnej wychodzą pasażerowie, którzy nim odlecą. O, teraz wsiadają do małego autobusu, którym podjadą do tej wspianiałej maszyny.

– I za pięć godzin będą już w Stambule – westchnął i pokiwał głową.

Ja słuchałam tego wszystkiego jednym uchem, bo Beśka musiała słuchać przez grzeczność, a ja nie. Więc tylko wypatrywałam, czy gdzieś przy tym autobusie nie dojrzę Iwony. Nie było to łatwe, bo podróźnych było sporo, jak więc wśród tych wszystkich osób mogłam rozpoznać dziewczynę, którą widziałam tylko przez chwilę? Gapiłam się i gapiłam, ale nikogo podobnego do niej nie widziałam.

Zdecydowałyśmy więc, że wobec tego musimy poczekać na ten samolot madrycki, kiedy naraz, gdy już autobusik miał odjechać na płytę startową, z pomieszczenia, gdzie, jak nas objaśnił starszerek, odbywała się odprawa celna, wypadła z trzaśnięciem drzwi czarnowłosa dziewczyna w rozwianej, białej pelerynie. Wyglądało to szalenie efektownie, ale nie to było ważne! Bo kiedy w jakiejś chwili dziewczyna odwróciła głowę, poznałam, że to Iwona!

Wtedy zrozumiałam, co to jest moment historyczny. Ciężar odpowiedzialności za losy biednego dziecka przytoczył mnie tak, że nie mogłam wydobyć głosu i otwierałam tylko usta coraz szerzej i szerzej, aż w końcu dobył się z nich rozdzierający pisk.

– Iwona!!! Twoje dziecko! Zabierz je!

Ale Iwona, która dojrzała mnie już na tarasie z Adasiem na rękę, roześmiała się tylko – i z całą bezczelnością pomachała do mnie przyjaźnie. Zaczęłam więc teraz wołać:

– Zatrzymajcie tę dziewczynę! Zatrzymajcie...

Ale hałas motorów zagłuszył zupełnie moje wołanie, a Iwona wskoczyła co prędzej do autobusiku, zatraskując za sobą drzwi. Autobusik natychmiast odjechał, bo podobno odlot i tak był nieco opóźniony.

– Zatrzymajcie ją... – powtórzyłam automatycznie, choć i tak to się nie mogło na nic przydać. – Co robić? – spojrzałam bezradnie na Besię.

– Zatrzymać samolot?

Oj, ta Lucynka! Zawsze taka dziecinna i optymistycznie patrząca na wszystko! Zatrzymać samolot! W jaki sposób? Jeśli nawet poszłybyśmy do kapitanatu, to przecież musiałybyśmy podać nazwisko tej Iwony, a gdyby nawet nie żądali nazwiska, to przecież trzeba podać jakieś podstawy do jej zatrzymania. Na pewno by nam nie uwierzyli. Na pewno!

Ale Lucynka uparła się. Podrzutek znów zaczął płakać, a ona wytrwale przedzierała się przez tłum, aby dotrzeć do władz lotniska. Ja po drodze próbowałam odwieść ją od tego, ale nie chciała słuchać. W dodatku dopadła do pierwszego spotkanego milicjanta i zażądała, aby natychmiast zaaresztował wyrodną matkę, czyli Iwonę. Naczytała się kryminałów i wyobraziła sobie, że on zaraz rzuci się do chwytania Iwony. Ale gdzie tam! Młody blondynek w milicyjnym mundurze spoglądał najpierw na nas z niedowierzaniem, a potem powiedział srogo:

– Poproszę dokumenty!

– Dokumenty? – wyjąkała Lucynka. – Jakie dokumenty?

Dokumenty! Dobrze, co? Klops na dwadzieścia cztery osoby. Ale wiedziałam, że tylko spokój i zimna krew mogą nas uratować. Powiedziałam więc grzecznie:

– Zaraz, panie poruczniku, zaraz okażemy dokumenty...

Ogarnęła mnie panika. Usiłowałam na poczekaniu wymyślić coś, co by nas ocaliło w tej sytuacji. Zainteresowanie milicji mogłoby jeszcze bardziej skomplikować tę i tak już dostatecznie zwariowaną historię. Więc w ostatecznej rozpaczy, ponieważ nic innego nie mogłam wymyślić, krzyknęłam:

– Patrz, Lucynko! Przyjechał Fibak z żoną! Musimy się z nimi przywitać!

Lucynka miała minę tak beznadziejnie niemądrą, że szcypnęłam ją w łokieć, aby ją jak najszybciej oprzytomnić, i żeby pojęła, o co chodzi. Całe szczęście, że nasz młody przedstawiciel kadr milicyjnych ze zrozumiałym i wynikającym z jego zawodu zainteresowaniem spojrzął w kierunku domniemanego Fibaka.

To była chwila, to była sekunda, kiedy należało z tego skorzystać. Bowiem jednocześnie nadjechał wielki, czerwony autokar z jakąś zagraniczną wycieczką. Chwyciłam więc Lucynkę za rękę i pociągnęłam za sobą. Przemknęłyśmy w okamgnieniu przed maską autokaru, kierowca zaczął na nas trąbić, zrobiło się zamieszanie, ale my na szczęście byliśmy już po drugiej stronie podjazdu.

– Prędko! Do taksówki! – wychrypiałam i zdyszane jak dwa psy dotarłyśmy do postoju. Nie miałam pojęcia, co porabia w tej chwili nasz Sherlock Holmes. Wołałam nie oglądać się. Tymczasem na postoju twardo czekał chyba kilometrowy ogon pasażerów z walizkami. I właśnie w tejże chwili nadjechała samotna, zielona taksówka.

Poskoczyłam ku niej, ciągnąc za sobą Lucynkę, a podrzutek zaczął płakać głośno i żałośnie.

– Matka z dzieckiem ma pierwszeństwo! – krzyknęłam rozpaczliwie i dopadłam drzwiczek taksówki. – Dziecko jest chore – dodałam, żeby nikt nie wątpił w nasze prawo.

Waż pasażerów zafalował, ktoś usiłował podważyć nasze uprzywilejowanie, ktoś nas bronił, wołając, że przecież jesteśmy z

małym dzieckiem, ale my już byliśmy w taksówce. Kierowca od razu zapuścił motor i tylko spytał:

– Dokąd jedziemy?

– Do domu! – zachrypiała Lucynka, ale ja musiałam mieć rozum za nas obydwie i powiedziałam:

– Na Litewską, do szpitala dziecięcego!

Kierowca odwrócił się do nas i powiedział ze zrozumieniem i współczuciem.

– Wiem, wiem, sam mam dzieci, tylko już dorosłe, ale wiem, jak to jest z takim małym.

Lucynka znów chciała coś powiedzieć, na pewno coś niewłaściwego w naszej sytuacji, więc czym prędzej uszczypnęłam ją jeszcze raz, żeby lepiej milczała. Biedactwo, będzie cała w sine placki od tego szczypania, ale nie miałam innej rady. Całe szczęście, że poczciwy pan kierowca tak sobie wziął do serca nasze kłopoty, że jechał szalenie szybko i podróż nie trwała zbyt długo. Tylko w jakiejś chwili zapytał:

– Przepraszam, że się wtrącam, ale to przecież absolutnie ludzka rzecz. Pani taka spłakana – zwrócił się do Lucynki – czy może to mężulek odleciał? Do Afryki? Na kontrakt?

– Nie mam męża – wyznała natychmiast Lucynka, bo ona jest z zasady prawdomówna. Musiałam więc wtrącić się i szybko wyjaśniłam, że to tylko chwilowe nieporozumienie rodzinne.

Kierowca pokiwał głową.

– Ano tak, różnie bywa. – I znów zapytał: – A to synek czy córeczka?

Najwidoczniej chciał okazać jak najwięcej życzliwego zainteresowania, bo jak wiadomo, każda matka lubi żeby interesować się jej dzieckiem. I oto już widzę ze zgrozą, jak ta gapa Lucynka otwiera dziób, aby znów łapnąć coś karygodnego. Mówię więc szybko.

– To dziewczynka, proszę pana. Dziewczynka, ma na imię Ewelinka, po babci.

– Ładne imię – pochwalił – ale już jesteśmy na miejscu.

Z wdzięczności, że był dla nas tak miły, chciałam dodać parę groszy do tego, co wybił licznik, ale kierowca nie chciał przyjąć naddatku.

– Kiedy ma się dziecko, to i tak wydaje się masę forsy – powiedział.

– Sam jestem ojcem, więc wiem, jak to jest. I proszę się nie

przejmować – zwrócił się jeszcze do Lucynki – tatuś wróci do córeczki i wszystko znów będzie jak najlepiej!

– Dziękuję – szepnęła Lucynka – chciałabym, żeby tata już wrócił, tylko przedtem musimy...

Jasne, że musiałam znów jej przerwać, bo mogła naopowiadać nie wiadomo co.

– Wsiadamy, szybko – pogoniłam ją, a taksówkę zajęła zaraz jakaś bardzo elegancka pani. Może nawet nie tyle elegancka, co oryginalna. A na to zwraca się uwagę, choćby się i miało kłopoty. Kiedy już siedziała we wnętrzu taksówki, uchyliła drzwiczki i popatrzyła za nami. Zdawało mi się, że ją skądś znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd – dopiero Lucynka szepnęła tragicznie.

– Ja ją znam! To jest taka aktorka, która czasem występuje w radio. Znajoma ojca... A ozór ma na cztery kilometry...

Zaraz jednak po udzieleniu mi tej informacji, rzuciła się na mnie jak jędrza.

– Co ty wyprawiasz, Beśka! Szczypiesz mnie co pięć minut, tak że mam wszędzie siniaki. Pani Lodzia mówi, że ze szczypania można dostać raka! Poczekaj, będziesz miała mnie na sumieniu! A poza tym nic a nic nie rozumiem z tego, co ty wygadujesz? Dlaczego chcesz iść z dzieckiem do szpitala? Myślisz, że on jest chory? O, znowu zasnął, biedactwo.

Więc zaczęłam jej tłumaczyć, jak komu dobru, że przecież jeśli nawet udało się nam uciec przed tym blondasem z MO, to nie jest wykluczone, że on zdażył zapisać numer taksówki, do której wsiadaliśmy, no nie?

– A dlaczego miałby nas ścigać? Przecież nie zrobiliśmy nic złego?

Nie, ta Lucynka to może wyprowadzić świętego z równowagi.

– Nie zrobiliśmy, ale on podejrzewa, że zrobiliśmy. Jest młody i od razu marzy mu się, że jest Sherlockiem Holmesem albo komisarzem Maigretem. Na pewno podejrzewa, że albo jesteśmy jakimiś szantażystkami...

– Szantażystkami?... – powtórzyła ze zgrozą Lucynka.

– A co ty myślisz? Albo kidnaperkami, które chcą żądać okupu... A czy nie sądzisz, że on teraz może nas śledzić?

Lucynka zastanowiła się i najwidoczniej groza sytuacji przemówiła do niej...

– Masz rację – zgodziła się – tylko dlaczego okłamałaś biednego a miłego kierowcę, że... że to jest Ewelinka?

Rzeczywiście jestem zupełnie niewyrobiona w zakresie romansu kryminalnego. Jakże mogłam nie pojąć, że w razie gdyby odnaleziono tego miłego kierowcę, to po pierwsze nie zna on naszego adresu, więc nie będzie mógł wyjawić, gdzie mieszkamy, a po drugie dziewczynka, imieniem Ewelinka, zamiast synka Adasia to zupełnie chytre zamaskowanie. Ej, Beśka! Ty się marnujesz, dziewczyno! Ty się bierz lepiej do pisania kryminałek zamiast arabistyki czy czegoś podobnie nieodpowiedniego dla ciebie!

To Beśka również wykombinowała, że z Litewskiej musimy iść jakąś inną drogą do domu, na Polną, bo jeśli na przykład – a o tym w zamieszaniu nie pomyślałyśmy – ktoś jechał za nami, śledząc nas, to należy zmylić ślad.

– Idziemy najpierw w stronę Alei Ujazdowskich, a potem przejściem podziemnym wyjdziemy do Alei Wyzwolenia, a dalej to już chyba możemy zaryzykować przejście Mokotowską do Polnej... W przejściu najlepiej się zorientujemy, czy ktoś idzie za nami, czy nie...

Na szczęście jednak nikt nie szedł i wreszcie okropnie zmęczone, głodne, z popłakującym dzieckiem dotarłyśmy do domu.

– Umieram z głodu – oświadczyłam wchodząc do przedpokoju. – Gotujemy drugie śniadanie albo coś w tym rodzaju.

– Jesteś obrzydliwą egoistką – oburzyła się Besia – to małe na pewno jest jeszcze bardziej głodne. Leć po zakupy!

– Po jakie zakupy?

– Jak to po jakie? Mleko, sześć jajek, masło, jakiś serek, bułki albo chleb, no i przede wszystkim płatki owsiane. A poza tym kup w drogerii albo w tym sklepie, gdzie są różne rzeczy dla niemowlaków, butelkę i smoczek.

– Ty masz głowę! – oceniłam. – Że też ja od razu o tym nie pomyślałam.

– Brak doświadczenia, moja Lucynko, nie masz wprawy. Ale nabędziesz jej z czasem. Zobaczysz!

– Jak to: z czasem? – zastanowiłam się, ale nie była to pora na pogawędkę. Najpierw należało załatwić zakupy. Butelka była z podzięką! Starsza pani, która mi ją sprzedawała, przypomniała, że i butelkę i smoczek trzeba koniecznie wyparzyć wrzątkiem przed użyciem. Najwidoczniej nie wzbudzałam zaufania i nie wyglądałam na troskliwą matkę.

– A pani sama nie może karmić? – spytała jeszcze wręczając mi zakup. – Bo dla dziecka to zawsze najlepsze. Nic nie jest tak posilne i zdrowe jak mleko matki.

Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko mruknęłam:

– Dziękuję i do widzenia.

Tymczasem kiedy weszłam do mieszkania, myślałam w pierwszej chwili, że grasowali tu włamywacze. Ale to tylko Besia przewróciła do góry nogami wszystkie szafy i szuflady, aż wreszcie wywlekła z komódki, gdzie trzymamy prześcieradła, takie jedno, które już było podarte i nadawało się tylko na szmatki. Pocięła je na kwadraty i pokazała mi z dumą.

– Widzisz? Akurat na pieluszki. Zanim nie kupi się innych, wystarczą chociaż do wieczora.

– Tylko do wieczora? – przeraziłam się.

– Chyba tak. A teraz pomóż mi umyć to biedactwo...

Okazało się, że takie małe dziecko lubi się chłapać w wodzie. Wpakowałyśmy podrzutka do umywalni, w której była woda – nie za ciepła i nie za chłodna, jak powiedziała Besia – i umyłyśmy go szmatką, a potem zawiniętego w duży ręcznik Besia ułożyła na tapczanie, na którym rozpostarła prześcieradło kąpielowe. Brzdąc chwilowo nie płakał i nawet wyglądał na zupełnie zadowolonego.

– Teraz dostanie jeść – zapowiedziała jeszcze Besia – przygotuj mleko. A oddzielnie ugotuj płatki owsiane. Wystarczy, jak się będą gotować jakieś pięć do dziesięciu minut. Potem precedź je do garnuszka...

– Skąd ty to wiesz?

Besia spojrzała na mnie z politowaniem.

– Ej, Lucyno, dziewczyno, ty nić nie wiesz o życiu! Gdybyś miała tak jak ja dwoje siostrzeńców, tobyś też była taka mądra.

Jednak butelka ze smoczkim jest cudownym wynalazkiem. Podrzutek ssał łapczywie, sapał przy tym jak smok i aż się spocił. Drobne kropelki potu na czole wzruszyły mnie.

– Biedactwo – mruknęłam.

– Pewnie, że biedactwo – zgodziła się Besia. – Czekaj, teraz to on sobie pośpi spokojnie już kilka godzin. Najedzony jest, ma sucho – tego mu trzeba... A my zjemy coś niecoś i słuchaj, będę musiała lecieć do domu, bo obiecałam mamie, że...

– Jak to? Zostawisz mnie samą na pastwę losu? – przeraziłam się. – Nie możesz tego zrobić! Ja przecież nie dam sobie rady, a poza tym...

A poza tym właśnie w tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Pewnie ten inkasent z elektrowni, który zawsze przychodzi w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Oczywiście, że i tak mu teraz nie zapłacę. Nie mogę przecież zostać bez grosza... Jednak na wszelki wypadek pytam ostrożnie:

– Kto tam?...

– Milicja, proszę otworzyć!

Drętwieję i spoglądam na Beškę, która pobladła i szepnęła tylko:

– Sherlock Holmes!

– Proszę otworzyć... – powtarza tymczasem za drzwiami męski głos.

Postanawiam zyskać na czasie, więc mówię okropnie grzecznie, że zaraz, bo jestem nie ubrana... A tymczasem szeptem naradzamy się z Bešką. Co począć? Naraz błyska mi złoty pomysł.

– Wynieś ostrożnie małego na balkon. Tam nie powinni go szukać...

I już za chwilę, uśmiechając się rozkosznie, otwieram drzwi.

Nie był to jednak nasz Sherlock Holmes z lotniska, tylko taki facet więcej w średnim wieku. Zasalutował i najbardziej nieoczekiwanie zapytał:

– To pani jest właścicielką tego białego małego fiata, który stoi tam na ulicy?

– Nnnie – wyjąkałam. – To znaczy fiat należy do mojego ojca. Ale ojca nie ma, wyjechał...

– Hmm – mruknął. – Wóz jest postawiony niewłaściwie i zajmuje zbyt dużo miejsca na jezdni. Trzeba go przesunąć bardziej skosem na chodnik...

– Zawsze w ten sposób stawiamy – odpowiedziałam teraz już bardziej pewna siebie.

– To bardzo niedobrze – oświadczył karcące – że zawsze tak stawiacie. Tym razem jeszcze daruję, ale na drugi raz – będzie mandat.

– Z przyjemnością zapłacę! – powiedziałam z zapałem, który mu się wydał podejrzany. Popatrzał na mnie przez chwilę i pokiwał głową.

– A dla pouczenia – zakończył – proszę, niech pani spojrzy razem ze mną na dół, z waszego balkonu. Bo tu jest balkon, prawda?

– Jest – szepnęłam i znów ogarnęła mnie panika.

– No, właśnie. Kiedy pani tak spojrzy z góry, to pani powinna zrozumieć, jak bardzo lekceważycie bezpieczeństwo na jezdni.

I jak gdyby nigdy nic, dostojnie wkroczył do pokoju, kierując się w stronę balkonu, na którym siedziała Besia z podrzutkiem na kolanach.

– Przepraszam, dzień dobry – pozdrowił ją grzecznie – zdaje się, że przeszkodziłem w opalaniu się...

– Nnie, coś znowu, nic podobnego – jąkała Beška i widziałam, że kona ze strachu. Ale milicjant nie zwracał na nią więcej uwagi, tylko teraz zaczął mnie dobrotliwie pouczać, jak dalece karygodne jest stawianie w ten sposób naszego biednego, małego fiata. Obiecałam więc święcie, że zaraz zejde, bo mam kluczyk od wozu, i ustawię samochód według jego wskazówek.

– No, dobra – zgodził się i naraz przypomniał sobie: – A prawo jazdy ma pani?

– Mam, owszem, ale to raczej ojciec prowadzi.

– To chwala Bogu – westchnął pobożnie, po czym wychodząc już dodał: – A tego dzieciaka to nie trzymajcie za dużo na słońcu, bo mu zaszkodzi...

– Tak jest, proszę pana, bardzo dziękuję, do widzenia.

Zamknęłam za nim drzwi i wróciłam do Besi.

Nie mogłam jednak zostać dłużej u Lucynki, bo było późno; i tak mama gniewała się na mnie, że jestem niepunktualna i że nawet jeśli już dostałam maturę, to jeszcze nie powód, żeby mi było wolno lekceważyć domowy porządek dnia.

– Nie pytam się, gdzie się włóczysz, ale mogłabyś spojrzeć na zegarek.

A ja byłam taka zmęczona i zdenerwowana tymi naszymi przygodami na lotnisku i w ogóle całą sprawą Lucynki i dzieciaka, że nawet nie umiałam tak na poczekaniu wymyślić coś odpowiedniego, żeby mamę uspokoić i żeby przy tym uwierzyła w moje opowiadanie. A prawdy też jej nie mogłam wyznać, bo Lucynka prosiła, żeby nikomu o tym nie mówić. Ja ją rozumiem. Przecież to głupia historia. Chociaż myślę, że mama pewnie doradziłaby coś mądrego. W każdym razie tymczasem, jak się zdawało, skończyłoby się na tej krótkiej przygaduszcze, gdyby nie to, że moja rozkoszna siostrzyczka, ta ukochana Beatka co prędkiej wyciągnęła z mojej siatki książki, które po drodze kupiłam dla Lucynki. Prosiła mnie o to i dała mi pieniądze. Podczas jedzenia zupy usłyszałam idiotyczny chichot Beaty i jej okrzyki:

– Mamo! Ojej! Nie mogę! Beśka kupiła sobie taką książkę: „Jak racjonalnie żyć niemowlę”. I jeszcze drugą: „Higiena dziecka”.

I przyniosła książki do pokoju, żeby mamie pokazać.

Mama przez chwilę stała jak skamieniała, po czym spokojnym głosem, a znam ten spokojny głos mojej mamy, kazała Beacie odłożyć książki i odnieść dozorczy klucz od strychu. Gdy zostałyśmy same, mama zażądała, abym spojrzała jej w oczy i powiedziała szczerze i uczciwie całą prawdę.

– Co znaczą te książki? Besiu, dziecko moje! Wolę najgorszą prawdę niż kłamstwo!

Co miałam odpowiedzieć mojej kochanej, zawsze trochę dziecinnej mamie? Nigdy nie zbywało mi na pomysłach, ale w tej chwili moje szare komórki zastrajkowały. Co powiedzieć?... Mama jest poważnie zaniepokojona, biedactwo. Oj, mamo, ty nawet nie wiesz, jakie niespodzianki przynosi życie, bo na pewno wyobrażasz sobie coś zupełnie szablonowego. Ale już wiem, co ci powiem.

Oj, te dziewczęta! Te dzisiejsze dziewczęta. Już byłam poważnie zaniepokojona, bo przecież nigdy nie wiadomo! A tymczasem to nie to, co podejrzewałam, tylko zupełnie coś innego. Właściwie Besia ma niezły pomysł. Bo rzeczywiście, gdyby nie dostała się na tę swoją arabistykę, to podobno mogłaby otrzymać, a w każdym razie miałyby szansę starać się o zagraniczne stypendium do szkoły wychowawczyń i pielęgniarek niemowląt. Wspaniały zawód! Takie praktyczne

wykształcenie daje właściwie ogromne możliwości. Ta szkoła specjalistyczna znajduje się w Genewie, więc i języka by się poduczyła, a pracę może dostać w najwyższych sferach. Zarobki są podobno świetne, no i zawsze jakieś możliwości poznania kogoś...

Dłużej nie mogłam z nią rozmawiać, bo musiała iść do Lucynki. Lucynka to miła i dobrze wychowana dziewczynka. A ten jej ojciec! Uroczy człowiek. Taki przystojny! Mógłby uszczęśliwić jakąś kobietę, a uparł się żyć w samotności. Jednak życie nie zawsze układa się we właściwy sposób. Co to, to nie!

Beśka pognała na trochę do domu i obiecała wrócić jak najszybciej, a ja tymczasem napiłam się mleka, znów zmieniłam pieluszkę podrzutkowi i kiedy usiadłam przy nim na tapczanie, nie wiadomo kiedy zasnęłam. Dobrze było tak spać i nie pamiętać o niczym. Ale znów obudził mnie jakiś dzwonek do drzwi. Ja mam fart do niespodziewanych odwiedzin! Ktoś się wytrwale dobijał, ale pocieszałam się, że chyba na razie mam spokój z milicją, chyba żeby ten blondasowaty Sherlock Holmes wpadł w jakiś sposób na mój ślad. Tym razem jednak na pytanie: kto tam? – odpowiedział damski głos.

– Czy tu jest mieszkanie osiemnaście?

– Tu! – odpowiedziałam i otworzyłam drzwi. Przedemną stała młoda i bardzo sympatyczna para. Chłopak był ciemnowłosa, a ona blondynka. Trzymała w ręku chusteczkę i była wyraźnie zapłakana.

– Spokojnie, kochanie – chłopak pogłaskał ją po głowie – zaraz będzie koniec całego zmartwienia.

A ja w jednej chwili doznałam olśnienia. To jasne!

Przyszli po dziecko! Ukradziono im je i tu podrzuciono. Krzyknęłam więc radośnie.

– To cudownie, że państwo tu trafili. Dziecko jest całe i zdrowe. A Iwona poleciała do Stambułu...

– Jakie dziecko? – zaniepokoił się chłopak i przejmująco spojrzął na swoją towarzyszkę. – Dokąd ty mnie przyprowadziłaś? Co to ma znaczyć?

– Ty mnie pytasz? – zdenerwowała się teraz dziewczyna. – Co to za Iwona? Gadaj zaraz! Więc masz dziecko z jakąś Iwoną? To twoja przeszłość wlecze się za tobą.

– Ależ, Dianko – bronił się chłopak – nic się nie wlecze, zapewniam cię, kochanie! I w ogóle proszę pani – zwrócił się do mnie – o co tu chodzi? Co pani wygaduje? Jakie dziecko, jaka Iwona?

– Chodzi o Adasia – wyjaśniam z godnością.

I tu znów zawrzał młodzian, piorunując wzrokiem dziewczynę.

– Więc to Adam? Więc to tak?

– Zwariowałaś? – zaszlochała blondynka. – Daj mi spokój! Ząb mnie boli, a ten szaleje! Opamiętaj się. Proszę pani – zwróciła się teraz do mnie – tu nie chodzi o żadne dziecko, tylko chciałam wiedzieć, czy pan doktor mnie przyjmie... Muszę wyrwać ząb...

Okłapałam zupełnie i zgaszonym głosem objaśniłam, że dentysta mieszka na trzecim piętrze.

Lucynkę zastałam niemal całkowicie załamana. Ja ją rozumiem. Przez chwilę zaświtała nadzieja, że już się skończy ta cała zwariowana historia, a tymczasem nic z tego. Jednak kiedy opowiadała mi o tym, doszłam do pewnego wniosku – że jeśli oni pomylili numer mieszkania, to może i ta cała Iwona też się omyliła?

– Myślisz, że miała podrzucić Adasia u dentysty? – zapytała Lucynka z nadzieją w głosie.

Czemu nie? Wydało mi się to zupełnie możliwe. Odszukałyśmy nabazgraną kartkę Iwony i zaczęłyśmy się teraz zastanawiać nad tym, w jaki sposób powinnyśmy oddać podrzutka pod właściwy adres. Bo też trzeba być i przygotowanym na to, że na przykład mogło chodzić o numer mieszkania trzydziesty ósmy. Jednak Lucynka upierała się, że trzydziesty ósmy odpada. Miała jakoś więcej przekonania do dentysty.

Tak, dentysta wydał mi się najbardziej podejrzany. Nie przepadam za dentystami, ale może akurat ten był w guście Iwony? Dziewczyny są nieobliczalne. Zaczęłyśmy więc układać z Besią cały plan działania. Trzeba było postępować chytrze i ostrożnie. Przede wszystkim Besia miała pójść na przeszpiegi, żeby się co nieco o nim dowiedzieć. Bo daję słowo, mieszkam w tym samym domu, ale nic o nim nie wiem.

– Ona pisze na tej kartce „Drogi Winniczku” zauważyła Besia – istnieje więc prawdopodobieństwo, że jest to człowiek, którego imię

zaczyna się na „Wi”. Na przykład – zastanowiła się przez chwilę – na przykład Witold.

– Zwariowałaś? – oburzyłam się. – Od Witolda nie ma zdrobnienia Winniczek. Coś ty!

– Może masz rację – zgodziła się Besia – i nie obrażaj się w imieniu rodziny, bo ja tylko tak teoretycznie.

– No, myślę, że tylko teoretycznie, chociaż teoria nie jest najmocniejsza – mruknęłam obrażona – ale teraz pomyślmy na trzeźwo.

– Przede wszystkim trzeba sprawdzić na liście lokatorów, którzy z nich mają imiona zaczynające się na literę „W” – zdecydowała Besia. – Ja mogę to zrobić, bo jeśli ktoś zauważy mnie przy liście, nic w tym nie będzie dziwnego. Jestem tu obca. Jeśli byś ty szukała, mogłoby to wyglądać podejrzanie.

– Dobra – zgodziłam się – leć zaraz, a ja przez ten czas zajrzę do tej książki o żywieniu niemowląt. Trzeba przecież dziecku dawać coś do jedzenia.

– Słuchaj – przypomniała sobie Besia – tej córeczce mojej siostry to się dawało rosółek z kurczęcia. Tylko trzeba dodać dużo włoszczyzny, bo to zdrowo dla dziecka. Marchewkę i pietruszkę. Wiesz? Tu niedaleko jest sklep, to może kupię ćwiartkę kurczaka, tylko daj forszę.

Jednak Besia jest wspaniała. Przyniosła mi po chwili ćwiartkę kurczęcia i bułki, i masło, i trochę truskawek, i zaraz znów pobiegła na dół, żeby już teraz zająć się badaniem terenu i szukaniem ojca dla Adasia. Wobec tego ja zajęłam się gotowaniem rosółu. Nie wracała dość długo i już zaczęłam się niepokoić, czy nie wplątała się w jakąś nową historię. Kręciła się po tych schodach i mogło to się komuś wydać podejrzane. Mógłby ktoś ją posądzić, że przyszła na jakieś złodziejskie zwiady, no nie?

Kiedy tak się martwiłam, niespodziewanie zadzwonił Daniel.

– Hej! najpiękniejsza seksi! Czy nie wybrałaś się na lody?

Boże! Czybym się nie wybrała? Sto razy tak! W tej chwili nawet towarzystwo Daniela wydało mi się niezwykle atrakcyjne. Ubrać się elegancko, spojrzeć do lustra, aby się przekonać, że się jakoś nieźle wygląda, i potem beztrąsko zbiec na spotkanie z chłopakiem. Ale nie

dla mnie sznur samochodów! W kuchni gotuje się rosółek z kurczaka, a ponadto czekają mnie jeszcze inne macierzyńskie obowiązki.

– Dzięki, Danielu! Ale innym razem! Daję słowo, że innym razem polecę bardzo chętnie! Dzwoni! Hej, hej!

Odłożyłam słuchawkę i podeszłam do tapczana, na którym leżał obudzony podrzutek. Nie płakał, tylko patrzył na mnie, jak mi się wydało, tak jakoś żałośnie i był taki bezbronny, że nawet nie uragałam, że to przez niego tyle mam kłopotów i ograniczyłam się jedynie do stwierdzenia, że jest zasmarkanym siuśmajtkiem, co mu też głośno powiedziałam.

– Ale przecież w końcu ta cała historia musi się wyjaśnić – pocieszałam się – wreszcie brzdąc wróci...

Otóż to! Dokąd wróci! Nie wróci do swojej mamy, która by go przytuliła i dbała o niego, bo mama pognęła w siną dal. A tata?

No właśnie! Co z tym tatą? Czekam na Besię i denerwuję się okropnie.

Więc Lucynka ma jednego pecha, że to jej akurat musiało się przytrafić, a ja mam drugiego, że jestem jej przyjaciółką i w żaden sposób nie mogę jej teraz zostawić samej w tej biedzie. Nie mogę okazać się prosięciem. Ale bieda jest nielicha.

Zgodnie więc z tym, co ustaliłyśmy, rozpoczęłam od badania terenu. Przede wszystkim lista lokatorów. Panowie, których imię zaczyna się na literę W. Jest dwóch takich, wobec tego wracam na górę i składam raport Lucynce. Obaj mogą być podejrzani, bo to nigdy nic nie wiadomo. Jeden z nich mieszka na pierwszym piętrze, nazywa się W. Niecik. Nic to nie mówi. A drugi to dentysta, doktor stomatologii, W. Dolatek. Ale kiedy się tak zastanawiam... Ten pan Niecik. Bo ja wiem? Stałam przez pewien czas na półpiętrze, żeby lepiej poobserwować, i patrzę, drzwi się otwierają i wychodzi jakiś gość. Taki grubutki, łysawy jegomość, idzie sobie pomalutku z torbą po zakupy, a w uchylonych drzwiach stoi jakaś tęga pani i przypomina mu, żeby nie zapomniał o koperku! Czy tak wygląda uwodziciel? I jeszcze jedna ważna chyba rzecz. Ta pani mówiła do niego: Wicku!

A zatem ma na imię Wincenty. Lucynka, kiedy jej to opowiedziałam, uważała, że pan Niecik odpada w przedbiegach. Chociaż, czy ja wiem?

Jest to oczywiście starszy pan, grubiutki i żonaty, ale dziewczyna potrafi czasem zakochać się najidiotyczniej na świecie. Nawet i w starszym panu! Daję słowo! Słyszałam

o takich. A ten Winniczek? Co prawda Lucynka mówi, że z przekręcaniem imion to też nic nie wiadomo i ma rację. Sama znam takiego, co ma na imię Stasiek, a jego ukochana właścicielka woła na niego „Sosik”. No i co?

Jednak w końcu zdecydowałyśmy się wyeliminować pana Niecika. Zostawałby więc dentysta. Też ma imię, które zaczyna się na „W”. Ale co dalej? Przypominamy sobie wszystkie możliwe imiona na tę literę, szukamy w kalendarzu, aż wreszcie Lucynka wpada na świetny pomysł – książka telefoniczna! Dentysta na pewno ma telefon! Szukamy więc gorączkowo. – Dobrodziejski, Docieka, Dokert – Dolatek! Jest! Jest! Dr stomatolog, Winicjusz Dolatek!

W i n i c j u s z !

– Widzisz! – woła Lucynka. – Mamy go! To na pewno on! Winicjusz! Tylko z Winicjusza można zrobić Winniczka!

Tak, Winicjusz. Winniczek–uwodziciel lub też może Winniczek – uwiedziony i porzucony przez Iwonę. Tak, wygląda na to, że nareszcie natrafiłyśmy na właściwego człowieka. Ale po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że przecież musimy w jakiś sposób uzyskać pewność, czy rzeczywiście jest tym, o kogo chodzi? A może to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Podobieństwo imion. Jak to zrobić? Iść do niego po prostu i powiedzieć – proszę pana, to jest pana dziecko i pan musi się nim opiekować. A on się wyprze i już. Mało tego, może jeszcze nawet wezwać milicję.

– Nie można do tego dopuścić! – zawołała Lucynka. – W tym wypadku trzeba dobrze ułożyć cały plan rozegrania tej sprawy. Musimy zabrać się do tego ostrożnie, żeby nie było później jakiejś hecy. Najlepiej więc byłoby pójść do tego Winicjusza jako pacjentka. Posiedzieć najpierw trochę w poczekalni, poobserwować, obejrzeć sobie człowieka. A potem wejść do gabinetu i zacząć rozmowę.

– Dobra jesteś – zbuntowałam się – mam wejść do gabinetu! A jak każe mi usiąść na fotelu to co? Jeśli myślisz, że dam sobie wyrwać ząb, to się szalenie mylisz – zapewniłam moją drogą przyjaciółkę. – Nawet dla ciebie tak się nie poświęcę!

– W takim razie ja zaryzykuje! – krzyknęła bohatersko Lucynka, bo ona ma takie zagrania dramatyczne. Po czym dodała już spokojniej: – Moja droga, jasne, że nie ma mowy o wyrywaniu zębów. Jeśli jednak nie chcesz, to ja pójdę. Jestem gotowa na wszystko! Albo prawie na wszystko...

– Nie możesz – zgasiłam jej zapał – bo ty tu mieszkasz i on na pewno zna cię z widzenia, nie wiadomo, co mogłoby z tego wynikać.

Tak więc moja nieoceniona Besia udała się do dentysty Dolatka. Była spokojna i zdeterminowana.

– Jakoś to załatwię – zapewniła mnie. – Tymczasem daj rosołek temu biednemu dziecku. Słyszysz, jak płacze?

Owszem, płakało. A ja miałam ochotę płakać razem z nim. Straszna beksa się ze mnie zrobiła ostatnio, ale to na pewno ze zdenerwowania. A swoją drogą jak to dobrze, że to się zdarzyło wtedy, kiedy taty nie ma w domu. On to by się dopiero zdenerwował.

A tak, jak wróci – będzie już po całej historii i tylko mu opowiem przygodę z podrzutkiem. Wyobrażam sobie, jak się będzie śmiał, chociaż w tej chwili to mi wcale nie jest do śmiechu. Kiedy tak się poważnie zastanowię, to wprost ogarnia mnie przerażenie – jak ta Iwona mogła takie maleństwo zostawić, nie sprawdzając nawet adresu, i wyjechać w świat. To przecież straszne...

Żal mi tego maleństwa. Patrę na niego, kiedy z takim apetytem pije przez smoczek rosołek, który dla niego ugotowałam, i ogarnia mnie jakieś dziwne uczucie... Jest w tym trochę litości, a zarazem i wzruszenia. Biedne, niechciane, bezbronne dziecko. Nie, nie jest mi obojętne, co się z nim dalej stanie. Czuję się za niego odpowiedzialna, nawet jeśli to tylko przypadek, głupi przypadek oddał go w moje ręce...

No, cała porcja rosołku już wypita, możemy odstawić butelkę, teraz ładnie obmyjemy buzię, a dziecko uśmiecha się i tak śmiesznie otwiera pyszczek. Przy tym wydaje prześmieszny głos – coś pośredniego między nieudanym pianiem koguta a kwaknięciem. Najadłeś się? To teraz i ja też zjem cokolwiek, aby mieć siły do walki, mój ty prześmieszny brzdącu... Mój Boże, czytałam nieraz ogłoszenia – oddam małego pieska w dobre ręce. Być może, twoja mama ufała, że

ciebie też oddaje w dobre ręce, ale przecież nie miała tej pewności... A czy ja mogę oddać cię byle komu? Kto wie, co to za numer ten Winicjusz...

Trrrrrr – dzwonek telefonu przerywa moje rozważania. Słodko pretensjonalny głos pyta o pana redaktora.

– Nie ma go w Warszawie? Ach, co za szkoda. A kiedy wraca?

Odpowiadam, że nie wiem. A gdybym nawet wiedziała, tobym też pewnie nie powiedziała tej paniuli o histerycznym głosie. To jedna z tych, co chcą się ciągle spotykać w kawiarni, żeby ją widzieli, że ma znajomości wśród dziennikarzy, a potem opowiada swoim koleżankom w biurze: „Wiecie? Ten Prandota, ten dziennikarz, to szaleje za mną... Ciągłe do mnie dzwoni.” A tymczasem mój biedny tato, mimo że na ogół bardzo uprzejmy, miły i dobrze wychowany, jest czasem zbyt zmęczony, żeby mieć ochotę na ple-ple w kawiarni z każdą paniusią, która chce siedzieć przy stoliku i oglądać się, czy wszyscy ją widzą. Przy tym na pewno jest świeżo uczesana przez fryzjera i ma nową kieckę. Więc i teraz spławiłam boginię. Nigdy natomiast nie spławiam, jak ktoś dzwoni w poważnych sprawach albo jak słyszę młody, przeważnie trochę chropowaty głos, nieporadnie pytający o tatę. Wiem wtedy na pewno, że to jakiś chłopak ze sportu, któremu coś tam nie sztykuje, i postanowił prosić ojca o pomoc. Dostał skądś telefon i odważył się. Wtedy jestem miła, życzliwa, opiekuńcza i chcę pomóc... Jestem więc w ten sposób cholernie dobra, oczywiście na rachunek taty i nie jest to, być może, najszlachetniejszy gatunek dobroci. Ale człowiek, nawet prawie osiemnastoletni, miewa swoje słabostki...

Zajrzałam do małego, który trzymał w łapce smoczek i bawił się nim – nie ma więc, jak się okazuje, wielkich wymagań. Chyba powinien mieć jakąś zabawkę... Macha do mnie rączką, śmiesznie maleńką rączką, i wydaje okrzyki godne wodza Irokezów. Ja zaś zaczynam się już denerwować – dlaczego Besia nie wraca tak długo?...

Szłam na trzecie piętro i trochę się bałam. Nie było to wcale takie łatwe zadanie. Dobrze jest czytać o wspaniałych osiągnięciach bohaterów powieści kryminalnych, którzy w genialny sposób potrafią wytropić przestępcę. Ale ja?... Maturzystka Besia, z dwiema trójkami na świadectwie maturalnym – to znaczy z historii i z geografii – ja

miałabym być od nich lepsza? Wspinając się na trzecie piętro, dosłownie odnosiłam wrażenie, że ciężar odpowiedzialności, który wzięłam na siebie wobec Lucynki i niewinnego dziecka, jest coraz większy. Ogromnie chciałam jej pomóc. A swoją drogą, co to za potwór ta dziewczyna, ta Iwona! Tak się wyrzec dziecka... Ja bym mogła zrozumieć, że dziewczyna oddaje dzieciaka ojcu, jeśli wie, że ten ojciec ma warunki do wychowania dziecka i że jest to człowiek, który będzie naprawdę dbał o to dziecko... Ale żeby nawet nie sprawdzić dobrze adresu, tylko tak podrzucić... To obrzydliwe! Ja na przykład, chociaż już się napatrzyłam, ile to z takimi brzdącami jest kłopotu, bo przecież Danusia już ma ich dwoje i najlepiej wiem, jak to jest, bo przecież nieraz musiałam jej pomagać, zwłaszcza kiedy chorowały – to ja jednak chciałabym mieć dzieci. Najchętniej bliźnięta, bo raz–dwa, razem się wychowają, razem potem do szkoły i w ogóle chyba dobrze być bliźniakiem...

Tak sobie niby myślę o dzieciach, a naprawdę boję się piekielnie. Ale nie ma rady... Do śmiałych świat należy. Jejku, serce wali mi jak młotem. Mieszkania 38. Na drzwiach staroświecka metalowa tabliczka: Dr Winicjusz Dolatek. Stomatolog. Przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od g. 16–ej do 20–ej.

Już miałam zadzwonić, kiedy przyszło mi do głowy, czy nie byłoby lepiej, żebym była tak nieco ucharakteryzowana, choćby dlatego, że jeśli się okaże, że to nie ten facet jest szczęśliwym tatą, to lepiej, żeby spotkawszy mnie na przykład kiedyś na schodach – nie mógł mnie poznać. W pierwszej chwili chciałam wrócić na dół, do Lucynki, i tam się jakoś trochę podmalować czy co? Ale przypomniałam sobie, że jest przesąd, że nie można się wracać, bo się sprawa nie uda. Doszłam więc do wniosku, że najlepszym sposobem charakteryzacji będzie podwiązanie zębów. Przecież to zupełnie przyjęte, że do dentysty przychodzi podwiązana. Ba, tylko czym się obwiązać?

Naraz przypomniałam sobie, że w mojej torbie, tej ślicznej, wyszywanej koralikami, którą noszę na pasku przewieszoną przez ramię, mam złapaną w ostatniej chwili w domu jakąś serwetkę czy ściereczkę w biało–czerwoną kratkę. Myślałam, że przyda się dla małego. Złożyłam ją teraz szybko i podwiązałam prawy policzek. Przejrzałam się w szybie otwartego na schodach okna i przekonałam

się, że wyglądam znakomicie. Z dwóch rogów związanej szmatki jeden zwisał smętnie, jak ucho królicze, a drugi sterczał zawadiacko do góry. „Naprzód!” – powiedziałam sobie i drżącą ręką zadzwoniłam do drzwi dentysty.

Po chwili otworzyła mi stara, gruba gosposia i zmierzyła mnie dość nieprzychylnym spojrzeniem.

– Pani jest zapisana na dziś? – warknęła złowrogo. Białe fartuszki i coś białego na głowie miały świadczyć, że pełni rolę eleganckiej pokojówki.

W odpowiedzi jęknęłam żałośnie, żeby zasygnalizować, jak ogromnie cierpię. I że choć nie jestem zapisana na wizytę, stan mojego zęba wymaga, aby pan doktor stomatolog przyjął mnie jak najszybciej. Wykrzywiłam przy tym dolną wargę z prawej strony i wybełkotałam:

– Okropnie cierpię!

– Niech pani wejdzie – mruknęła teraz, bo widać załamała się. – Tylko trzeba będzie poczekać. Tu są pacjenci, co byli już zapisani przed tygodniem.

Jęknęłam w odpowiedzi i osunęłam się na najbliższe wolne krzesło w pozycji osoby bliskiej omdlenia. Nie byłam nawet bardzo zmartwiona tym, że będę musiała poczekać, bo obiecywałam sobie, że czas oczekiwania zużytkuję na obserwację terenu.

A pacjenci i pacjentki przesiadywali w gabinecie na ogół dość długo. Widać ten Winicjusz lubił przetrzymywać swoje ofiary na fotelu czas niejaki. Czy aby z dobrym skutkiem? Czy był dobry i łagodny, i wrażliwy na ból pacjentów? Czy też bezwzględny i okrutny? Czy był poważny, czy był lekkomyślny? Czy był fascynującym brzydalem, czy słodkim playboyem?

Dlatego też zwiadowczo podjęłam rozmowę z farbowaną blondynką, która siedziała obok mnie. Widząc, że mam podwiązaną twarz, zaraz zapytała szczebiotliwie.

– Ziąbki boją? Cio?

Mruknęłam potakująco i jęknęłam, a blond piękność zapewniła mnie, że pan doktor Dolatek niewątpliwie mi pomoże.

– Przekona się pani! Na pewno postara się usunąć ból. Jest taki wrażliwy na cierpienia! Cóż to za słodki człowiek!

Słodki? Pierwszy raz w życiu słyszę o słodkim dentyście! Ale niech będzie słodki. A poza tym, jak zapewniła mnie blondynka – on potrafi zrozumieć duszę kobiety. Cóż za delikatność! I jakie maniery! A jak świetnie rwie zęby!

W tym miejscu zrobiło mi się trochę łyso, kto wie, czy nie zwiątałbym najchętniej, ale właśnie drzwi gabinetu otwały się i nadeszła moja kolej.

Czekałam z biciem serca na powrót Besi, a jej ciągle nie było. Prawie godzina minęła, odkąd poszła do tego dentysty. Robi się późno i powinnam zejść do sklepu i kupić świeżych jajek. Jeśli zaprawia się kleik surowym żółtkiem, to jest to, jak wyczytałam w jednej z książeczek o żywieniu dzieci – bardzo pożywne dla takiego brzdąca. Oczywiście kupując jajka muszę powiedzieć, że to dla pana redaktora, bo wtedy dostanę czyściutkie, najlepsze, sprawdzone. Pani kierowniczką sklepu, mimo że nie uprawia zapewne żadnego sportu, jest wielbicieleką mojego taty. A odkąd w czasie mojej anginy zaczął chodzić po zakupy, pani kierowniczka uznała, że jest on nie tylko przystojnym, ale i bardzo dystyngowaną mężczyzną.

– A takich dzisiaj nie ma wielu – jak zaznaczyła rozmawiając ze mną.
– Chyba że trafi się czasem podobny w filmie.

Właśnie kończyłam spisywanie na karteczce sporej listy sprawunków, kiedy zadzwonił telefon. Oczekiwany telefon od taty! Z Pragi!

– Córeczko! Jak się czujesz? Czy dajesz sobie sama radę? – dopytywał się mój kochany tata. – Poproś panią Lodzie, żeby częściej przychodziła, żebyś nie była sama.

– Ale po co, tatku? Wcale tak źle się nie czuję. Doskonale sobie daję radę. Przysięgam ci! Ty nawet nie wiesz, jak doskonale! Przecież wrócisz niedługo, a pani Lodzia ma jakieś sprawy rodzinne, więc i tak nie bardzo teraz może przychodzić do nas. Zresztą Besia ciągle mnie odwiedza, więc nie jestem sama!

– Przynieś mi, że będziesz dbała o siebie, że postarasz się wypoczywać... Moje ty kochane biedactwo! Ale myślę, że się nie nudzisz, co?

Zapewniłam więc tatę, że nie ma mowy o tym, żebyśmy się miała nudzić. Wprost przeciwnie. Niech naprawdę będzie o mnie zupełnie

spokojny; dodałam, że słucham jego wszystkich sprawozdań – że są świetne i że się ogólnie podobają...

– Jesteś ohydna kłamczucha – powiedział tato, ale czułam, że się cieszy, bo rzeczywiście tato ma swoją wierną publiczność. Bo naprawdę on jest znakomity!

– Pa, tatuśku! Pa!

Tak. Tato wraca za kilka dni, najpóźniej za tydzień – a tu w domu nieznajome dziecko, które być może będzie krzyczeć po nocach i nie da mu spać, i z którym w końcu trzeba będzie coś zrobić. Tylko ja wiem, że tata też nie będzie umiał tak po prostu oddać je gdzieś tam, nie wiadomo do jakiego Domu Dziecka...

Oj, życie naprawdę wcale nie jest łatwe, jak się okazuje...

Och, Lucynko, robię to dla ciebie, ale boję się piekielnie, serce mi wali jak młotem, ale milcz, serce, bo nie czas na histerię – muszę być chytra, przebiegła i załatwić niezmiernie ważną sprawę. Stoję więc w półotwartych drzwiach do gabinetu, widzę ten fotel, na którym nie lubię zasiadać, a jakiś odwrócony do mnie plecami, niezbyt wysoki mężczyzna w białym kitlu mówi cienkim głosem:

– Proszę usiąść na fotelu. Zaraz zobaczymy, co tam pani dokucza... Na pewno zaniedbany ząb...

Ja jednak nie siadam na fotelu, tylko podchodzę do szukającego czegoś w szafce doktora Dolatka i mówię, że przysyła mnie do niego Iwona.

– Iwona? Jaka Iwona? – dziwi się teraz stomatolog i odwraca się do mnie. Jest to krzepki staruszek o rumianych policzkach i dobrotliwym wyrazie twarzy. – Nieważne, kto panią przysyła, moje dziecko – uśmiecha się pogodnie i znów wskazuje fotel – proszę usiąść, zaraz zobaczymy, co się da poradzić. Od dawna panią boli?

– Od dziś, panie doktorze... ale ja nie w tej sprawie właściwie...

– Nie w tej sprawie? – głos staruszka nabrzmiały jest wyrozumiałością – to potem pomówimy, na razie proszę szeroko otworzyć buzię, szeroko, szeroko! Najważniejszy jest ten ząb...

Czuję teraz, jak sięga mi aż do gardła małym lustreczkiem, zacyznam się dławić i rzucać na fotelu.

– Spokojnie, spokojnie, moje dziecko... jest mała plamka, ale to nie powinno sprawiać bólu. W każdym razie należy prześwietlić prawy siekacz... a na razie założymy małą plombkę...

Nie chcę małej plombki! Nie chcę prześwietlać prawego siekacza! Co mam robić? Korzystam więc z momentu, kiedy doktor odwraca się, aby uruchomić maszynę do borowania i błyskawicznie zeskakuję z fotela. Starszy pan patrzy teraz na mnie z oburzeniem.

– Nic nie będzie bolało. Trochę odwagi, moje dziecko!

– Kiedy ja dziękuję, naprawdę dziękuję. Ja, proszę pana, właściwie przyszedłam w zupełnie innej sprawie. Bo Iwona napisała taki list, że być może powinnam to jakoś wyjaśnić. Nie jestem jednak pewna, czy to o pana chodzi. Ja się chyba omyliłam.

Gadałam to wszystko bezładnie, bo wydało mi się że po prostu pan Dolatek nie mógł być ojcem Adasia. On jednak zupełnie jakby nie słyszał, co mówię, pochłonięty szykowaniem tych swoich okropnych narzędzi, i nic nie odpowiadał. A może nie dosłyszał? Głupio mi się zrobiło, bo w ogóle był grzeczny i sympatyczny.

– Proszę pana – powiedziałam jednak, żeby mieć czyste sumienie, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy – proszę pana, czy pan wie, że Iwona wyjechała? I zostawiła to dziecko! Adasia! Wie pan?

A on, jakbym nie do niego mówiła, nawet nie mrugnął, tylko patrzy na mnie i powiada rozkazująco:

– Proszę teraz siedzieć spokojnie i otworzyć usta!

Byłam więc jak zahipnotyzowana i posłusznie robiłam, co mi kazał. Borowanie rzeczywiście było bezbolesne, a po chwili ząb miałam zaplombowany.

– Należy się sto złotych – powiedział z uśmiechem pan Dolatek i dodał pouczająco – nie trzeba się bać dentysty. I dbaj, dziecko, więcej o zęby. Trzeba je w porę leczyć.

Besia nareszcie wróciła. Ale rezultat jej wyprawy jest opłakany. Po pierwsze musiała wydać sto złotych, które powinnam jej jak najszybciej zwrócić, bo przecież to plombowanie zęba nie było takie znów konieczne. W spółdzielni kosztowałyby ją taniej. A co do doktora stomatologa to chyba według jej opisu nie wyglądał na bohatera romansu. Ani na ojca Adasia. Zaraz, zaraz. A jeśli Adaś nie jest

dzieckiem nieślubnym, tylko jak najbardziej ślubnym i po prostu ma niedobłą, wyrodną matkę?

Nie, nie, nic już nie wiem. Besia musi zaraz wracać do domu, więc znów zostanę sama z tym biednym niemowlakiem. I taka już jestem zmęczona i śpiąca. Powinam też się jeszcze raz dobrze zastanowić, pod jaki numer w takim razie miała zamiar ta okropna Iwona podrzucić Adasia. Bo jeśli trzydziesty ósmy odpada, to może pod ósmy? Zaraz, a może pod trzynaście lub piętnaście? Bo mogła mieć źle zapisane. Jutro, jutro o tym pomyślę... Dziś już nie mam siły. Boże, co ja bym teraz dała za to, żeby móc włożyć którąś z moich nowych kiecek i umówić się z całą naszą paczką na lody. Jakież to mi się wydaje w tej chwili nierealne, nieosiągalne... I jednocześnie jakie dziecinne. Czyżbym z tego wyrosła? Nie, chyba nie. A może trochę?

Besia wychodzi. Ciao, kochanie. Zadzwoń jutro, błagam, kochanie, zaraz z samego rana. Wiem, wiem, małemu dam przed spaniem kaszkę na mleku. Tak, troszkę przestudzę. Uważaj, żebyś się nie natknęła na schodach na dentystę. Bo zaplombuje ci drugi ząb.

Próbuję być w dobrym humorze i spisywać się dzielnie, ale właściwie ogarnia mnie chwilami czarna rozpacz. Co to będzie dalej? Na razie jednak muszę się zastanowić, gdzie powinnam położyć na noc tego malucha. W dzień kładłam go na tapczanie, ale w nocy mógłby się zsunąć i zrobić sobie krzywdę. Położyć go przy sobie? Albo nie zasnąć ze strachu, że mogłabym go przygnieść podczas snu, bo śpię dosyć mocno, albo jeśli zasnę, to rzeczywiście mogłabym mu zrobić niechcący krzywdę. Gdybym miała jakieś duże pudło, tobym mu w nim zrobiła postanie. Ale wiem, że w domu nie ma nic podobnego. Oczywiście, że powinien spać w wózku albo w swoim małym łóżeczku. A tak, to co mam zrobić? Gdyby chociaż był w domu jakiś duży kosz, taki na bieliznę, ale nie mamy nic podobnego. Wiem, słyszałam o tym od mamy i od ojca, że Witek, kiedy był mały, a oni nie mieli jeszcze mieszkania ani mebli, to właśnie sypiał w takim koszyku. Ale dziś już dzieci sypiają w innych warunkach. Biedny więc jesteś, ty niczyj podrzutku, chociaż tak ładnie się teraz do mnie uśmiechasz. Że też nie zauważyłam, że masz takie śliczne dołeczki w obydwu policzkach. Nie masz też żadnej zabawki...

Przypominam sobie, że gdzieś w głębi szuflady mam taką niebieską bransoletkę. Małe kółko z plastiku, akurat na cienką rączkę ośmiolatki. Dostałam ją kiedyś od taty. Więc teraz będzie dla ciebie, Adasiu. Widzisz, jaka piękna?

Podrzutek piszczy z zachwytu i mocno trzyma niebieskie kółko w swojej łapce. Tak, to był dobry pomysł. Ale łóżeczko! Już wiem. Zestawi się dwa fotele z pokoju taty. Są głębokie i miękko wyściełane.

Ten przebłysk inteligencji stawia mnie na nogi i podnosi na duchu. Kto wie, może i dalej jakoś sobie poradzę, dopóki podrzutek nie znajdzie swego właściwego adresu, to znaczy dopóki nie odnajdę domu, który miał być jego domem. A swoją drogą być może, że ten lekkomyślny Winniczek, którego tak bezwzględnie porzuciła Iwona, martwi się teraz o tego dzieciaka? Ona jest okrutna. Mnie się zdaje, że ja bym tak nie mogła. Chyba nawet na pewno tak bym nie mogła postąpić.

Na razie jednak biegnę do pokoju taty i zsuwam fotele. Tworzą w ten sposób przytulne gniazdko, w sam raz dla takiego małego kajtka. Teraz tylko trzeba to jakoś zaściąć. Oczywiście muszę na sam spód położyć coś nieprzemakalnego. Bo niechby podrzutek miał mokro, to plamy na fotelu pewne... Tata byłby zrozpaczony, bo niedawno kupił te fotele i jest z nich okropnie dumny. Oszczędzał na nie forszę, dużo rzeczy sobie odmawiał, aż wreszcie szarpnął się na nie. Rzeczywiście są ładne, eleganckie i wygodne. Czym więc wyłożyć to podrzutkowe posłanie? Już wiem. Na samym spodzie położę taką wielką torbę plastikową. Jest podarta, więc już do niczego innego się nie nadaje. A na niej duży koc złożony w kostkę i małe prześcieradło kąpielowe. Chyba będzie miał wygodnie. No, to teraz jeszcze mycie przed spaniem. Podrzutek przy tym zabiegu drze się jak opętany, a ja dopiero teraz uprzytomniam sobie, że przecież muszę go w coś na noc przebrać, a wszystko, w co był ubrany, jest już okropnie brudne. Mały płacze dalej, a ja gorączkowo robię przegląd rzeczy, które mogłyby się dla niego nadać. Położyłam go zawiniętego w duży ręcznik i kopię w szufladach.

Prawda, jest jeszcze w szafie taka szuflada, w której odkłada się różne nie nadające się do noszenia rzeczy. Oczywiście – istna skarbnica. Moja dziecienna koszulka nocna – trochę za duża, ale jednak można w nią zapakować tego brzdąca. Jest sucha, z miękkiej, spranej

flanelki i wydaje się, że mały jest zupełnie zadowolony z tego stroju, bo już nie płacze. Teraz jeszcze na wierzch zawijam go w duże prześcieradło kąpielowe, no i po chwili syn zdradzieckiej Iwony zasypia spokojnie. Idę do kuchni, żeby zrobić tam trochę porządku i po godzinie zaglądam do niego – śpi mocno, a buzię ma zarumienioną. Na razie więc mam chwilę wytchnienia. A co będzie dalej... ale nie mam siły na zastanawianie się, jestem śmiertelnie zmęczona i śpiąca. Więc jedyny luksus, na jaki mogę sobie w tej chwili pozwolić, to ciepła kąpiel i sen... A co będzie jutro?

Tymczasem, zanim zdążyłam się położyć, dzwoni telefon – jeszcze mały się obudzi, co za pomysł, żeby dzwonić kwadrans po dziesiątej. Gośka? Zwariowałaś? O tej godzinie mam wyjść? Kiedy lecę z nóg? Dlaczego lecę? Bo jestem zmęczona. Nie, nie pójde ani na spacer, ani na lody. Za późno... No, co z tego, że ojca nie ma – dajcie mi spokój, ciao!

Zupełnie nie wiadomo dlaczego, Lucynka była taka jakaś dziwna, jakby zła, bo ja wiem? Chciałam ją namówić, żeby wyszła, to przecież nic złego... Połazilibyśmy po mieście, poszlibyśmy może do kawiarni... – no, bo teraz mamy trochę czasu, a poza tym trzeba się odprężyć po naturalnym zdenerwowaniu... A ona tak jakoś dziwnie rozmawia. Zmęczona... bo ja wiem... Daniel twierdzi, że jest. w tym coś tajemniczego, bo z nim też się nie chciała spotkać, a niemożliwe chyba, żeby tak naraz zniechęciła nas wszystkich, żeby nie chcieć się z nami widywać. Alicja natomiast uważa, że w grę wchodzi jakiś mężczyzna. Ze Lucynka się zakochała i że okropnie to przeżywa... Albo też może nie chce nam pokazać tego swojego idola. Ona ma możliwości, aby poznawać ciekawych ludzi. Ojciec dziennikarz, to jest takie środowisko, gdzie zawsze jest szansa spotkania kogoś interesującego...

Było chyba jeszcze bardzo wcześnie, kiedy obudziłam się, bo mi się wydawało, że ktoś mnie woła. Ale kiedy posłuchałam przez chwilę, nie usłyszałam nic prócz tego okropnego miauczenia kotów! Zwariować można. W dodatku miałam taki jakiś głupi i męczący sen. Śniło mi się, że musiałam niańczyć jakieś dziecko, z którym miałam mnóstwo

kłopotów. To mnie tak zmęczyło, że czułam się jak wyrabiający sto procent normy hutnik i górnik w jednej osobie. W dodatku to był chyba niedobry sen, bo pani Lodzia twierdzi, że jak się śni małe dziecko, to oznacza kłopoty... Bardzo nie lubię kłopotów i w tej chwili miałam największą ochotę zasnąć na nowo, ale gwałtowny, bezlitosny dzwonek do drzwi zmusił mnie do wywleczenia się z łóżka. W dodatku koty miauczały przeraźliwie i już wiedziałam, że ten sen nie wróżył niczego dobrego.

Kiedy otwarałam drzwi, za nimi stał nasz roznosiciel mleka był oburzony – pa pierwsze już od dwóch dni nie wystawiłam butelki, a jest to moim świętym obowiązkiem, a po drugie mleko jest nie opłacone. On co prawda ma zaufanie i przynosi na kredyt, ale wołałby, żeby je opłacić. Przysięgłam więc, że spełnię wszystkie jego życzenia, podziękowałam za mleko, które dziś przyniósł, i już zupełnie wybita ze snu miałam pójść do kuchni, żeby je wstawić do lodówki, kiedy uprzytomniłam sobie, że to, co brałam za miauczenie romansowych kocurów – to płacz dziecięcia, czyli że podrzutek dopomina się o śniadanie...

Przed wyjazdem do tej Pragi pan redaktor zaklinał mnie na wszystko, abym zaglądała do Lucynki także i w te dni, kiedy nie przychodzę do nich do sprzątanania. Więc że dzisiaj akurat wykroila mi się chwila czasu, postanowiłam zajrzeć na Polną. Przy okazji posprzątałabym trochę, bo chociaż Lucynka jest nawet dbająca o porządek, to przecież czasem potrafi zostawić bałagan. Idę ja sobie Polną ulicą, po drodze kupiłam trochę twarożku i jajek, żeby było w lodówce coś do jedzenia, bo niech tak pan redaktor wróci niespodziewanie, to nie wiem, co by było... Idę więc przez Polną i jak zawsze z przyzwyczajenia spoglądam w górę, na balkon na drugim piętrze, czy czasem Lucynki nie zobaczę, a tu widzę, że nie ma Lucynki, tylko jakieś pranie suszy się na sznurku. Bardzo dobrze – myślę sobie, młoda panienska powinna dbać o czystość i zawsze do tego ja, jak własne dziecko, przyzwyczajałam, kiedy zaczęłam się nią zajmować. Bo frenetycznie nie lubię brudasów. Podchodzę więc bliżej i tak mimo woli jeszcze raz na balkon patrzę i widzę, że na naszym balkonie wiszą świeżo uprane niebieskie śpioszki. Skąd te śpioszki? Co za śpioszki? Omyliłam się, nic innego.

Ale ja się wcale nie omyliłam.

Biedna pani Lodzia!

Wstrząs jednak był bardzo silny.

– Lucynko! – wyszeptwała ze szlochem. – To twoje?

– Chwilowo – odpowiedziałam ogłędnie. I spróbowałam opowiedzieć przystępnie całą dziwną historię z podrzutkiem...

Patrzę na tę Lucynkę, takie to przecież jeszcze dziecko młodziutkie i myślę, że nie mogłaby mnie okłamać. Ale co będzie, jak wróci pan redaktor? Mężczyzna co prawda jest zawsze od urodzenia bardziej łatwowierny i we wszystko uwierzy, ale on to jest taki honorowy, że gotów przypuszczać, że Lucynka przed nim chce prawdę ukryć. Chociaż ja na przykład to jej wierzę. A swoją drogą szkoda, że pan redaktor w czas się po raz drugi nie ożenił. Baby za nim latają, telefonują tu frenetycznie, jak opętane, a on nic – pani Lodziu – powiedział kiedyś do mnie – ja mojemu dziecku macochy nie dam. Szlachetny jest i już. Teraz jednak myślę, że macocha, nie macocha, ale zawsze doświadczona kobieta i mogłaby więcej Lucynka się zająć, żeby na złą drogę, broń Boże, nie weszła. Ja nie mówię o żadnym takim łajdactwie, tylko że dziś dziewczyna jak dziewczyna, każda chce mieć swojego chłopaka, choćby dlatego, żeby jej inne zazdrościły. A czasem z tego chodzenia z chłopakiem to za przeproszeniem kłopot może być. Nie, nie, ja nie mówię o Lucynce – ja jej wierzę, ale czy ludzie uwierzą?

W każdym razie jak jest, tak jest, ale muszę jej pomóc. Miałam do rodziny na wieś wyskoczyć, ale nie pojedę – bo muszę Lucynce pomóc. Taka już jestem, że jak mogę, to pomagam, bo ja panicznie wierzę w sprawiedliwość – że jak ja komu dobrze, to mnie potem, w ciężkiej chwili i w ogóle w razie czego, też ktoś rękę pomocną poda.

Lucynka tak mi wszystko najpierw tylko na chybcika opowiedziała, głową tylko pokiwałam nad tą ich jazdą na lotnisko, bo gdzie by takie dwie dziewczynki dały radę taki numer jak ta Iwona złapać. A z dentystą – też dobra historia! Uśmiełam się, chociaż w ogóle sprawa jest tragiczna, powiedziałabym... Bynajmniej jednak ta Besia na

zaplombowaniu nie straciła, bo ząb się nie zepsuje, tyle że drogo zapłaciła.

Jednak najważniejsze to było, żeby się tem biedactwem podrzuconem zająć. Owszem, chłopaczek ładny i chyba będzie miał z pięć miesięcy, ale zbiedniałe to, odparzone – bo przecież skąd taka Lucynka ma mieć pojęcie, jak się dzieckiem zająć. Ale za to teraz praktyki nabierze. Będzie wiedziała, co to jest być matką. Najpierw więc wykapałyśmy go, a potem na razie kartoflaną mąką zasypałam odparzenia. Jak tylko otworzą sklepy, mam na myśli drogerie albo perfumerie, to Lucynka musi gnać i kupić zasypkę. A w co to ubrać? Zawinęłam w jakieś stare koszulki Lucynki, co odłożyłam na szmatki – ale przecież dziecko musi być jakoś ubrane. I kocyk by się inny przydał, bo ten brudny jak ścierka od podłogi... Ze też ta wyrodna matka nawet jakiej takiej wyprawki mu nie dała. Pewnie wszystko wydała na ciuchy dla siebie, kiedy z tern Turkiem w świat się wybierała. Bo to na pewno był Turek – oni są łąsi na kobiety... Słyszałam o tem jeszcze od mojej ciotki, która znała taką jedną dziewczynę w swojej młodości, którą handlarze – to się wtedy nazywało – handlarze żywym towarem – wywieźli i sprzedali do tureckiego haremu... Jasne, że mnie tej Iwony nie żal! Dobrze jej tak, tylko co dziecko winne? A jak już dostał kleiku z mlekiem i najadł się, i uśmiechnął – to naprawdę – istny aniołek! A swoją drogą – nie chcę, broń Boże, myśleć nic złego, ale ma ten chłopaczek jakby jakieś podobieństwo do Lucynki – ni to w oczach, a może w ogóle buźkę ma podobną. Jasne, że to niemożliwe...

Zrobiłam też trochę porządku w całym mieszkaniu! Boże święty! Dobrze, że pana redaktora nie ma, bo jak to wszystko wyglądało! Ja rozumiem, że sytuacja była tragiczna, ale bałagan też był po prostu gigantyczny – jak mówi Lucynka. Siadłyśmy potem wreszcie do śniadania. Lucynka wykapana, przebrana w świeżą sukienkę i taka jakaś lepszej myśli. Zjadła jajecznicę, napiła się kawy i zaczynamy się naradzać, co dalej z tem dzieckiem.

– Nie oddam na milicję, serca nie mam, żeby go zabrali nie wiadomo dokąd – mówi Lucynka, a ja ją rozumiem. Jedyne więc wyjście jest, żeby tego właściwego ojca odnaleźć. Tego spod omyłkowego adresu. Jeśli matka niedobra, to może choć ojciec okaże się lepszy i oby tak było, amen...

Zaczynamy więc domyślać się teraz obie, do kogo ta Iwona miała zamiar przyjść. Z tego, że źle trafiła, wynikałoby, że nigdy przedtem nie była w mieszkaniu tego, kto był ojcem jej dziecka. Czyli, że mieszkali osobno. A może ten ojciec to człowiek już żonaty i dzieciaty? Może też być chłopak bardzo młody, przy rodzinie... Oj, niepewny w każdym wypadku los tego maleństwa... Swoją drogą ta Iwona to bez serca i w ogóle wyrafinowana. Nie lubię takich. Jednak trzeba coś przecież zrobić – dziecko tu na zawsze zostać nie może – bo w ogóle w jaki sposób? Niby jako czyje? Tylko jak spenetrować, kto w tym domu mógłby pod to ojcostwo podpaść? Zdaje mi się, że trzeba by tu z kimś w kamienicy pogadać. Z takim kimś, co wszystko o wszystkich lokatorach wie – więc najlepiej z dozorczynią. Tutejsza, z Polnej, to każe się nazywać „gospodynią domu” – niech jej będzie, chociaż po mojemu kiepska z niej gospodyni, bo podwórko zaśmiecone, ale niech tam. Wstąpię do niej i pogadam. Przecież trzeba z tem biednym dzieckiem coś zrobić. Tymczasem zostawię Lucynkę z małym, a sama pójdę prędko do domu. Po pierwsze muszę coś tam naszykować do paczki dla mojej Bożenki. Poślę jej na ten obóz kawałek ciasta, to urządzi przyjęcie dla koleżanek. Niby harcerki to umieją same sobie ugotować, ale ciasta na obozie nie upieką. A po drugie to muszę zajrzeć do tej mojej starszej córki – do Grażynki – na pewno jest tam jeszcze trochę dzieciennych szmatek, z których już jej Robert wyrósł. Jakieś koszulki i śpioszki, i może jeszcze trochę pieluszek... Zobaczy się... Do widzenia, Lucynko! Niech Lucynka się nie martwi, jakoś to będzie. Postaram się szybko wrócić. Do widzenia...

Do widzenia, pani Lodziu! Pani jest cudowna i wspaniała... Zupełnie inaczej się czuję. Już nie jestem taka załamana jak wczoraj. Muszę tylko jeszcze wymyślić sposób na odnalezienie tego ojca. Szkoda że Besia może przyjść dopiero po południu, bo byśmy we dwie nad tym podumały. Zaraz... a może by dać ogłoszenie? Ale jakie? Na przykład takie: „Mały Adaś, omyłkowo zostawiony pod innym adresem, prosi swojego tatę, aby się po niego zgłosił”.

Może to i byłoby dobre. Jeśli ten ojciec jest coś wart, to się przecież zgłosi. Ale jeśli to jest jakiś typek spod ciemnej gwiazdy, taki sam jak ta Iwona, to co będzie? Naradzę się jeszcze z Lodzią. I z Besią też, bo

ona jest sprytna. A tymczasem polecę tylko na chwilę na dół, po gazety! Boże! Ale ze mnie kretynka! A jeśli ten ojciec podrzutka, sam zaniepokojony, że dzieciaka dotychczas nie ma u niego, poszukuje go na przykład przez ogłoszenie?

Gnam więc na dół, do budki z gazetami. Niestety, nie ma już „Życia Warszawy”, a tam są wszystkie ogłoszenia. Pędzę więc do następnej. Tu również już „Życia” zabrakło. Wreszcie w trzeciej dostaję. Nie, nie będę przeglądać na ulicy. Muszę to zrobić spokojnie, w domu. Jestem zdenerwowana i zarazem mam słabiutką nadzieję; a nuż jest ogłoszenie? Czuję, że muszę zjeść porcję lodów, gdyż inaczej nie odzyskam równowagi i wstępuję do małej kawiarenki.

– Proszę dużą porcję śmietankowych i kawowych...

Siedzę rozkoszując się lodami i staram się myśleć o nowej sukience, którą chciałabym sobie uszyć. Sama ją uszyję. Niechętnie musnęłam myślą sprawę egzaminu. Czy zdam? A co będzie, jeśli mi się nie uda? Nie chcę o tym myśleć, nie mam siły. Zresztą w tej chwili najpierw trzeba załatwić sprawę dziecka. To jest sprawa ciężka i poważna. I sama jedna muszę jej podołać. Najwyżej z pomocą Besi. Na nią mogę liczyć, ale przecież to nie jest taka pomoc, jakiej mi byłoby trzeba. Niemniej cieszę się, że taty nie ma w Warszawie, bo denerwowałby się i ciężko to przeżywał. A tak, jak wróci – podrzutek będzie już ulokowany pod właściwym adresem, a ja mu tylko opowiem dzieje Adasia. Może nawet będziemy go odwiedzać i polubimy jego ojca?

No, lody zjedzone. Trzeba wracać do domu. Może mały płacze? Lodzia pewnie już jest na miejscu. W każdym razie obiecała, że się pośpieszy.

W sieni zaglądam do skrzynki na listy. Jest list od taty i kolorowa pocztówka od Myszki:

Droga Lucynko! Witek mi pisał, że już dostałaś maturę. Cieszę się z tego razem z Wami, chociaż jest to bolesny dla mnie fakt, że mam już dorosłą wnuczkę. Oczywiście nikt z moich tutejszych przyjaciół nie dałby temu wiary. Gdybyś tu kiedyś przyjechała, mogłabyś najwyżej uchodzić za moją córkę. Tymczasem całuję cię serdecznie, Twoja Myszka. PS Leman jest zawsze cudownie błękitny i to działa na mnie kojąco.

Gdyby nie to, że nie lubię śmiecić na schodach, wyrzuciłabym od razu tę kartkę, podartą na strzępki. A mnie by się marzyła dobra, miła, siwowłosa babunia, która mówiłaby z dumą do swoich przyjaciółek i znajomych: „A wiecie? Moja wnuczka już zdała maturę...”

Tak zamyślona wchodziłam powoli na schody, kiedy naraz drzwi mieszkania na pierwszym piętrze otworzyły się, a właściwie lekko uchyliły, i przypadkiem usłyszałam głos kobiety, który przykazywał:

– Pamiętaj, Winiu, załatw to, dowiedz się między ludźmi! Przecież to o twoje dziecko chodzi. Sprawa jest pilna!

Drzwi skrzypnęły, więc uskokzyłam błyskawicznie na półpiętro, aby mnie nie było widać, i zaraz potem zobaczyłam wychodzącego z mieszkania młodego jeszcze mężczyznę, barczystego blondyna o rumianych policzkach.

– Dobra, dobra – uspokajał niewidoczną, stojącą w przedpokoju osobę – załatwię, załatwię. Co ty myślisz? Że serca dla własnego dziecka nie posiadam? Jeszcze dziś go tu przytaskam...

I pogwizdując wesoło, blondyn o potężnym gabarycie zbiegł ze schodów, a ja stałam na półpiętrze i nie wiedziałam, co mam robić. Gonić za nim czy też czekać... ale na co czekać... A może on już tego dzieciaka szuka przez milicję i przyjdą do nas, aby go zabrać i wyjdzie na to, że jestem porywaczką dzieci. No, bo jak to da się wytłumaczyć inaczej, że trzymam w domu to maleństwo i nikogo dotychczas o tym nie zawiadomiłam... Co robić? Co robić? Żeby już pani Lodzia prędzej wróciła...

No i zdaje mi się, że przyszłam w samą porę, bo Lucynka stała na schodach roztrzęsiona i zdenerwowana i tylko zawołała takim jakimś wyrafinowanym głosem:

– Pani Lodziu! Sytuacja jest podbramkowa!

– Jak to? – pytam. – Co się stało?

A ona do mnie powiada:

– Niech pani zejdzie pół piętra niżej i zobaczy, jaki numer jest na tych drzwiach na lewo...

Na drzwiach był wyraźnie numer ósmy. Patrząc więc znów na Lucynkę, a ona pobladała jak ta ściana i szepce:

– Ósmy, rozumie pani, pani Lodziu?

W pierwszej chwili nie bardzo rozumiałam, ale kiedy wróciłyśmy do domu, Lucynka mi mówi, że to właśnie z tego mogła wyniknąć pomyłka z podrzutkiem – mieli go dać pod ósmy, a dali pod osiemnasty. To znaczy do mieszkania państwa Prandotów.

I ta kobieta wołała do tego mężczyzny: Winiu, Winiu! To przecież jest podobne do Winniczka, nie?

Trochę się zgodziłam, a trochę nie. A swoją drogą co to niektóre kobiety nie wymyślą – żeby na mężczyznę wołać Winniczek. W głowie im się przewraca. Zresztą mniejsza o to, niech wołają, jak chcą. Byle dzieciak dom i rodzinę wreszcie miał. I właśnie w tej chwili przypominałam sobie, że przecież pod ósemką mieszka taka jedna staruszka, emerytka. Więc skąd u niej miałyby być dziecko? O ile wiem, własnych nie ma i po owdowieniu mieszka samiuteńka. Niech Lucynka poczeka, to ja polecę do dozorczyńni i wszystkiego się zaraz dowiem. Ona to wie wszystko o każdym lokatorze.

Okropnie zdenerwowana czekałam na powrót pani Łodzi. Na szczęście nie trwało to zbyt długo. Rzuciłam się do niej zaraz z pytaniami.

– No i co, pani Łodziu? Kto tam właściwie mieszka? Co się dzieje z emerytką?

– Co się ma dzieć – odpowiedziała pogodnie pani Łodzia. – Emerytka pojechała na wczasy i na dwa tygodnie odnajęła swoje mieszkanie takim swoim znajomym, co przyjechali do Warszawy z Wrocławia.

– Więc w takim razie pomyłka byłaby możliwa...

– Pewnie. Ludzie nietutejsi, tamta dziewczyna też mogła adres pomylić. Możliwe, że właśnie szukają dziecka.

– Wobec tego trzeba tam zaraz iść – poderwałam się, ale zaraz pani Łodzia zgasiła mnie.

– Jeżeli Lucynka mówi, że tamten blondyn wyszedł, to praktycznie byłoby pójść tam, kiedy on wróci. Prędzej się z nim dojdzie do ładu. Co mężczyzna, to mężczyzna. Swoje zdanie o tym mam. Poza tym jakże oddamy dziecinę w takim stanie? Wykąpać go trzeba, przebrać. Przyniosłam trochę takich ubranek, z których mój wnusio wyrósł. I nakarmimy małego, żeby nie był taki zgłodniały. Bo co by o nas pomyśleli? Proszę zaraz zabrać się do skrobienia jarzynek. Zupkę ugotujemy przecieraną i żółtkiem się zaprawi. Dzieciak jest

zmizerowany, bo co tu mówić, obie żeście z tą Besią nie bardzo dobrze go karmiły. I tak cud, że się nie pochorował.

I proszę! Czy pani Lodzia nie jest wspaniała? Pełna otuchy zabrałam się zaraz do jarzynek. Czas szybko biegł i już wkrótce nasz podrzutek nakarmiony, uśmiechnięty, otwierał swój śmieszny dziobek i pokrzykiwał. Wyglądał zupełnie elegancko w niebieskich śpioszkach dostarczonych przez panią Lodzie i w śliniaczku z wyszytym kurczakiem.

A jeśli ten cały Winio, czy jak mu tam, nie będzie dla dzieciaka dobry? Jeśli nie będzie chciał się do niego w ogóle przyznać? Albo nie lubi dzieci? Albo coś będzie nie tak? Dręczyły mnie te różne wątpliwości, ale trzeba było tam pójść i przekonać się, bo przecież musiałam w końcu odszukać ojca Adasia.

– Co Lucynka tak się sumuje? – zgaśniła mnie pani Lodzia. – Proszę lepiej dopilnować, czy ten facet wrócił. – I po chwili dodała. – Co tam, moja Lucynko, mieszać się w cudze sprawy. Grunt, żeby się przyznał do dzieciaka. A poza tym ojciec to ojciec. Po mojemu tak trzeba patrzeć na tę sprawę.

Wreszcie, stojąc na balkonie, dostrzegłam na zalanej słońcem ulicy zbliżającą się masywną postać pana Winia.

Szedł lekko kołyszając się, tak zwanym marynarskim krokiem. Wyglądał nawet sympatycznie i dobrodusznie, co mnie trochę uspokoiło.

Chyba to jest poczciwy chłopak – pomyślałam – tylko trochę niemrawy.

– Pani Lodziu! – krzyknęłam więc wbiegając do pokoju. – Ten Winio wraca do domu.

– Wobec tego trzeba będzie tam zaraz iść do nich – zdecydowała pani Lodzia – nie ma co odwlekać. Załatw sprawę i żegnaj, jak mawiał mój mąż. Jak dobrze pójdzie, może już za chwilę będzie po zmartwieniu i kłopotcie. Niech Lucynka bierze dziecko i schodzi na pierwsze piętro. Proszę nie zapomnieć zabrać tego listu, bo to przecież pisane do tego Winia czy jak mu tam. Ważny dokument.

Przestraszyłam się teraz. Więc mam iść do tych ludzi, rozmawiać z nimi? Nie wiadomo, jak mnie przyjmą. A poza tym, co najważniejsze,

mam im oddać podrzutka. Jacy oni są? Jak będą się z nim obchodzić? Pani Lodzia mówi, że zaraz będzie po kłopotcie. Możliwe, ale w każdym razie to bardzo trudna chwila.

– Sama mam iść? – pytam drżącym głosem.

– A skądże! – oburza się pani Lodzia. – Nasz pan redaktor nie darowałby mi, gdybym opuściła Lucynkę w takiej chwili. Proszę wziąć dziecko i idziemy.

Zrobiłam, co mi kazano, ale czułam się okropnie. Nogi się pode mną uginały, kiedy stanęłam pod drzwiami mieszkania oznaczonego ósmym numerem. Z wnętrza dobiegał basowy głos męski i wysoki, kobiecy. Wyglądało to na sprzeczkę. Niemniej odważnie zapukałam. W odpowiedzi na to za drzwiami zaczęły się jakieś szepty, aż wreszcie głos damski pisnął:

– Kto tam?

– To ja! – odpowiedziałam drżącym głosem.

– Co za ja? I do kogo? – dopytywał się damski głos przez zamknięte drzwi. – Bo jeśli do pani Perzykowej, to ona wyjechała. Nie ma jej.

– Kiedy ja nie do pani Perzykowej – zaczęłam tonem perswazji.

– Tylko do kogo? – dopytywała się osoba rodzaju żeńskiego obdarzona tym niezmiernie piskliwym głosem. – Tu w ogóle nikogo nie ma.

– Niech pani otworzy i nie boi się – wtrąciła się teraz pani Lodzia. – Swoi ludzie jesteśmy i przychodzimy sprawę załatwić...

– Ale jaką sprawę? – wysoki sopran był nieustępliwy.

Więc miałam tego dosyć i powiedziałam twardo.

– Niech mnie pani wpuści, ja do pana Winia!

Sopran zamilkł. Milczenie trwało przez dłuższą chwilę, aż wreszcie odezwał się pan Winio.

– Do mnie? Jak to do mnie? Ja tu nie mam żadnych spraw. Zaraz... a może to w sprawie wózka?

I wtedy inicjatywę przejęła pani Lodzia.

– Pewnie, że w sprawie wózka... co pan nie otwiera?

Drzwi wreszcie rozwarły się. W przedpokoju obok pana Winia stała młoda osoba, pucolowata i w ciąży. Miała bardzo niebieskie oczy i kartoflany nos, nakrapiany piegami.

– Więc panie w sprawie wózka – pospieszył poinformować się pan Winio – bo właśnie mówiono nam...

– Ja nie tyle w sprawie wózka – wyznałam odważnie – ile do pana o sobiście, proszę pana...

– To tak! – pisnęła teraz dziewczyna. – A czego pani chce od niego, co? Wicek?! Co to ma znaczyć? Gadaj zaraz, tylko nie kręć!

– Jak to: Wicek? – zapytałam. – Zdawało mi się, że pan ma na imię Winio albo właściwie Winniczek, bo tak napisała Iwona. Bo chyba ten list jest do pana. A omyłkowo...

– Jaki list? Od jakiej Iwony? Co za Winniczek!

– Ależ przysięgam ci, Violetko, że nie nazywam się żaden Winniczek. To jakieś nieporozumienie! Jakaś omyłka, ale to nie do mnie z tym Winniczkiem czy jak tam. Ja nic nie wiem. I w ogóle przysięgam ci, że ja tej danej osoby nie znam i nie wiem, czego ode mnie chce!

– Tak? – zapięła Violetka. – To ja sama zaraz się dowiem. Gadaj! – przysunęła się do mnie. – Czego chcesz od mojego chłopaka, co?

– Jeśli ten pan nie jest Winniczek, to znaczy jeśli tak się nie nazywa, to nie jego szukam – wyznałam pokornie.

W teże chwili Adaś przestraszony krzykami, zaczął popłakiwać. Tego tylko było trzeba piegowatej Violetce.

– Ejże! – zawołała. – Czy ty aby nie szukasz tatusia dla tej dzieciny, którą tulisz do łona?

Było to właściwie zgodne z prawdą, więc postanowiłam postawić sprawę jasno.

– Tak jest! Poszukuję tego, który by się przyznał do ojcostwa...

– Ej, to nie tu takie historie! – teraz sopran Violetki skaziła chryпка, pewnie ze zdenerwowania. Biedactwo, widziała już swoje szczęście zagrożone... A Winio? Skamlał tylko cichutko, że to nie on, na pewno nie on, że pierwszy raz mnie widzi na oczy.

– Lucynko! – zawołałam w tym momencie, bo mi się wydało, że najwyższy czas, abym się wmieszała w tę okropną sprawę. Widziałam, że ta Violetta jest na wszystko gotowa w obronie swojego chłopaka, a Lucynka nie potrafi jej wytłumaczyć, że szuka właściwie w ciemno i że to nie ona jest matką tego biednego podrzutka, i stara się o tego ojca dla

niego z dobrego serca. – Lucynko! – powtórzyłam. – Niech Lucynka pozwoli, to ja wszystko tym państwu wyjaśnię, żeby nie myśleli, żeśmy jakie hochsztaplerki czy inne oszukanice. Tylko życie tak czasem się składa, że więcej jest skomplikowane niż niejeden film.

– Pewnie! – słabym głosem odważył się przytaknąć mi ten Wicek, który był Wickiem, a nie Winniczkiem. I do niego zaczęłam mówić, bo widziałam, że jest jakby rozsądniejszy, a dziewczyna, ta Violetta, jeszcze nie ochłonęła i ma czerwoną mgłę przed oczami, jak mawia Lucynka. A swoją drogą Lucynka to tak nie bardzo zręcznie zagaiła sprawę. Trzeba było inaczej podejść. Jednak, że życie znam i niejedno widziałam, całą historię wyprowadziłam na czysto. Wszystko zostało wyjaśnione, Wicek i ta jego piegowata Violetta tak się przejęli, że nawet chcieli, żebyśmy zostały u nich na herbacie, ale podziękowałyśmy i w zgodzie i miłości opuściliśmy to mieszkanie numer osiem. Dużą też pociechą, uważam, jest to, że oni już jutro wracają do tego swojego Wrocławia i sprawa po kamienicy się nie rozniesie. Bo po co mają plotkować? Ludzie są tacy, że opowiadają nie wiadomo co i na pewno Lucynka wyszłaby w tych plotkach na porzuconą matkę...

A jednak czuję się jak porzucona matka. Po tych nieudanych poszukiwaniach przestałam wierzyć, że uda się odnaleźć tego całego Winniczka. Co prawda Besia, która wpadła do mnie po obiedzie, jest zdania, że jeśli nie można znaleźć ojca, to należy zacząć szukać wyrodnej matki, ale wydaje mi się, że to też jest trudne...

– Dlaczego takie znów trudne? – przekonywała mnie teraz Besia. – Dajesz znać do milicji, rozumiesz? Milicja sprawdza, która z pasażerek lecących tego dnia, miała na imię Iwona i haczy ją; proszę pani – mówią – niech pani teraz powie, co to ma znaczyć, że pani obcym ludziom podrzuca swoje dziecko. I będzie się musiała przyznać i zabrać małego.

– Tak, może to nawet by się i udało – zgodziłam się z Besią – ale czy ty sobie wyobrażasz los biednego, niechcianego Adasia?

– A co zamierzasz innego zrobić?

Tak, doprawdy nie wiedziałam, co mam robić dalej. Byłam nieszczęśliwa i bezradna.

– Niech Lucynka teraz pójdzie sobie na spacer z Besią albo do kina – powiedziała pani Lodzia – bo przecież nie sposób, żeby tak cały dzień siedziała w domu i gryzła się. A o małego proszę się nie martwić. Zabiorę go do siebie do domu i przyniosę wieczorem.

– Pani Lodzia jest cudowna! – pisała Besia, a ja ograniczyłam się do pocałowania jej w prawy policzek, po czym zadzwoniłyśmy do Gośki i do Roberta i umówiliśmy się do kina.

Wróciłam do domu po dziesiątej i pani Lodzia czekała już na mnie, a mały spał, wykapany i nakarmiony.

– A czy pani jutro przyjdzie? – zapytałam ż niepokojem.

– Pewnie, że przyjdę – zapewniła mnie pani Lodzia. – Panicznie nie lubię zostawiać kogoś w ciężkiej sytuacji. Dobrze mówię?

– Pewnie, że dobrze... – mruknęłam przymilnie. A ledwie zamknęły się drzwi za panią Łodzią, zadzwonił telefon. To dzwonił tata. Jak dobrze jest usłyszeć jego głos.

– Lucynka? – powiedział. – Jak sobie dajesz radę, dziecinko? Słuchaj! Mam dla ciebie nowinę...

Nie mogłem nie zadzwonić i nie powiedzieć Lucynce o tym, że to ja jadę zamiast Latoszewskiego na te trzy wspaniałe mecze do Zurychu. Ach, nareszcie może wyjdę z impasu, zacznę dostawać ciekawsze imprezy do relacjonowania. Nie życzę źle Latoszewskiemu, ale jeśli miał atak wątroby z komplikacjami, to powinien dbać o siebie. Zaraz więc po otrzymaniu tej wiadomości najpierw telefonuję do domu. Chciałbym zastać Lucynkę, bo również jest możliwe, że gdzieś wyszła – niech się trochę rozerwie. Zmęczona jest maturą, a teraz jeszcze czeka ją egzamin... Muszę jej przykazać, aby wszystkie wolne chwile poświęciła na odpoczynek. Niech chodzi na pływalnię i do Łazienek, niech leniuchuje i o nic się nie martwi.

– Lucynko! Kochanie! Tak, to ja! Czuję się znakomicie. Słuchałaś wczoraj? Podobało ci się? No, to teraz posłuchaj jeszcze czegoś innego – kochanie; pojutrze, już prosto stąd, lecę do Szwajcarii!... Tak, tak, nie przesłyszałaś się. Jestem szczęśliwy, oczywiście, tylko martwię się, jak tam sobie dasz radę. Zadzwon do redakcji, oni wiedzą, że mają ci wypłacić moje honoraria za dwa poprzednie mecze! Kupiłem ci tu śliczne sandaalki, przywiezie je moja koleżanka z radia. Tak, a co byś

chciała ze Szwajcarii? No, to ja sam coś wymyślę, jak się rozejrzę. Słuchaj, niech pani Lodzia jednak przychodzi jak zawsze, co drugi dzień. A co ty masz, kochanie, taki jakiś głos, jakby zmęczony, jakby zachrypnięty?... Dbaj o siebie... I czekaj wiadomości! Tak, sprawdź, kiedy będą mecze! Bo może i telewizja też będzie transmitować. Tak! Całuję cię. Pa! Ciao!

Co za cudowna nowina! Tata szczęśliwy szaleńczo, a ja byłabym też cała w skowronkach, gdyby nie to, że przecież muszę załatwić sprawę tego małego. To byłoby fatalnie, gdyby po powrocie ojciec zastał taką głupią sytuację. Na pewno przejąłby się tym okropnie, ja go znam, i chciałby, żeby Adasiowi znaleźć dom, żeby nie był takim niczym dzieckiem. Więc tata oczywiście latałby i latał, żeby coś załatwić. Co prawda jako dziennikarz miałby pewnie więcej możliwości niż ja i umiałby trafić do odpowiednich ludzi czy urzędów, żeby znaleźć tego całego Winniczka. Ale wiem, ile by go to kosztowało przy tym i zdrowia, i nerwów. A on przecież z sercem nie jest najlepší. Oj, tato, życie nie jest łatwe!

Więc co mam zrobić? A może Beśka ma rację? Może należałoby poszukać Iwony za granicą przez nasze konsulaty? Fajnie! Być może znajdziemy ją, cała masa ludzi namęczy się, straci nerwy, straci czas, a to dziewczynisko, ta seksbomba dla ubogich, prawdopodobnie przyjedzie tu na trochę i najzwyczajniej umieści małego w Domu Dziecka w Warszawie. I być może na gwiazdkę przyśle mu jakąś zabawkę. I tyle ten biedny dzieciak z tego będzie miał.

A może Iwona to element przestępczy? Jakaś przemytniczka albo i jeszcze gorzej? Kto to może wiedzieć... I wtedy Adaś byłby dzieckiem dziewczyny z marginesu. Takie piętno mogłoby nad nim zaciążyć.

No, dobra. Dosyć rozważań. Na razie w dalszym ciągu szukamy Winniczka. Pani Lodzia ma się jutro dowiedzieć, kto mieszka w sąsiednich domach w mieszkaniach numer osiemnasty. Może znajdziemy ślad w ten sposób, bo ja wierzę w omyłkę. I muszę sobie zrobić notatkę, co mam jutro załatwić. Z tego wszystkiego tracę już pamięć. Więc tak: Zadzwoić do redakcji w sprawie pieniędzy, przeprać bluzkę, podlać kwiatki, napisać list do taty – pewnie go dostanie w Zurychu, list ma być wesoły, może być krótki, ale wesoły...

Wieczorem... wieczorem tak sobie muszę zorganizować czas, aby posłuchać meczu z Bratysławy, zajrzeć do historii sztuki – wiek XVII i XVIII, to moja najsłabsza strona. Z przerażeniem stwierdzam w tej chwili, że mam zupełną pustkę w głowie – nic nie pamiętam, a to, co pamiętam, miesza mi się tak okropnie, że ogarnia mnie panika. Powinnam przysiąc, uporządkować jakoś swoje notatki, zrobić sobie plan, według którego muszę uzupełnić luki – bo chwilami zdaje mi się, że kiedy przyjdzie do egzaminu, nie potrafię nic wyłowić z mojej pamięci...

Tata każe mi wypoczywać, odprężyć się – hej! tato! Nie domyślasz się nawet, jak wygląda teraz relaks twojej jedynaczki. Pewnie nigdy byś nie uwierzył. Lodzia twierdzi, że trzeba jeszcze mieć nadzieję – że to chodzi o sąsiednie domy. A gdybym, nie czekając na jej wywiad, sama teraz pobiegła bodaj spojrzeć na listę lokatorów? Bramy są jeszcze nie zamknięte. Może zdołam coś wywnioskować? Mały śpi w swoim gniazdku z zestawionych foteli, więc mogę bezpiecznie wyjść z domu...

Żal mi okropnie Lucynki. Chciałabym jej jakoś pomóc, ale doprawdy mam w tej chwili mózg wyprany z dowcipu. „Beśka, rusz dowcipem” – mówię sobie, ale mój dowcip jest w stanie zastoju...

Obiecaliśmy Witkowi Prandocie, że w czasie jego nieobecności zadzwonimy do niego do domu, żeby się dowiedzieć, co słychać u Lucynki. Głupio się nam zrobiło, kiedy dzisiaj rano po kolegium redakcyjnym uprzytomniliśmy sobie, że nikt z nas tego nie zrobił. Co prawda Lucynka jest bardzo rozsądna i przychodzi tam do nich ta osławiona, idealna pani Lodzia, ale swoją drogą wypada zadzwonić. I naturalnie zaraz mnie wytypowali – bo powiedzieli, że kobieta najlepiej nadaje się do załatwiania takich spraw. Zadzwoniłam więc i przyznam się, że jestem trochę zaniepokojona. Lucynka, taka zawsze pogodna, miała tym razem głos zgaszony, jakby była chora. Zaproponowałam jej nawet, że może wpadnie do redakcji albo że wypijemy kawkę w naszym bufecie, na dole, ale wykręciła się, że przygotowuje się do egzaminu. I tylko prosiła, żeby jej dać znać, jak będzie jakies

honorarium dla ojca. Obiecałam więc, ale myślę, że trzeba będzie po prostu zajrzeć do niej któregoś dnia.

Dzwoniła do mnie pani Teresa, ta z redakcji, od taty. Była bardzo miła, wyrażała troskę i zgłaszała gotowość niesienia pomocy, gdybym jej potrzebowała w jakiegokolwiek sprawie. Bardzo to ładnie, ale jak ona mogłaby mi pomóc? Nie widzę na razie możliwości i to jest najgorsze. Nikt, ale to nikt nie może mi pomóc. Chociaż pani Lodzia urąga mi, kiedy tak mówię, i twierdzi, że nie ma takiej sytuacji, z której nie byłoby wyjścia, kiedy się dobrze poszuka. Szukamy Więc...

Pani Lodzia też była w tych sąsiednich kamienicach na zwiadzie. I co wiemy? Że w kamienicy po jednej stronie – pod numerem osiemnastym mieszkają jacyś starsi państwo. Dwa pokoje zajmują oni, a w trzecim mieszka gosposia. To jest taka pani w średnim wieku, która ma córkę studentkę. W tym więc wypadku nie może chyba być mowy o ojcu Adasia – imieniem Winniczek. Natomiast w kamienicy z drugiej strony naszego domu sprawa przedstawia się już nieco bardziej interesująco. Mieszkanie jest też trzypokojowe, ale na czas nieobecności właściwych lokatorów odnajmuje je jakiś dyrektor z centrali handlowej „Pipex”. Nie mam pojęcia, czym handluje „Pipex”, ale pan dyrektor, jak twierdzi Lodzia, wydaje się mocno podejrzany. Nie wiemy, czy jest żonaty, nie wiemy także, jak ma na imię. W każdym razie jego imię też zaczyna się na literę W. Czy zaryzykujemy wizytę?

Besia odradza.

– Trzeba będzie to załatwić bardziej chytrze. Najpierw należałoby zobaczyć, jak wygląda. Wiesz? Mam pomysł – napiszemy do niego list i umówimy się na randkę. Obejrzymy go i zdecydujemy, co dalej...

Nie bardzo wierzę, aby to coś miało dać, ale trzeba przecież próbować wszystkich sposobów. Piszemy więc list. Na najbardziej atrakcyjnym papierze listowym, jaki udało się Besi dostać w sklepie. Wysyłamy ekspresem, żeby dostał jak najszybciej. Liczymy, że dostanie nazajutrz, a na pojutrze naznaczamy spotkanie w kawiarni. Wiemy już, jak wygląda. Beśka przyczała się, szpiegowała go i widziała, jak wsiadał do swojego samochodu. Samochód marki Wartburg, a facet – podobno taki typowy czterdziestolatek, jak mi go

Beśka opisała. Łysawy, ale włosięta nieco dłuższe. Ubrany młodzieżowo, brzuszek tłuściutki, buziak rumiany. Umawiamy się na przedpołudnie, bo dyrektorzy lubią mieć chwilę wytchnienia w czasie urzędowania i wypić małą lub większą kawę.

Na spotkanie idziemy we dwie z Besią, a podrzutek zostanie z panią Lodzią. W każdym razie musimy spróbować. A jeśli trafimy? Jeśli to jest Winniczek? Dobrze odżywiony, eksportowy Winniczek.

Wchodzimy więc o umówionej godzinie do kawiarni i rozglądamy się dyskretnie. Po chwili Besia szepce przejmująco:

– Jest! Jest. Tam pod lustrem. Widzisz? Dobrze, że nas nie dostrzegł. W rękę trzyma nasz list. A więc jeśli po otrzymaniu go przyszedł na spotkanie, to znaczy, że dojrzał do rozmowy. A myśmy napisały tak: „W dyskrecjonalnej sprawie, dotyczącej Iwony, proszę przybyć do kawiarni „Goplana” o g. 12–ej. Przyjaciel”.

Najpierw nie bardzo wiedziałyśmy, jak napisać taki list, ale ściągnęłyśmy trochę z jednego polskiego kryminału i mam wrażenie, że napisane było zupełnie dobrze. A jeśli ten dyrektor przyszedł na spotkanie, to widać domyśla się, o co chodzi. A jeśli się nie domyśla, tym lepiej. Będzie miał niespodziankę. Zmierzamy więc do stolika pod lustrem, ale trochę się boimy. Bo człowiek nie ma przecież żadnej wprawy w załatwianiu spraw nietypowych z typowymi facetami od interesów. Na nasz widok dyrektor podnosi się i ma niezbyt mądrą minę, kiedy Beśka mówi:

– Widzę, że dostał pan nasz list.

A ja dodaję:

– Przyszłyśmy w sprawie Iwony. Pan ją zna, prawda?

– Ale nie wiem, kim panie są właściwie – jaka dyrektor.

– Mniejsza o to. Interesuje nas nie tylko Iwona, ale i Adaś.

– Adaś? – powtórzył przeciągle i wydało mi się, że jakby się nieco zaniepokoił. – Ale przede wszystkim niech panie siadają, bardzo proszę. Czym można służyć? Kawka? Koniaczek? Może lody?

Miałam piekielną ochotę na lody, ale rozsądek nakazywał mi wzgardzić na razie poczęstunkiem.

– Dziękujemy – mówię więc wyniośle – najpierw trzeba wyjaśnić pewne sprawy. Pan na pewno wie, że Iwona wyjechała.

– Wyjechała? – oblicze naszego dyrektora rozjaśnia się. – To chwala Bogu. A dokąd?

– Do Stambułu – informuje Besia.

– Ach, to wspaniale – ucieszył się – więc do Stambułu. Bardzo dobrze. A nie miała jakichś kłopotów przy wyjeździe, nie wiedzą panie? Mam na myśli naszych, tak surowych, celników...

– Skądże znowu! Nie miała na pewno. Same to widziałyśmy na własne oczy, że żadnych – zapewniłam gorąco.

– A panie właściwie... to co? Zastępują Iwonkę w interesach? Bo zaznaczam od razu, że popyt na niektóre rzeczy spadł. Panie rozumieją?

– Nie bardzo – wyjawiała Besia, ale widać nasz rozmówca ocenił to jako chytre miganie się od jasnej odpowiedzi, bo mrugnął do mnie figlarnie.

– Ej, szelmutka, szelmutka, przecież wiecie, co mam na myśli. A co tym razem Iwonka planuje? Błamy, skóra?

– Raczej skóra – mówi Besia i kopie mnie w kostkę, co ma oznaczać, żebym milczała, bo ona przejmuje prowadzenie rozmowy. – Natomiast jeśli chodzi o Adasia...

Dyrektorskie oblicze pochmurnieje.

– Niech mi pani nawet o nim nie wspomina.

– Tak...? – Besia robi ważną, dorosłą minę. – Zdaje mi się, że pan ma pewne obowiązki, proszę pana.

– Wyrzekam się i odrzekam!

A to dopiero ładny typek – wyrzeka się! Dobry sobie. Wypija szybko kawę i najwidoczniej złość w nim wzbiera. Ale Beška jest nieustraszona i wali dalej:

– Proszę pana, to dziecko...

– Dziecko? – przerywa jej pan dyrektor. Jest czerwony jak burak i wygląda, jakby się dławił. – Ładne dziecko! Trzydziecha na karku, chłop jak byk, a pani mówi, że to dziecko. Nie chcę używać ordynarnych słów przy paniach, ale to jest krętacz i naciągacz. O co paniom chodzi? Proszę go zapytać, jak to było z tym transportem skórek karakułowych? A co z marynarkami?

– Nie wiem... – wyjąkała Besia.

– Acha, teraz to „nie wiem”. A przychodzi się do mnie, żebym go ratował. Ostrzegam i umyvam ręce. Będę twierdził, że go nie znam. Pewnie już siedzi w kryminale, co?

– Nie, skądże znowu – zaprzeczyłam. – Adaś na pewno nie siedzi.

– To będzie siedział – oświadczył złowieszczo – a wy, jeśli zaplątałyście się w to, to razem z nim.

Myśmy się też zaplątały, tylko nieco inaczej i w inną historię. Ale pan dyrektor o tym nie wie. My natomiast wiemy, że on sam jest zaplątany w jakieś ciemne sprawy. Wycofujemy się więc szybko.

– Nie, nie, naprawdę nie wiemy nic o skórach karakułowych. To jakieś nieporozumienie – dodaje Beśka i, widać chcąc sprawę zbadać do końca, szczebioce słodko: – niemniej jesteśmy zachwycone, że miałyśmy okazję poznać pana. Iwona zawsze mówi – „ten Winniczek jest nadzwyczajny. Same się przekonacie”.

– Jaki znów Winniczek? – zaniepokoił się na nowo dyrektor.

– To pan nie wie, kto to jest Winniczek?

– Bynajmniej niestety – głos dyrektora jest teraz pełen godności – i wypraszam sobie takie jakieś podrywki. Szantaż czy co? Ale nie ze mną takie sztuki. A tego łobuziny Adasia w ogóle nie znam.

I zanim zdążyłyśmy jeszcze cokolwiek powiedzieć, nasz rozmówca oddalił się szybkim krokiem, zostawiając na stoliku nie zapłacony rachunek. Najwidoczniej zapomniał.

– Panie uregulują? – zapytała sennym głosem kelnerka.

Uregulowałyśmy. A Beśka, która uparła się, że pokryje połowę, mruknęła:

– No cóż, to był zwykły niewypał.

Starłam się o tym niewypale mówić na wesoło, kiedy opowiadałyśmy o tym pani Łodzi, ale widzę,

że Lucynka jest bliska zupełnego załamania. Historia wcale, ale to wcale nie jest wesoła. Żal dzieciaka, który jest bardzo miły i już tak się nie drze jak pierwszego dnia. A jednocześnie przecież wkrótce wraca ojciec Lucynki i co wtedy będzie? Lucynka twierdzi, że nie może go stawiać w sytuacji, w której on miałby decydować o oddaniu dzieciaka do jakiegoś zakładu, bo też byłoby to dla niego ciężkie przeżycie. Bo

on w ogóle jest bardzo wrażliwy. Tak, on jest na pewno nie tylko bardzo przystojny, ale i uczuciowy.

– To co panienki zamierzacie zrobić z tym dzieckiem? – pyta tymczasem rzeczowo pani Lodzia – bo przecież nie sposób tak je tu trzymać w mieszkaniu, żeby nawet na spacer nie wyszło i powietrza nie łyknęło. Balkon to nie ogród. Wózek by się jakiś przydał, żeby bodaj na dwie godziny z domu wyjechać.

– Jaki wózek? – jęczy zniecierpliwiona Lucynka. – Przecież nie możemy myśleć o wózku, tylko musimy się zająć odszukaniem ojca tego biedactwa.

– Oj, że biedactwa, to biedactwa – wzdycha pani Lodzia i dodaje ze smutkiem – żeby nie to, że muszę od czasu do czasu pomagać mojej córce i jej dzieciaki poniańczyć, tobym sobie sama toto do domu wzięta i chowała jak swoje. Taki miłuśki. No, proszę tylko popatrzeć.

Dają znak pani Lodzi, żeby nic już więcej nie mówiła i przypominam, że łąda chwila w telewizji będzie sprawozdanie sportowe z Czechosłowacji.

– Nasz pan redaktor! – woła wobec tego w radosnym uniesieniu pani Lodzia, a Lucynka włącza telewizor. Podrzutek dostanie zaraz coś do jedzenia i położy się go spać.

Tato był wczoraj fantastyczny. Kiedy dramatycznie i w uniesieniu wołał: gol! gol! – a nasi gola strzelili rzeczywiście – czułam się taka szczęśliwa, że miał nareszcie okazję pokazania, jakim jest świetnym sprawozdawcą. Był wprost porywający, mobilizował widzów i wciągał w rozgrywkę na boisku. Jedna z kamer pokazała go przez chwilę, kiedy rozmawiał z kapitanem naszej drużyny i widziałam, że czuje się świetnie. Pani Lodzia, zamiast pójść do domu, została i też patrzyła razem z nami, bo i Beśka oczywiście nie chciała zrezygnować z okazji oglądania meczu. Podejrzewam, że się trochę podkochuje w moim tacie, ale podobno dziewczyny w jej wieku często mają skłonność do starszych panów. Ja w każdym razie nie mam.

W rezultacie wieczór upłynął pogodnie i gotowa byłam uwierzyć, że w końcu wszystko jakoś dobrze się skończy. Nie wiem jeszcze jak, ale mam nadzieję, że przecież znajdzie się jakieś rozwiązanie. Teraz Beśka leci do domu, pani Lodzia też wraca do siebie, a ja wypijam szklanke

zimnego mleka z lodówki i kładę się spać. Nie chcę już dziś o niczym myśleć.

Mama trochę mi nagadała za to, że się zasiedziałam u Lucynki, że latam całymi dniami, nie wiadomo gdzie i że mnie właściwie wcale nie ma w domu. Ale ja na to, że jeśli u nas nie ma telewizora, to miałam przecież okazję obejrzeć mecz u niej. A poza tym, że nie mogłam odmówić Lucynce, kiedy mnie prosiła, żebym z nią posłuchała, jak cudownym sprawozdawcą jest jej ojciec. To mamę przekonało, bo ona sama jest wielbicielką Prandoty. „Taki dystyngowany i przystojny” – mawia o nim. Ach, a ja chwilami żałuję, że mam dopiero osiemnaście lat. Dla okazania skruchy i ułagodzenia mamy zmyłam naczynia po kolacji, a potem umyłam głowę i zrobiłam małą przepierkę. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że jutro jest czwarty i że mamy spotkać się – prawie cała klasa – na lodach, w Łazienkach. Czy Lucynka o tym pamięta? Czy będzie mogła przyjść? Ta ma los z tym podrzutkiem! Ale nie zadzwonię teraz, bo już pewnie śpi.

Spałam okropnie długo, i pewnie spałabym do samego południa, gdyby mnie nie obudził płacz małego. Biedactwo! Już był najwyższy czas, żeby mu przygotować butelkę. Swoją drogą – tak sobie pomyślałam – jak ta Iwona mogła zostawić dzieciaka! Byle tylko nie wiedzieć, co się z nim dalej dzieje! Więc ja bym tak nie potrafiła. Może jestem sentymentalna idiotka? Nie wiem. W każdym razie odrabiam za nią to, co do niej należało. Głupio, nie?

Wyrzałam przez okno i z niejaką przyjemnością zauważyłam, że się zachmurza. To znaczy, że wyprawa do Łazienek na lody może być nieaktualna i nie będzie mi żal, że nie pójdę. Nie jest to znów takie wielkie wyrzeczenie i nie mam powodu uważać, że jestem szczególnie szlachetna. Bardziej żałowałabym jakiegoś dobrego koncertu w Pomarańczami. Albo gdyby na przykład miał to być wernisaż w Zachęcie, albo w innej galerii. Tata ma przyjaciół u plastyków i dostajemy zaproszenia. Lubię wtedy ten nastrój przed otwarciem wystawy. Jest to zawsze dla mnie chwila jakiegoś przyjemnego niepokoju, związanego z oczekiwaniem i ciekawością. Czy zobaczę tam coś, co mi się tak spodoba, że będę chciała to zobaczyć jeszcze raz.

Ale chwilowo wernisaze też nie dla mnie – co zrobić wtedy z małym? Mam jednak nadzieję, że los mi to wynagrodzi. Snuję na ten temat najbardziej tandetne, kiczowate i okropnie w złym guście marzenia, że na przykład pewnego dnia obudzę się rano w cudownie urządzonej, obszernym pokoju, w wielkim, wygodnym łóżku zasłanym pościelą niebieską jak niebo, ozdobioną falbanami z białego haftu. A ja będę miała jedwabną koszulę nocną, bo nie lubię piżam. Przez firanki będą przedzierały się promienie słońca. To mnie zachęci, aby wyjrzeć przez okno i spojrzeć na świat. Zaś za oknami będzie widać błękit nieba, błękit morza i gdzieś tam kołyszące się na wietrze pióropusze palm. Będzie to, być może, widok Cannes albo Rivieri, albo Miami. Wtem ktoś zapuka do drzwi...

I rzeczywiście w tejsze samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Była to nasza doręczycielka, która nie lubi, żeby mówić, że jest listonoszką. Przyniosła polecony list do ojca, więc pokwitowałam i dałam jej dziesięć złotych, bo akurat tyle miałam pod ręką. Polecony list do ojca... Chyba będzie mógł poczekać do jego powrotu. Zresztą, jak tata zadzwoni, to mu powiem, pewnie każe otworzyć i przeczytać, bo może być coś pilnego. Na kopercie nie było nadawcy, więc nawet nie mogę wiedzieć, od kogo... Mniejsza o to. Teraz śniadanie – dla mnie i dla małego. Swoją drogą już się jakoś nauczyłam przewijać go i szykować mu butelkę. Butelka jest wyparzona, smoczek jest również wyparzony i teraz Adaś już ciągnie z butli swoje śniadanie, posapując przy tym pracowicie...

Tak, ale to jest zaledwie drobna część tych zajęć, które dziś na mnie czekają... Pomijam upranie szmatek, które są pieluszkami, pomijam przepierkę śpioszków i koszulek, ale są jeszcze zakupy, no i, co najważniejsze, jakieś posunięcie naprzód sprawy tego biednego dzieciaka. Co prawda pani Lodzia, reprezentując zdrowy, chłodny rozsądek, zaczyna się skłaniać ku idei oddania małego do Domu Dziecka, gdzie, jak powiada, niczego mu nie będzie brakować. Wiem będzie nakarmiony i czysto ubrany. Niczego mu nie będzie brakowało – jak mówi pani Lodzia. A może będzie, kiedy stojąc w łóżeczku będzie patrzył na różne panie, odwiedzające dzieci w tej sali. Dzieci wołają „mamo” i wyciągają ręce na powitanie. A on nie będzie miał do kogo ich wyciągnąć i słowo „mama” nie będzie istniało w jego

dziecinnym repertuarze. Czy odwiedzałabym go wtedy? Nie wiem. Nie wiem, czy miałabym odwagę przychodzić i odchodzić. A może, kiedy będzie starszy, zaprosimy go do naszego domu na święta. Żeby się ogrzał w rodzinnym cieple, z którego potem wyciągnie się go, aby odwieźć z powrotem do jego właściwego domu – Domu Dziecka; gdzie będzie pewnie czysto i dadzą mu jeść. A przedtem oczywiście powinnam zawiadomić milicję, że podrzucono nam dzieciaka. Czyj to dzieciak? Dlaczego właśnie tu go podrzucono? Kim jest matka?

Ciągle myślę o tym, ciągle to wałkuję w kółko i jest mi okropnie ciężko. Jak szukać tych rodziców. Bez troskiej, głupiej Iwony i tego jakiegoś faceta, którego ona nazywa tak śmiesznie Winniczkiem. A może właśnie ten cały Winniczek byłby dobrym ojcem? Tylko jak go odnaleźć?

Besia już nawet zastanawiała się, czyby nie dać ogłoszenia w gazecie. Bo ja wiem? Może to i dobra myśl. Ale przy opłacaniu ogłoszenia czasem żądają dowodu osobistego. I wtedy oczywiście zaraz z działu ogłoszeń pójdzie błyskawicznie wiadomość do redakcji, że „ta mała, wiecie, ta mała Prandotówna, córka tego dziennikarza, szuka faceta, z którym się zaplatała w jakąś historię. Wygląda na to, że chodzi o dzieciaka, ładna historia!”

Takie szeptki dotarłyby, być może, do taty, a on by cierpiał, biedaczysko. Ludzie potrafią być okrutni, kiedy mogą się z kogoś ponabijać.

Bo gdyby to rzeczywiście było moje własne dziecko, byłoby to zupełnie co innego. Ja sama potrafiłabym je wychować. I nikogo nie miałoby to prawa obchodzić. Ale to jest dziecko cudze. Oj, ta moja dorosłość, okropnie się zaczęła. Chyba to za dużo na jedną niedużą maturzystkę, co?

Trrr – telefon. No, Beśka, co u ciebie? Skąd dzwonicz? U mnie, jak wiesz, wciąż nic, prócz przedwczesnego macierzyństwa. Do Łazienek? Przyjść? A skądże! Gdybyś była coś warta, tobyś teraz zaraz przyleciała, bo ja muszę pognać do kasy w radio i zgnać trochę forsy, bo już mi się kończy. Co chcesz? Utrzymanie rodziny musi kosztować. Przyjdź możliwie szybko, ja się ubiorę przez ten czas. Ciao!

Ach, nie chce mi się nawet już starannie ubierać. Daję słowo, nie szmaty mi w głowie. Ale swoją drogą, muszę wyglądać jak człowiek.

Powinam też wpaść i do redakcji, może mają jeszcze jakieś wiadomości od ojca. Co włożę? Zaraz się zastanowię, tylko przedtem muszę zaściąć tapczan. Ten w pokoju taty, który teraz jest nakryty prześcieradłem, bo tam w dzień kładę małego, wygląda okropnie. Takie jakieś obrzydliwe rozgrzebane bety. Trzeba by pomyśleć o jakimś łóżeczku. Ale przecież jeśli ten jego ojciec stąd go zabierze, to po co łóżeczko?

Włożę różową sukienkę w czarne serduszka Zupełnie nieźle w niej wyglądam. Tak interesująco. Masz ci los, ktoś się znów dobija do drzwi. Ja się zabiję!

Zapinając w biegu sukienkę, lecę do drzwi i już nie pytając, kto się dodzwania, otwieram je na ścieżaj. A za drzwiami stoi Daniel. We własnej osobie.

Po prostu postanowiłem wpaść do Lucynki, żeby zobaczyć, co się z nią dzieje. Podobno nikt jej ostatnio nie widuje. Co prawda mama twierdzi, że widziała ją kilka dni temu na lotnisku. To znaczy nie na lotnisku, tylko przed lotniskiem, jak wsiadała do taksówki, która odjeżdżała z lotniska. Ale to nie ma znaczenia. Zresztą mama ma krótki wzrok i na pewno tylko jej się przywidziało. Nieważne zresztą, co i kogo mama widziała. A ja wpadłem do Lucynki bez uprzedniego telefonowania, czego zresztą ona nie lubi. Ja wiem, to jest nieeleganckie i tak się nie robi. Jestem uczulony na przestrzeganie zasad dobrego wychowania. Ale tym razem nie zważałem na nic i zadzwoniłem do jej mieszkania. Wiem, że jej ojca nie ma w Warszawie, więc w każdym razie jemu nie mogłem się narazić. A Lucynka otworzyła mi i wydało mi się, że jest bardzo niezadowolona, że mnie widzi. Wyglądała bardzo ładnie, jak zawsze, a w rękę trzymała grzebień, widocznie przeszkodziłem jej w czesaniu. Kiedy się Lucynce lepiej przyjrzałem, wydało mi się, że zmizerniała.

– Hej! – powiedziałem możliwie wesoło i beczelnie, zupełnie jakbym był tu jak najbardziej oczekiwanym gościem. Ale nie byłem. Lucynka mruknęła ponuro: hej! i nie prosząc, abym wszedł do mieszkania, zapytała, czy coś się stało.

Odpowiedziałem cholernie sentymentalnie, że stało się to, że tęsknię za nią, ale przyjęła to z zimnym cynizmem.

– Bardzo ci dziękuję za tę wzruszającą informację. Mam nadzieję, że ograniczysz się do tego wyznania, bo niestety nie mam czasu na żadne rozmowy. Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę śpieszę się. Mam masę ważnych spraw do załatwienia.

– Może mógłbym ci się na coś przydać? – zaofiarowałem się pokornie, nie zważając na jej zły humor.

– Nie, dziękuję. Doceniam twoje dobre chęci, ale tym razem nie skorzystam.

Kiedy to mówiła, stojąc na progu mieszkania i trzymając mnie w sieni, z głębi dobiegło miauczenie kota. To dziwne, ale czasem miauczenie kocie jest bardzo podobne do płaczu dziecka.

Obejrzała się, jakby ją to miauczenie zdenerwowało, i powiedziała „do widzenia, Daniel”, próbując zamknąć mi drzwi przed nosem.

Ale ja przytrzymałem klamkę i nadając swemu głosowi barwę tkliwej namiętności – szepnąłem:

– Czy myślisz czasem o mnie?

– Oj, Daniel – jęknęła żałośnie. – Błagam cię, nie mam teraz ani sił, ani czasu na takie wygłupy.

– Uczucie nie jest wygłupem! – krzyknąłem dramatycznie. Echo poniosło mój głos przez korytarz i z sąsiedniego mieszkania wyjrzała z zaciekawieniem jakaś pani z włosami nawiniętymi na lokówki.

– Widzisz, czego narobiłeś? – rozżaliła się Lucynka. – Błagam, daj mi teraz spokój. Nie gniewaj się.

– Nie potrafiłbym gniewać się na ciebie. Lucynka wreszcie uśmiechnęła się blado.

– Jesteś miły i naprawdę wiem, że z ciebie dobry chłopak i dzięki za dobre chęci, ale... no, tak się składa, że muszę sama uporządkować pewne sprawy. Pozdrów mamę.

– W każdym razie zawsze na nas możesz liczyć – zapewniłem ją. I smutny zszedłem na dół. Przed domem stał mój ukochany samochód, ale cieszyłbym się nim naprawdę, gdybym mógł zabrać nim tę dziewczynę. Przecież artysta musi kogoś kochać... A ona mi się najlepiej podoba i w ogóle odpowiada mi. Zasiadłszy za kierownicą, podniosłem głowę i spojrzałem na balkon na drugim piętrze w nadziei, że może zobaczę na nim Lucynkę. Ale jej tam nie było, natomiast

suszyły się rozwieszane na sznurku jakieś ścierki czy inne szmaty. Ogarnął mnie bolesny niesmak...

Daniel, jak to Daniel. Na szczęście spławiłam go dość szybko i pognałam najpierw do radia, do kasy, gdzie czekały na mnie pieniądze. To mi dodało trochę ducha. Wracając do domu wstąpiłam do sklepu z dziecinnymi rzeczami i kupiłam drugą butelkę i jeszcze dwa smoczki, bo nie mam siły ciągle je wyparzać, i kupiłam śliczne białe śpioszki w koniczynki, i jeszcze śliniaczek. Taki plastikowy, żeby można było umyć. To wszystko było takie śliczne, takie śmiesznie malutkie, że kupiłabym jeszcze całą masę rzeczy, gdyby nie to, że jednak muszę się trochę liczyć z groszem. Bo niech mi zabraknie, zanim tata wróci, to co będzie. Trzeba jeszcze zapłacić za telefon i za elektryczność i gaz. Muszę dać chociaż trochę pieniędzy pani Łodzi, bo przecież ma też swoje wydatki i po to u nas pracuje, żeby zarobić trochę groszy. I jeszcze kupiłam pęczek marchwi. To na utarcie. Nienawidzę ucierania marchewki, ale pani Łodzianka uważa, że mały jest bardzo bledziutki i dobrze by było, gdyby pił soczek z marchewki. Niektóre nasze dziewczyny z klasy myślałyby, że zgłupiałam, ale ja uważam, że... Nie, ja nic nie uważam, tylko nie mogę patrzeć, jak to małe biedactwo jest coraz bledsze, jak ma sińce wokół oczu i takie chudziutkie rączki. Nie wiem, co będzie dalej, ale...

Żadne „ale”, zresztą – myj marchewkę i bierz się do roboty. Pani Łodzianka mówi, że brak mu także spacerów, że to siedzenie w mieszkaniu nie idzie dziecku na zdrowie. Byłaby gotowa zabrać je do parku albo nawet tak, po prostu posiedzieć z małym na ławce, na skwerku, żeby był trochę na słońcu, ale to jest bardzo trudne bez wózka. Skąd wziąć wózek?

– Niech się Lucynka nie martwi, jak się znajdzie wreszcie ten ojciec, to już on się wózkiem zajmie – powiedziała mi na pociechę. I znów zaczęłyśmy rozważać sprawę ogłoszenia. Ale jak powinno brzmieć? Może tak: „Winniczku, zgłoś się po Adasia. Napisz do Biura Ogłoszeń...” i tu należałoby podać numer, pod który ten Winniczek miałby napisać.

– To może zrobimy tak – zgodziłam się. Przepiszę tekst ogłoszenia, a pani Łodzianka jutro rano pójdzie i opłaci. Zobaczymy, może Winniczek

się znajdzie? A podrzutek w nowych śpioszkach wygląda ślicznie. I sok z marchewki wypić! Przyzwyczaiałam się do niego i chociaż czarna rozpacz mnie ogarnia, kiedy zaczyna ryczeć, to jednak wzrusza mnie, kiedy uśmiecha się do mnie. Taka mała, bezdomna psina...

Ile to już dni jest u nas? – Piąty dzień! A co dalej? Co dalej? Może z ogłoszenia coś wyniknie? W każdym razie tylko spokój może mnie uratować, jak mówi tata. Ale gdzie tam spokój, kiedy po południu miałam gości. Okropnie mili, najsympatyczniejsi pod słońcem – pani Kasia i pan Karol; od taty z Pragi przywieźli mi list, sandałki (założę kolekcję sandałków) i cud bluzkę sportową. W krateczkę – ale cud! Podrzutek, jak gdyby nigdy nic, spał w drugim pokoju i nie było go słychać, poczęstowałam gości kawą i słonymi paluszkami, a także postawiłam miskę truskawek i życie towarzyskie toczyło się na najwyższym poziomie. Byli w Pradze, ale nagrali tylko wywiady i wrócili. A tata szykuje się jechać dalej.

– Świetnie się czuje, wygląda jak młody chłopak i tylko o ciebie się martwi – powiedziała pani Kasia – ale jakby coś ci było trzeba, wal, dziewczyno, do nas jak w dym.

Potem jeszcze opowiadali takie różne anegdotki o sportowcach i sprawozdawcach, kiedy nagle wśród tej radosnej wymiany zdań zabrzmiał żałosny płacz w sąsiednim pokoju. Goście najpierw taktownie udawali, że nie słyszą, ale w chwilę później, kiedy podrzutek wystąpił w swoim najpiękniejszym repertuarze – przeprosiłam ich i dodałam od niechcienia, że jest to dziecko sąsiadki, która zostawiła je na przechowaniu. Jednocześnie szybko przewinęłam brzdąca i na szczęście przestał ryczeć.

– Jesteś, Lucynko, cudownym materiałem na mamę – zauważyła pani Kasia. – A może wybierasz się za mąż?

Zachichotałam niefrasobliwie, bo nie lubię takich rozmów i starałam się zmienić temat – że marzę o podróży do Pragi, że tato mi to obiecał i w ogóle chciałabym trochę zwiedzić świat...

Na szczęście na tym wyczerpaliśmy tematy do rozmowy i mili, poczciwi goście – po wymuszeniu ode mnie przyrzeczenia, że w razie jakichkolwiek kłopotów zwrócę się do nich – zostawili mnie sam na sam z Adasiem, który znów się obudził, a także z moimi czarnymi

myślami, bo w czasie tych towarzyskich rozmówek uprzytomniłam sobie, że przecież za miesiąc jest egzamin!

Święty Boże! Co to będzie? Poczułam, że mam pustkę w głowie, że nic nie pamiętam z materiału, który powinnam mieć opanowany, że nie jestem zdolna odróżnić baroku od rokoka, że mylą mi się nazwiska wszystkich flamandów, że w ogóle jestem kretynka i że samo usiłowanie zdawania jest idiotyzmem, gdyż i tak nie zdam. Konserwatorka tkanin muzealnych? Zegnaj, nadziejo! Najwyżej mogę się zatrudnić w takim zakładzie, gdzie przyjmują krawaty do renowacji.

Gotowałam jarzynowy rosółek i łyzy kapuły mi do rondelka tak obficie, że pewnie nie należało już go więcej solić...

Całe szczęście, że przyszła wkrótce pani Lodzia i w ogóle wyrzuciła mnie z kuchni, pochwaliła za czysto uprane pieluszki, kazała zjeść zsiadłe mleko i jajecznicę ze szczypiorkiem, co podziałało kojąco na moje biedne nerwy. Kazała mi też zadzwonić do kogoś z kolegów lub koleżanek i umówić się do kina...

Kazałam jej iść do kina, bo już żal mi tej dziewczyny, naprawdę. Przecież to powinien załatwić ktoś dorosły i doświadczony. Chciałabym, żeby już pan Prandota wrócił nareszcie...

Co będzie, kiedy wróci tata? Sama już nie wiem, czy pragnąć jego powrotu, czy też liczyć na jakiś niezwykły przypadek, który pomoże mi wcześniej załatwić sprawę małego. Ale co to znaczy „załatwić”? Mój Boże, żeby chociaż Witek był w domu. On co prawda jest taki okropnie nieżyციowy... Nic go nie obchodzi oprócz jego nauki. A to badania, a to odkrycia, a to jakieś niezwykłe materiały naukowe, które istnieją w którejś tam bibliotece na świecie i które chciałby dostać do ręki. Marzy o podróży do środka ziemi... marzy o odkryciu prawdy o Atlantydzie... marzy o zgłębieniu wód oceanu tam, gdzie przypuszczalnie miała znajdować się Atlantyda. Zupełnie zwariował, chociaż przyznaję, że to jest pasjonujące. Tylko że on poza tym nic nie wie o życiu... I czy on w ogóle interesuje się czymkolwiek? Obiad to obiad, wszystko jedno, co mu się poda. Rozrywki? Czasem jakiś film. Trochę muzyki, ale tylko Bachy i Mozarty. Jeśli zaś chodzi o dziewczyny, to jakby ich nie widział. One za to widzą go aż za nadto

dobrze, bo jest właściwie atrakcyjny. Wysoki, wyższy od ojca, włosy ma jasne, oczy siwe, brwi czarne i twarz szczupłą. Jest naprawdę zupełnie przystojny. I co? Ariadna, ta, która ma ojca reżysera, wyciągała go przecież na prywatki, na wycieczki, odprowadzała go do domu po wykładach, siedziała u nas do późnej nocy, wpatrując się w niego, oświadczała mu się co dwa dni... Jej mama też go lubiła i tak go sympatycznie traktowała, a on nic. Kiedy go zapytałam, dlaczego się nie ożeni z taką ładną dziewczyną, to powiedział, że jest nudna. Nudna i już. A poza tym w ogóle mu się nie podoba. To było w przeszłym roku. A teraz Witek jest w Meksyku, ze swoim profesorem i kolegami. Naukowa wyprawa. Powinien niedługo wrócić i byłabym szczęśliwa, żeby już tu był. Może by chociaż raz powiedział coś mądrego, coś życiowego. Na litość boską, niech mi ktoś pomoże, bo naprawdę jest mi ciężko! Może któryś z kolegów ojca? Ale który? Boję się, że będą mieli do sprawy małego inny stosunek niż ja. Pewnie powiedzą, że jest wiele samotnych dzieci, które nie mają domu. Albo jeśli go mają, to też jest nieraz tak, jakby go nie miały.

Ale życie toczy się dalej, czas posuwa się dla jednych szybciej, dla innych wolniej i w końcu przecież coś musi się stać. No, niechże się stanie! Bo nie wiem już, co zrobić! Albo raczej wiem. Skorzystam z tego, że jest pani Lodzia i pomogę jej zrobić małą przepierkę. Podobno nic tak nie koi nerwów jak przepierka! Zabieramy się do roboty, pani Lodziu.

Masz ci los! Kiedy jestem pełna tak szczytnego zapału do pracy – znów przeszkadza mi telefon. Pewnie jakieś ple–ple. Ale biorę słuchawkę, a to tata! Cudownie, że dzwonicz. Jasne, że z Pragi to jeszcze nie taki wielki wydatek, ale z Zurychu lepiej nie dzwoń, bo to już byłaby duża forsa. Lepiej za to coś kupić. I na jedzenie nie żałuj. Co masz kupić dla mnie? Bo ja wiem? Coś ładnego, ale nie szastaj groszem. Kup sobie dobre okulary przeciwsłoneczne! Koniecznie! I co? Listy? Coś tam jest dla ciebie, poczekaj, zaraz ci powiem – jest kartka od Witka, ale nie podaje dokładnie, kiedy wraca. Czuje się dobrze. Jest druga od jakiejś Ewy. Od której? Żebym to ja wiedziała! Zaproszenie na zawody konne, na lipiec. Zabierzesz mnie, prawda? Jest jeszcze rachunek za telefon. Zapłacę, tak. Acha i jeszcze jakiś list

polecony. Otworzyć? Nie, nie wiem, co to za list, bez firmy na kopercie. Zaraz otworzę...

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam otwierać ten polecony list, który przyszedł parę dni temu. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że koperta jest brudna i wymiętoszona. Nie ma co, ładnie się piszę do interesantów. Pewnie jakiś urząd podatkowy albo coś takiego... Zarzucili, potem odnaleźli gdzieś pod biurkiem i stąd taki stłamszony. Już, już, tato, otwieram kopertę...

Przebiegłam szybko wzrokiem treść tego pisma, a właściwie wypełnionego urzędowego druku, przeczytałam treść tej niewielkiej kartki i w pierwszej chwili nie byłam w stanie powiedzieć ani słowa. Niemniej zrozumiałam, że za nic na świecie nie mogę tego głośno tacie odczytać. Za nic na świecie. Nie wolno go niepokoić, teraz, kiedy otwiera się przed nim taka wspaniała szansa, kiedy ma fart.

To jest na pewno jakaś głupia biurowa pomyłka, Więc zebrałam się w sobie i nieporadnie zaczęłam łąć, że to tylko urząd telefoniczny przysłała nie wiadomo po co odpis jakiegoś starego rachunku, już dawno zapłaconego.

– Ale zaznaczają, że jest zapłacony? – upewnił się tata.

– Tak, tak, wszystko w porządku. Tylko przepraszają...

– Świetnie. Ale ja już będę kończył! Baw się dobrze, córeczko, odpoczywaj, chodź na spacer, i mam nadzieję, że będę już w domu w czasie twojego egzaminu. Tylko się nie bój! Całuję, kochanie! Pa!

– Pa, tato! Ciao! – szepnęłam i odłożyłam słuchawkę.

W tejże chwili weszła do pokoju pani Lodzia.

– No i co słyhać u naszego pana? – spytała, jak zawsze pełna życzliwości i troski. – Czy aby dobrze się czuje?

Skinęłam w milczeniu głową, bo nie byłam zdolna nie tylko nic powiedzieć, ale i zebrać myśli. W rękę trzymałam ten idiotyczny list polecony i przez chwilę myślałam jeszcze, że to może jakiś głupi żart. Ale to nie był żart. To była prawda i życie samo...

– Jezu! – jęknęła pani Lodzia. – Co się Lucynce stało? Niedobrze czy co? Pewnie struła się lodami albo czym... taka błada. Słabo Lucynce?

Ale ja zdołałam tylko przecząco poruszyć głową i poprosiłam o szklankę wody.

– Tak dziś było gorąco – zdołałam wyjąkać – najlepiej zaraz się położyć spać.

– Pewnie, że najlepiej – zgodziła się pani Lodzia i zapewniła mnie, że podrzutek jest już nakarmiony, wykapany i śpi spokojnie w tym swoim łóżeczku z zestawionych foteli. – Biedactwo, taki milutki! Taki ładny! – rozczuliła się i oczy jej zwilgotniały.

No i tylko tego było trzeba, żebym razem z nią rozbeczała się. A ja musiałam być silna, rozsądna, rozważna i dorosła. Jejku! Jak niedobrze, jak bardzo niedobrze być dorosłą. W każdym razie, jeśli chodzi o mnie, to uważam, że dawka dorosłości jest w pewnym sensie za mocna! No i co ja mam zrobić? A swoją drogą, jak taki świstek papieru może wytrącić człowieka z równowagi. A może to nieprawda, co tam jest napisane? A jeśli to tylko głupi żart? Nie chcę już o niczym myśleć. Muszę to przespać, muszę rozsądnie i na zimno, spokojnie przyjąć do wiadomości treść kartki przysłanej w brudnej, zatłuszczonej kopercie. I kto wysłał ten list? A teraz spać, zasnąć i nie myśleć!...

Lucynko, kochanie, wysłałam tę kartkę z lotniska w Pradze, a właściwie pod Pragą. Cieszę się jak młody chłopak i żałuję, że ciebie nie ma ze mną. Wracam za jakiś tydzień! Powiesz mi potem, jak wypadło! Mam też nadzieję, że w Zurychu spotkam się z Myszka. Całuję cię mocno, Witold.

Drogi Witoldzie – dostałam telegram o twoim przybyciu do Zurychu. Ciesz się, że nareszcie znajdziesz należną ci pozycję w tym dziennikarstwie sportowym, które wydaje mi się niezbyt poważnym zajęciem. Z żalem jednak muszę zrezygnować z widzenia się z tobą, gdyż w tym czasie moi przyjaciele zabierają mnie samochodem na wycieczkę do Włoch. Może zobaczymy się kiedy indziej. Całuję cię, twoja Myszka.

Zajrzała dzisiaj do mnie Gośka i wyciągnęła na kawę do naszej małej kawiarenki, gdzie już byli Alicja i Daniel, i w ogóle cała paczka. Powitali mnie okrzykami:

– Coś ty, Beśka! Do klasztoru idziesz jako Ofelia czy co? Lucynka się wykręca od spotkań i udaje, że nie ma czasu, albo rzeczywiście nie

ma, bo czym innym jest zajęta, ale ty? Gadaj, co się dzieje? Podobno ktoś widział Lucynkę na lotnisku. Czy to prawda, że wyszła tam na powitanie jakiegoś bajecznie bogatego chłopaka, który przyjechał tu, żeby się z nią ożenić? A poza tym co w ogóle słysząc? Urządzimy chyba jeszcze jeden bal czy bodaj małą prywatkę? Warto by coś zorganizować, zanim rozlecimy się – każde w swoją stronę.

Odpowiadałam, jeśli chodzi o Lucynkę, wykrętnie, ni to, ni owo, bo przecież nie mam prawa zdradzać jej prywatnych sekretów. I kiedy słuchałam, jak gadają bez troski i o niczym, to myślałam jednocześnie o tym, jak wielką odpowiedzialność zwałił na tę Bogu ducha winną Lucynkę los czy głupi przypadek. Ale to zawsze tak jest, jeśli chodzi o ludzi uczciwych. Poczują się do odpowiedzialności, nawet kiedy nie jest ona ich obowiązkiem... A może właśnie to jest przejawem człowieczeństwa? Czy potrafię odpowiedzieć na te wszystkie pytania, które sama sobie zadaję?

Tymczasem przy stoliku rozmowa zeszyła na ciuchy i dziewczyny namówiły mnie, żebym się z nimi przeleciała po sklepach, bo podobno jest coś nowego i warto obejrzeć, nawet bez kupowania, tylko tak sobie. Przyszło mi na myśl, że może Lucynka wybrałaby się z nami, dobrze to by jej zrobiło. Pani Lodzia zostałaby z małym, a Lucynka rozerwałaby się trochę. Poszłam więc do automatu i dzwonię. A ona taka jakaś dziwna. Spokojna i miła, ale rozmawia jak dorosła osoba ze smarkatą. Że niestety nie może skorzystać z zaproszenia i że prosi, żebym się tym nie krępowała, żebym się dobrze bawiła. I że się dzisiaj nie zobaczymy, bo zaistniały pewne sprawy rodzinne. Nie, nie, nic strasznego, tylko ona sama musi je załatwić. Pani Lodzia będzie u niej dzisiaj przez cały dzień i w ogóle – dodała już nieco pogodniejszym tonem – masz na dzisiaj, moja Besiu, urlop od zawiąanych spraw. Jak się okazuje, czasem same się rozwiązują.

– Więc znalazłaś Winniczka? – krzyknęłam.

Ale ona odpowiedziała tak jakoś tajemniczo, że owszem, w pewnym sensie wszystko się wyjaśniło, ale będzie mi mogła opowiedzieć o tym dopiero wtedy, kiedy sprawa będzie załatwiona do końca. I że prosi, abym oczywiście nikomu o niczym nie opowiadała, a najlepiej będzie, jak ona sama do mnie zadzwoni.

A ja jestem niespokojna i zmartwiona. Boję się, że stało się coś jeszcze gorszego albo bardziej skomplikowanego, tak że już zupełnie straciłam ochotę na to latanie dla radochy po sklepach i na przymierzanie łańców. Ale dziewczyny mnie zakrzyczyły i nie mogłam się wykręcić, i musiałam z nimi polecieć. Chociaż czułam, że to nie jest w porządku wobec Lucynki. Daję słowo.

Pognaj sobie na radochę, Besiu. Nawet ci nie zazdroszczę, bo zdaje mi się, że chyba już wyrosłam z tego. Może zresztą jeszcze kiedyś będzie mnie to bawić i cieszyć, czy ja wiem? Podobno jest to możliwe, mówią, że każda normalna kobieta pozostaje do końca życia chociaż trochę ciucharą i nie potrafi się tego wyrzec. Ale jeśli chodzi o mnie w tej chwili – to cześć! Żeby nawet sam Dior tarzał się u moich stóp i błagał, żebym zechciała, zupełnie za darmo, wybrać coś dla siebie z jego kolekcji, to daję słowo – też bym nie uległa. Ej, Besiu! Ty jeszcze zupełnie nie wiesz, co to jest życie i jego niektóre niespodziewane przejawy. Mówię ci to.

A czy wiesz, co w tej chwili robię? Pewnie byś nigdy nie zgadła. Otóż odczytuję po raz nie wiem który taki nieduży, urzędowy druczek, przesłany w tym liście poleconym do Witolda Prandoty, i zatytułowany:

„Odpis aktu urodzenia”

Zaś z jego treści wynika, co następuje:

„Adam Gabriel Prandota urodził się dnia 14 lutego 1970 roku, syn Iwony Marczak i Witolda Prandoty”!

Adam, Gabriel Prandota! I co ty na to?

Przyszłam dziś trochę wcześniej na Polną, zakupy jeszcze jakie takie zrobiłam po drodze, zajrzałam na bazar po marchewkę, twarożku wzięłam ćwierć kilo, bo to bardzo zdrowe dla dzieci – a tu Lucynka błada jak płótno, już ubrana do wyjścia, mówi:

– Pani Lodziu, muszę na chwilę wyskoczyć na miasto. Sprawa niezmiernej wagi, błagam, niech pani nie wychodzi, tylko na mnie czeka.

– Albo co? – pytam. – Coś się wyjaśniło? A ona na to:

– Kto wie, kochana pani Lodziu! Być może jeszcze dziś!...

I wybiegła szybko z domu, tylko stukot obcasów na schodach słyszałam. Wyrzałam więc z balkonu, a tu widzę, auto przepiękne przed bramę zajezdża, a Lucynka, jakby nigdy nic, wsiada, z jakimś facetem się wita i ujeżdżają. Oczywiście zaniepokoiłam się trochę – bo chociaż to i rodzina porządna, i pan redaktor taki inteligentny i szlachetny, to jednak złękłam się, czy jaki typek Lucynce w głowie nie zawrócił albo co gorsza, czy to nie jaki porywacz, o czym się ciągle czyta i słyszy... Zostałam więc bardzo zaniepokojona, tyle że uspokoiliłam się trochę, kiedy zrobiłam małą przepierkę dla dziecka, bo to zawsze dobrze mi robi na nerwy...

Jednak nawet taki Daniel może się przydać. Co bym zrobiła bez jego pomocy? A tak, ledwie zadzwoniłam, żeby po mnie podjechał – już był. Co prawda minę miał nieco zawiedzioną, ale nie okazał, jak dalece jest rozczarowany faktem, że nie chodzi mi wcale o rozkoszną wycieczkę z nim, we dwójkę, tylko o to, aby mieć do dyspozycji samochód z szoferem. Wiem, że mi nie będzie robił wyrzutów, bo jest na to zbyt dobrze wychowany, ale nie miałam wątpliwości, że jest zły na mnie. Ja jednak nie miałam innego wyjścia. Sytuacja jest w tej chwili podbramkowa i tylko ja teraz mogę coś załatwić. A w każdym razie usiłuję... Może jakiś chytry adwokat dałby – temu radę – ale nie chcę w to mieszać nikogo, to jest nasza sprawa rodzinna, to jest sprawa, która wiąże się z nazwiskiem naszym – a co najważniejsze, jest to sprawa Adasia. Pięciomiesięcznego dziecka.

Otóż doszłam przede wszystkim do wniosku, że muszę odnaleźć jeśli już nie samą Iwonę Marczak, to w każdym razie muszę dotrzeć do jej rodziny. A ojcem Adasia – jak wynika z przysłanego odpisu metryki – jest Witek. Nie chce mi się w to wierzyć, nie mogę, ale o tym będę myślała później; najpierw, jeśli znam nazwisko matki tego biedactwa, to muszę dotrzeć do niej. Założmy, że odjechała do Stambułu. A może nie na zawsze? A jeśli nie chce wychować małego, to ona jest nieważna. Natomiast jest jeszcze przecież dalsza rodzina – to znaczy na przykład matka Iwony i jej ojciec. Może oni nie wiedzą o istnieniu Adasia? Jacy to są ludzie, czy wiem? A może Iwona zataiła przed nim, że ma dziecko? Takie rzeczy przecież zdarzają się. Sama czytałam o podobnych wypadkach. A nawet widziałam taki film...

A więc nazwisko: Marczak. Zajrzałam co prędzej do książki telefonicznej, gdzie znalazłam bogaty wybór różnego rodzaju państwa Marczaków. Chyba ze sto adresów i numerów. Ale czy mogę dzwonić pod każdy numer po kolei i pytać? I o co pytać? I w tym momencie uprzytomniłam sobie niezaprzeczalną przydatność Daniela z samochodem.

Pojechaliśmy więc do czcigodnego urzędu, który wydał odpis metryki Adasia. Wiem, że załatwianie spraw w różnych instytucjach jest wyczynem gigantycznym i że ci, którzy potrafili czegoś podobnego dokonać, opowiadają potem legendy o podstępach, do jakich musieli się uciekać. Jasne, że nie zawsze tak jest, ale że ja do takich rzeczy jestem pechowa, więc i teraz natrafiłam na okropną osobę. Nadaremnie prosiłam o podanie adresu matki dziecka, legitymując się faktem, że noszę to samo nazwisko, co mały. To się na nic nie zdało. Dopiero kiedy wpadłam na pomysł włączenia do akcji Daniela – wszystko dało się szczęśliwie załatwić.

– Wejdz ze mną do tego piekielnego biura – powiedziałam – i wyszczerzaj zęby do tej tłustej blondyny, która siedzi przy okienku. Udawaj, że nie mówisz po polsku, a ze mną rozmawiaj po angielsku.

– Nie wiem, jak to będzie, bo mój angielski jest bardzo słaby – przyznał się Daniel.

– Nic nie szkodzi – upewniłam go – mów cokolwiek, byle głośno, aby ta blond bestia w okienku słyszała, że się wyrażasz zagranicnie. I nie zbliżaj się zbyt do okienka. Ja sama będę z nią gadać. Możesz wymachiwać i pobrzękiwać kluczykami od samochodu.

– *Yes, lady!* – powiedział na to Daniel. – Ale co ty tu właściwie załatwiasz?

– Gentleman jest dyskretny i o nic nie pyta – pouczyłam go, co przyjął z pokorą. A poza tym w dalszym ciągu naszej zorganizowanej akcji spisywał się bez zarzutu. Bełkotał – *Good morning* – kłaniając się w stronę okienka, po czym kilka razy zawołał – *o yes, yes! little lady, sorry, sorry* – i temu podobne rzeczy.

Ja z kolei tkwiłam przy okienku i udawałam, że tłumaczę jego żądania, przy czym nie omieszkałam dodać, że jest to niezmiernie zamożny Anglik, z arystokratycznej rodziny, który szuka tu swoich

krewnych i dlatego potrzebny mu jest adres Iwony Marczak, matki dziecka, którego metrykę jej okazałam.

– Miał się z nią zenić – dodałam – ale chyba nic z tego nie będzie i właśnie ma zamiar rozejrzeć się za odpowiednią osobą.

Daniel, stojący w pobliżu, spisał się na medal, bo natychmiast po wzmiance matrymonialnej spojrzął na blondynę tak drapieżnie i namiętnie, że nawet zlekłam się, czy złotowłosa urzędowa piękność nie zemdleje z wrażenia. Jednak nie zemdląca, tylko bardzo szybko odnalazła adres, a nawet dwa adresy – ale jeden z nich okazał się nieaktualny. Otrzymałszy zapisaną kartkę – pokazałam ją z daleka Danielowi, a on, kładąc rękę na sercu, skłonił się nisko urzędowej blond osobie.

– No co? Spisałem się jakoś? – spytał, kiedy wyszliśmy z urzędu.

– Jesteś najfajniejszy kumpel pod słońcem – nagrodziłam go komplementem. – A teraz, słońeczko ty moje, wsiadamy do twojego pięknego krążownika szos i zapychamy na ulicę Żąbkowską.

– Może przedtem wstąpilibyśmy gdzieś na kawę? – zaproponowałem. Ale Lucynka była bezlitosna.

– Później – mruknęła ponuro – teraz nie ma na to czasu.

No i pomknęliśmy na ulicę Żąbkowską. A ja obawiam się, czy Lucynka nie zaplątała się w jakąś okropną sprawę, kto wie nawet, czy nie kryminalną? Mam tylko nadzieję, że nie wynikną z tej całej imprezy jakieś moje zobowiązania matrymonialne wobec blondyny.

Dom na Żąbkowskiej, przy którym zatrzymaliśmy się, mógłby właściwie być dekoracją do jakiegoś horroru. W bramie czarnej i brudnej jak dno piekła odnaleźliśmy w spisie lokatorów numer mieszkania państwa Marczaków. Na prawo z podwórza, na parterze. Mimo pukania do drzwi, nikt się tam jednak nie odzywał, dopiero jakaś dziewczynka, która przyglądała się nam, powiedziała, że pani Marczak jest w tej chwili na bazarze. Budka numer trzydzieści pięć.

– A czy nie wiesz, gdzie jest Iwona? – zapytała Lucynka, ale dziewczynka pokręciła przecząco głową, po czym dodała, że tylko pani Marczak będzie wiedziała, co się dzieje z Iwoną.

– Iwona wyjechała – dodała po chwili.

– Jedziemy szukać pani Marczak – zdecydowała Lucynka. Ruszyliśmy więc, a przed wejściem na bazar kazała mi zostać w wozie.

Nie mogłem jednak pozwolić, aby sama jedna wchodziła się w ten krzyżący, kolorowy tłum, przez który przewijały się postaci tak malownicze i o tak charakterystycznej powierzchowności, że można by przypuszczać, że nakręca się tu najczarniejszy film gangsterski. Zacząłem więc chyłkiem przebijać się przez to zbiorowisko, bo obawiałem się, że Lucynka mnie dostrzeże i całkiem niesłusznie posądzi o szpiegowanie jej. A ja przecież tylko ze względu na jej bezpieczeństwo... Niełatwo jednak było posuwać się w tym ścisku. Kiedy przepychałem się, obdarzano mnie niepocholebnyimi epitetami lub też, co chyba było jeszcze gorsze, poniekąd malowniczo wyglądający faceci przytrzymywali mnie za rękawy, szepcząc ochryplym głosem – kupuję, kupuję, sprzedaję miękkie, twarde, zielone, złoto, brylanty, prawdziwe dzinsy...

Przyznam, że czułem się dość nieswojo, podczas kiedy Lucynka, na nic nie zważając, puła dzielnie naprzód, wyrwała się ze szpon handlarzy i barwnych przedstawicielek żeńskiego marginesu. Aż wreszcie zatrzymała się, a ja również przystanąłem w pewnym oddaleniu, gotów w razie czego do niesienia jej pomocy, chociaż mówiąc prawdę nie miałem zbyt jasnego pojęcia, w jaki sposób miałbym to zrobić. Faceci, którzy tu reprezentowali różne branże pokątnego handlu, niewątpliwie posiadali znaczną przewagę fizyczną nade mną. Nie mówiąc już o tym, że na pewno nie byłaby to gentlemańska walka jeden przeciw jednemu. No i zapewne mieli jakieś skromne, ale poręczne, uzbrojenie. Nie jestem znów takim okropnym tchórzem, ale przyznam, że nie czułem się szczególnie dobrze i swobodnie. Co to, to nie.

– Futra kupuję, skórzane płaszcze, marynarki – szeptał mi teraz namiętnie do ucha nieogolony brunet o pokaźnym gabarycie, podczas kiedy ja musiałem w tej chwili tu tkwić, tu za budką z makatkami, na których były jelenie i łabędzie wśród nenufarów, podobnych do główek wyrosniętej kapusty. Kiedy nie odpowiadałem na jego handlowe propozycje, brunet zaczął na mnie spoglądać podejrziwie i nieprzychylnie.

– A szanowny pan czego tu tak wypatruje – spytał więc jeszcze bardziej zachrypniętym głosem, po czym dodał pogodnie: – Zjeżdżaj, szczeniaku, bo się na tobie poznam i co będzie?

Nie wiedziałem, co miał na myśli, ale na pewno nie obiecywało to niczego dobrego, więc licząc tylko na uczciwość, męską solidarność i liryczne skłonności braci Polaków – szepnąłem konspiracyjnie, że tkwią tu, bo lipuję na moją dziewczynę. Byłem bardzo dumny, że akurat przyszło mi na myśl słowo „lipuję”, gdyż wielokrotnie spotykałem je w kryminałach, tam bohaterzy używali powyższego czasownika dość często i jak mi się wydało w sposób właściwy. Być może było to słowo, którego należało użyć w tym wypadku lub też mój rozmówca był tak odczytany w polskiej literaturze kryminalnej, bo ze zrozumieniem skinął głową i z odcieniem męskiej solidarności poinformował się, „czy aby chociaż ta lalka warta jest, abyś pan za nią ganiał?” Zapewniłem, że tak, więc tylko westchnął współczująco i zwrócił się teraz do jakiejś paniusi, która poszukiwała skórzanego płaszcza.

Ja tymczasem wychyliłem się nieco spoza makatek, aby zobaczyć, co się dzieje z Lucynka.

Jednak bystrość umysłu nie jest moją najmocniejszą stroną. Zostawiwszy Daniela w wozie, brnęłam przez tłum w poszukiwaniu pani Marczak i budki numer trzydzieści pięć. Przepychając się, marzyłam sobie, że będzie to na przykład schludna budka z apetycznym nabiątem, a w budce szalenie sympatyczna sprzedawczyni, pani w średnim wieku, odziana w biały fartuch i twarzowy czepeczek. Jeśli bowiem Iwona była daleka od ideału pełnej słodczy mateczki, to miałam nadzieję, że może babcia będzie bliższa literackiemu wyobrażeniu o dobrej babuni, że będzie to miła babunia, kochająca wnuczka, którego jej lekkomyślna córka wyrzekła się. Snułam w ten sposób mimo woli wątek niedrogiego, kiczowatego filmu, popatrując na numerację bazarowych budek i straganów. Oto budka numer dwadzieścia siedem – koszyki i łyżki drewniane, stolnice i wałki – wszystko, czego potrzebuje dobra gospodyni. Czy będę kiedy dobrą gospodynią? Niewykluczone, lubię gotować. Przeciskam się dalej przez tłum – budka z numerem trzydziestym – jakieś trykotaje, ale ohydne!

Skąd takie rzeczy się biorą? Mijam spiesznie te buble ze złego snu i docieram do straganu z konfekcją dziecięcą, a dalej – budka numer trzydzieści trzy: bielizna damska. Omijam rozwieszzone koszarne negliże z falbankami i prześmieszne stroiki nocne w stylu retro.

Przezornie przystaję za budką numer trzydzieści cztery, gdzie sprzedaje się tkaniny z metra i kapy na łóżka. Ukryta za rozwieszoną dekoracyjnie kapą, wypatruję właścicielki budki numer trzydzieści pięć, czyli pani Marczak. Okazuje się, że trzydzieści pięć to nie jest żadna budka, tylko odkryty stragan, na którym leżą stosy używanych ciuchów. Chyba zostały przywleczone z całego świata, tak są brudne i dziwaczne. Wysoka, tęga, ufarbowana na marchewkę blondyna, połyskująca złotym zębem spoza krwawych warg, woła zdartym głosem:

– Niedrogo, niedrogo!

Patrzę na nią i skóra na mnie cierpnie – przecież to ona przyniosła tę okropną walizę!

Zbieram w sobie całą odwagę i podchodzę do niej.

– Przepraszam, czy pani Marczak? – pytam i czuję suchość w gardle.

– Abo co? – odpowiada pytaniem na pytanie posiadaczka fryzury w kolorze marchewki. – Abo co?

– Ja... – jąkam się – ja w sprawie Iwony...

– Iwony? – zaśmiała się szyderczo, a zarazem złowieszczo właścicielka budki numer trzydzieści pięć. – Moja córka jest za granicą i żadnych tutejszych spraw już nie załatwia... Tam milionerzy tureccy po rękach ją całują i diamentami obsypują, a ty, laluniu, zjeżdżaj, pókiś cała...

Nie słyszałem dokładnie, co ta okropna kobieta wykrzykiwała do Lucynki, ale zobaczyłem tylko, że Lucynka zbladła i całe szczęście, że byłem na tyle blisko, że mogłem podbiec do niej. Chwyciłem ją za rękę i, przebijając się przez tłum, wydostaliśmy się wreszcie na ulicę.

– Błagam cię, Daniel! – powiedziała. – Bądź mężczyzną i nie pytaj mnie o nic. Jeśli możesz, odwieź mnie do domu. Albo nie... lepiej zaproś mnie gdziekolwiek na kawę, tylko przyrzeknij, że będziemy rozmawiać o pogodzie...

Dzwoniłam dziś rano do Lucynki, ale pani Lodzia powiedziała mi, że z samego rana przyjechał po nią autem Daniel i gdzieś pojechali...

Pojechała więc z Danielem – może na spacer, może do kawiarni... Nie wiem, co o tym sądzić. Albo chciała trochę odetchnąć od tych swoich kłopotów, albo też... pozwala się podrywać Danielowi. No, cóż – chłopak z autem nie jest do pogardzenia...

Chyba zadzwonię w porze obiadowej, bo pani Lodzia będzie czekać na Lucynkę z obiadem.

Ta Besia dodzwania się do Lucynki, a ja nie wiem co jej odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, jestem trochę niespokojna. Dobrze, że pojechała z tym Danielem. Nie powiem, chłopak ubrany jak aktor i zamożny z domu. Niechby się koło niej kręcił, byle w uczciwych zamiarach. Ale co to dzisiaj wiadomo? Chociaż Lucynka nie włości się z chłopakami i nie spotkałam jej jeszcze, żeby się w bramie z kimś obcałowywała, tak jak inne.

Ale frenetycznie się boję, co będzie dalej z tym maleństwem, które tu się w domu chowa. A co będzie, kiedy wróci pan redaktor? Lucynka, kiedy ją zagaduję, macha ręką i mówi mi, że sprawa wyjaśni się lada dzień, bo ona musi sprawdzić pewne rzeczy. A co ona może sprawdzić, taka, za przeproszeniem, smarkata? Jak własną córkę tę Lucynkę lubię – ale uważam, że sprawa jest ponad siły. Żeby tak był tu pan redaktor, to co innego – zadzwoniłby, gdzie należy, i jakoś by załatwił. Chociaż nie wiem, co by z tego wynikło, bo on ma panicznie miękkie serce... Taki już jest, że sercem się kieruje. Aby tylko zawsze w dobrą stronę się skierował, bo też wiem sama najlepiej, ile bab na niego leci. Nieraz potrafi taka panusia co parę minut dzwonić. Lucynka to Bogiem a prawdą nie bardzo się w tych sprawach orientuje, bo dużo z tych telefonów to ja przyjmowałam, kiedy ona była w szkole.

Ach, niełatwe jest życie samotnego mężczyzny...

A tymczasem Lucynka spóźnia się – też nie wiem, co myśleć o tym panu Danielu. Niby to syn sławnej aktorki, ale w teatrze to różnie bywa...

Lodzia była trochę niezadowolona, że wróciłam tak późno, ale jakoś ją udobruchałam. Daniel rzeczywiście rozmawiał ze mną o pogodzie i

serwował mi wszystkie ostatnie plotki teatralne, żeby mnie rozerwać. Jednak pod koniec nie wytrzymał i, kładąc dłoń na mojej dłoni, wyszeptał dramatycznie a namiętnie:

– Pamiętaj, że jestem zawsze wszystko dla ciebie gotów zrobić!...

– To fajnie – odpowiedziałam z umiarkowanym entuzjazmem. – Wobec tego, czy mógłbyś mnie teraz podrzucić do domu? Bo na pewno Lodzia szaleje, że mnie jeszcze nie ma.

– Nie traktujesz mnie tak, jak na to zasługuję – stwierdził ze smutkiem – ale cię odwiozę.

Tak, to prawda, że traktuję Daniela niezbyt dobrze, ale nie chcę, żeby mi przypadła rola „dziewczyny Daniela”. Nie mam teraz głowy do takich spraw. A także chyba i serca...

Tymczasem pani Lodzia, stawiając przede mną talerz zupy pomidorowej, usiłowała wyłudzić ze mnie wyznanie, w jaki sposób spędziłam przedpołudnie. Czy może coś się dowiedziałam, czyj jest ten maluśki? (to dotyczyło Adasia) – albo – czy aktorzy dobrze zarabiają? Bo podobno dobrze, tylko że rozwodzą się często (to w ramach troski o moją przyszłość, w razie gdybym miała wyjść za Daniela), ale czasem to się opłaca dziewczynie wyjść za męża i na krótko nawet...

Odpowiadałam pogodnie, lecz lakonicznie – po pierwsze, że o sprawie Adasia na razie nic nie mogę powiedzieć, bo mnie o to ktoś prosił. Taki ktoś, co wszystko potrafi załatwić. A jeśli chodzi o małżeństwo z aktorem, to nawet i opłacalne – bo jak taki mąż gra wieczorem w teatrze, to żona ma przynajmniej wieczór spokojny w domu.

– Też racja – zgodziła się Lodzia i właśnie przypomniała sobie, że powinna by już wrócić do domu, bo ma akurat masę roboty. – A jutro to przyjdę po południu – dodała i ta obietnica bardzo mnie ucieszyła.

– Pani jest kochana – powiedziałam w szczerym odruchu. – Co ja bym bez pani zrobiła...

– Żeby był jaki wózeczek dla dziecka, toby Lucynka mogła jeszcze przed wieczorem pojechać z malutkim na spacer – mruknęła – bo marnuje się bez świeżego powietrza. Poblądł na buzi...

Tak, to była prawda...

Ale wózeczek? Spacer? Nie umiałam znaleźć odpowiedzi, chociaż pani Lodzia miała rację...

Zresztą nie na to pytanie miałam odpowiedzieć... Wyciągnęłam z szuflady sekretery ten odpis metryki urodzenia i przeczytałam go po raz nie wiem który. Może źle coś zrozumiałam, gdzieś tu musi być pomyłka... Że też ja nie wpadłam na pomysł, żeby pojechać do urzędu stanu cywilnego i zażądać sprawdzenia metryki. Oczywiście, że może to być najzwyczajniejsza pomyłka... tylko czemu w takim razie podrzucono tu Adasia? Chociaż i to dałoby się wytłumaczyć po prostu omyłką w adresie. Ale czy możliwe, żeby wszystko było takie przypadkowe? Zaraz, a książka telefoniczna? A może tam jest jeszcze adres jakiegoś pana Prandoty i to on jest właściwą osobą zainteresowaną? Nerwowo przewracam kartki – jest nazwisko ojca z dopiskiem – dziennikarz – i jest drugi pan Prandota, Leon – ul. Liliowa art. muzyk.

Błysk szczęścia i nadziei. To pan Leon! Na pewno, artystom takie rzeczy mogą się zdarzyć. Nabrałam otuchy, marzę, że wszystkie moje dotychczasowe troski i niepokoje były po prostu śmieszną historią omyłek. Jasne. Ta metryka to idiotyczny błąd! Tylko teraz spokojnie i rozsądnie, żeby jakoś właściwie i taktownie całą sprawę załatwić. Cóż z tego, że tamten pan Prandota ma na imię Leon. A może na drugie ma Witold? Czyż dziewczyny nie potrafią w najgłupszy sposób zdrabniać i przeinaczać imion mężczyzn, których kochają? Sama słyszałam, jak jedna z koleżanek ojca, chociaż już taka starsza osoba, bo ma chyba ze trzydzieści dwa lata – mówiła do swojego męża – „Brybrasiu”, chociaż on ma na imię Władysław. Więc i w tym wypadku nic nie wiadomo...

Od czego zacząć – nowy duch wstąpił we mnie i byłam zdecydowana działać jak najszybciej. Teraz tylko pytanie – zatelefonować, czy od razu pojechać i załatwić sprawę. Telefon był sporą pokusą, więc pomyślałam: a cóż mi to szkodzi? Zadzwoić tak sobie, zwiadowcze. Przecież nie muszę się przedstawiać, a może się czegoś dowiem?

Byłam jednak trochę zdenerwowana i drżącą ręką wykreciłam numer. Nikt nie podejmował słuchawki mimo powtarzającego się sygnału i już miałam odłożyć, kiedy jakiś kobiecy głos, o dość ładnym brzmieniu, zapytał:

– Halo! Kto mówi?

Przez chwilę nie mogłam wydobyć, głosu, ale wreszcie nieśmiało zapytałam:

– Czy mogę prosić do telefonu Winniczka?

Na to ten sympatycznie brzmiący głos odpowiedział:

– Omyłka. Winniczki to nie tu.

Omyłka? Czyżbym źle wykręciła numer? Chyba nie powinnam zrezygnować! I zadzwoniłam jeszcze raz. Ten sam kobiecy głos spytał powtórnie:

– Halo! Kto mówi?

Czułam się okropnie głupio, ale postanowiłam sprawę załatwić. Wyrztusiłam więc, że proszę do telefonu Winniczka.

Tym razem osoba po drugiej stronie drutu telefonicznego po prostu odłożyła słuchawkę, traktując moje odezwanie się jako niemądry żart. Zaraz – a może to chodzi o coś innego? Może tam właśnie jest ten Winniczek, tylko zazdrosna kobieta nie chce zawołać go do telefonu? Czy tak się czasem nie zdarza? Jest w tym coś, co każe zastanowić się.

Wobec tego twardo zdecydowałam, że pojadę tam i zbadam sprawę na miejscu. I to zaraz, od razu. Niech już nareszcie wiem cokolwiek. Muszę niestety pojechać sama, bo nie zdążę wytelefonować Besi. Zanim ona by się przywlokła, tobym oszalała ze zdenerwowania. Zaplanowałam więc zaraz, że włożę tę granatową sukienkę z białym kołnierzem, gdyż w niej wyglądam najpoważniej. Gdy przejrzałam się w lustrze, stwierdziłam z zadowoleniem, że można mi dać co najmniej dwadzieścia lat, jeśli nie dwadzieścia dwa. Wzięłam torebkę i włożyłam do jej wnętrza list do Winniczka i ową metrykę.

– Zobaczymy – mruknęłam – przecież muszę znaleźć jego ojca. Ojca Adasia...

W tejże samej chwili uprzytomniłam sobie, że trzeba jakoś zabezpieczyć małego, żeby mu się coś złego nie przydarzyło podczas mojej nieobecności. Wypróbowany sposób ułożenia go do snu w zestawionych, głębokich fotelach był jednak najpewniejszy. Musiałam tylko posłać mu i sprawdzić, czy ma sucho, żeby nie ryczał w czasie mojej nieobecności. To mi zajęło nieco czasu, aż wreszcie gdzieś koło wpół do dziewiątej wyrwałam się z domu i pognałam na przystanek autobusowy. Na szczęście nie czekałam długo i zdobywszy wolne miejsce przy oknie, układałam sobie podczas jazdy plan działania. Niewątpliwie musiałam w tym wypadku wysilić całą moją inteligencję, bo przecież chodziło o los bezbronnego dzieciaka.

Trafiłam na Liliową na szczęście dość szybko – dom był elegancki, wejście na klatkę schodową zamknięte i należało nacisnąć guziczek przy nazwisku właściciela mieszkania, do którego miało się ochotę wejść. Odnalazłam więc przy numerze siedemnastym nasze własne nazwisko i drżącą ręką nacisnęłam guzik. Po chwili odezwał się głos – ni to dziewczęcy, ni to kobiecy.

– Kto tam?

– Ja – odpowiedziałam jak najbardziej idiotycznie.

– Ale kto? – dopytywał się ów głos. – Do kogo?

– Do pana Prandoty – powiedziałam, bowiem nie byłam pewna, jak należy tytułować kogoś, kto ma przy nazwisku zaznaczone, że jest artystą muzykiem.

– Jego nie ma – pisnął głos, ale zaraz odezwał się inny głos, kobiecy – syn wyjechał, proszę pani, a pani w jakiej sprawie?

– W rodzinnej – odpowiedziałam ni w pięć, ni w jedenaście, chociaż w tamtym momencie wydało mi się to właściwe.

– W rodzinnej?... – W głosie kobiecym wyczułam nutę niepokoju, po czym dodała: – Otwieram, proszę wejść, czwarte piętro...

Na szczęście była winda i za chwilę stałam już pod drzwiami mieszkania, odczytując tabliczkę – L. Prandota. Jednocześnie stojąca na progu starsza pani powiedziała:

– Proszę, niech pani wejdzie.

Pokój, do którego weszłam, wyglądał tak, jakbym sama chciała mieć urządzony – pełen staroświeckiego wdzięku – kwiaty w oknach, stare ładne meble...

– Pani chciała rozmawiać z moim zięciem? – spytała starsza pani.

– Tak, w bardzo ważnej sprawie...

– Ale jego od dwóch lat nie ma w kraju... Jest w Kuwejcie, razem z moją córką... Jako lekarz...

– Myślałam, że jest artystą muzykiem – powiedziałam speszona – na tabliczce tak napisane...

Starsza pani wskazała mi krzesło i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Leon Prandota to ojciec mojego zięcia... nie żyje od trzech lat... Oczywiście Janek, to znaczy mój zięć, pozostał w tym mieszkaniu, bo jest obszerne i wygodne. Moja córka też je bardzo lubi.

Starsza pani najwidoczniej miała ochotę porozmawiać, być może nudziła się bez córki i zięcia.

– Kiedy więc wyjechali do tego Kuwejtu, gdzie mają posiedzieć jeszcze rok, prosili, żebym się tu przeniosła. Bardzo za nimi tęsknię – dodała – nie widziałam ich tyle czasu.

– Więc nie przyjeżdżają na urlop do kraju? – spytałam.

– Ach, nie. Podróż dwóch osób byłaby zbyt kosztowna. Zresztą korzystają z możliwości zwiedzania Wschodu. To jest ogromnie interesujące. A może pani napiłyby się herbaty?

Podziękowałam i już miałam zamiar przeprosić starszą panią i wracać do domu, kiedy aby uzupełnić relację o swoich rodzinnych sprawach, dodała:

– Tak więc na ich prośbę tu się przeniosłam i przy mnie teraz mieszka ich syn.

To mnie zainteresowało. Syn? I zaraz pomyślałam, że – kto wie – czy to nie właśnie ten młody człowiek jest partnerem Iwony, ojcem Adasia. Nosi nazwisko Prandota!

– Ach, więc w takim razie to z nim będę mogła porozmawiać – oświadczyłam – bo być może o niego chodzi w tej całej sprawie...

– Czy on coś przeskrobał? – zaniepokoiła się starsza pani. – Ach, ci chłopcy, wychowywać ich to bardzo trudne zadanie. Od czasu do czasu ma się kłopoty...

Potrząsnęła głową jakoś bezradnie, po czym wyszła do obszernego przedpokoju i usłyszałam, jak woła:

– Wiwiczku! Wiwiczku! Chodź tu na chwilę, proszę cię – i wracając do pokoju zwróciła się do mnie: – Czy pani jest ze szkoły?

Nie odpowiedziałam, bo serce mi waliło w tej chwili jak młotem. A więc to on! Winniczek czy Wiwiczek? Mniejsza o to, albo Iwona tak nabazgrała, albo ja nie dosłyszałam, jak wołała starsza pani.

A ona wyjaśniała mi tymczasem.

– On ma, jak pani zapewne wie, na imię Ludwik. Ale kiedy był malutki, sam o sobie mówił zawsze – Wiwiczek – i tak już zostało. Oczywiście tak na niego woła się jedynie w domu, gdyby jego koledzy o tym wiedzieli, toby mu dokuczali. Pan wie, jak to z nimi jest!

Przytaknęłam w milczeniu i czekałam. Starsza pani wspomniała o szkole. Czyżby nauczyciel? A ta Iwona byłaby jego koleżanką? Albo

uczennicą? Ach, niech już wreszcie tu przyjdzie, niech go zobaczę, niech się skończy ta historia...

Tymczasem starsza pani starała się mnie przekonać, że jeśli nawet jej wnuk ma coś na sumieniu, jeśli coś przeskrobał, to oczywiście ona chciałaby mnie zapewnić, że nie jest to zły chłopak.

– No, jesteś wreszcie! – zawołała. – Wejdz, proszę!

Spojrzałam w stronę drzwi. Stał tam mały, może dziesięcioletni chłopak, rudzielec z piegami na nosie, najwidoczniej zły, że go oderwano od zabawy lub czytania pasjonującej książki.

– Pani przysła do ciebie, bo ma jakąś sprawę – zagaiła tymczasem babcia, zanim ja sama zdążyłam odezwać się – pewnie pobiłeś jakiegoś kolegę, co?

– Ja nikogo nie pobiłem! – pisnął teraz mały rudzielec. – Co babcia ode mnie chce? – Był oburzony i zrozpaczony, że przypisuję mu jakieś przestępstwa. – Ja naprawdę z nikim się nie biłem!

– Strasznie przepraszam – wyszeptałam. – On jest na pewno niewinny! To chodzi o zupełnie kogoś innego! Ja się omyliłam! Zresztą zanim tu przysłałam, próbowałam nawet dodzwonić się, ale ciągle mówiono mi, że to omyłka.

Babcia rudzielca odetchnęła z ulgą i roześmiała się:

– Ach, proszę pani! Właśnie! Z tym telefonem to okropność! Zmienili nam, nie wiadomo dlaczego, numer. I ciągle są te omyłkowe połączenia. Bardzo mi przykro!

– Mnie też! – westchnęłam. – Proszę mi wybaczyć. Przepraszam...

– Ach, nie ma za co! Nic się przecież nie stało – zapewniła mnie pogodnie starsza pani, mimo że, jak mi się wydaje, była trochę zdenerwowana.

Nic się nie stało... – pomyślałam z goryczą.

Ależ stało się ogromnie dużo, proszę miłej starszej pani. Stało się to, że straciłam jeszcze jedną, chyba już ostatnią, nadzieję. I już nie wiem, gdzie mam szukać tego Winniczka, który powinien wychować Adasia na dobrego Polaka! Stało się to, że znów jestem bezradna wobec tej nieprawdopodobnej historii. Nie mogę przecież teraz dzwonić do taty, do Zurychu, żeby naradzić się z nim w sprawie podrzutka.

– Izuniu, czy to ty? Tak, tu mówi Lena. Wiesz? Zmienili nam numer telefonu! Właśnie! Za chwilę podam ci ten nowy, a tymczasem dzwonię do ciebie, moja droga... Oczywiście dzwonię od Janka i Danki, z ich mieszkania. Ciągłe są w Kuwejcie, tak. A ja tu sama z Wiwiczkiem. Przedłużyli pobyt. Ale dzwonię do ciebie, bo zdarzyła mi się taka dość dziwna historia. Wyobraź sobie, przyszła przed godziną do mnie jakaś młoda osóbką. Wyglądała nawet tak całkiem nobliwie, na dziewczynę z dobrego domu. Tak, wiem, że pozory mogą mylić. I słuchaj tylko dalej. Ta dziewczyna, nie wiem dlaczego, zaczęła się najpierw dopytywać o starego Prandotę, potem o Janka, to znaczy o mojego zięcia, tak mnie jakoś chytrze zakołowała, że zaczęłam jej opowiadać, jak to było, że wyjechali. Nie jestem naiwna, tylko jak przychodzi skromnie wyglądająca młoda dziewczyna, a widzę, że jakoś tak nieśmiało się dopytuje, to jej wyjaśniam. A na samym końcu, wyobraź sobie – powiedziała, że chce się zobaczyć z Wiwiczkiem. No, z moim wnuczkiem. Myślałam, że to ktoś ze szkoły albo z komitetu rodzicielskiego. A ona, jak wszedł do pokoju, to powiedziała, że się pomyliła... Co ty mówisz? Chodzą takie? Na przespiegi... Zupełnie możliwe... A potem naśle mi jaką bandę... Jasne! Dobrze, że mi to uprzytomniłaś. Oczywiście mogą chcieć porwać chłopca. Jak to po co? Po to, moja droga, że teraz to jest modne. Taka zagraniczna moda. No, dobrze, masz rację... Wezmę waleriany... i nie będę o tym myślała. Ale zadzwoń jutro do mnie! Pa, kochanie.

Co za okropna noc. Najpierw nie mogłam zasnąć ze zdenerwowania po tej całej mojej wyprawie na Liliową, potem mały zaczął płakać i nie wiadomo dlaczego nie udawało mi się uspokoić go. Wreszcie gdy zasnęłam, śniło mi się, że jestem na jakimś koncercie i że orkiestra gra Bolero Ravela. Było to bardzo męczące i chciałam wyjść z sali, kiedy naraz zauważyłam, że mam na sobie tylko nocną koszulę i że wszyscy patrzą na mnie. Więc się skurczyłam w fotelu, żebym była niezauważalna, i wtedy ktoś na sali zawołał: „Pomyłka! To okropna pomyłka!”

Obudziłam się zgnębiona i bezradna wobec okrutnego mechanizmu losu. W tym mechanizmie ja też odgrywam rolę jakiegoś źle obracającego się kółka. Moje poszukiwania wydały mi się nie tylko

nieudolne, ale i niesmaczne, obrzydliwe. Lecz co niby miałam zrobić innego? Oddać sprawę w ręce ludzi, którzy załatwią ją z rutyną i według szablonu.

Nie wiem, czy to mądrze, ale czuję się jakoś odpowiedzialna za los Adasia, wplątanego w tę niepojętą omyłkę czy komplikację?

Ale dość rozważań. To nie prowadzi do niczego. Trzeba ruszyć głową i mężnie walczyć z trudnościami dnia powszedniego! Tak!

Może i tak, ale już dosyć mam ruszania głową i walczenia! Tyle sobie obiecywałam po tej maturze – że odpocznę, że się trochę pobałaganię... Ej, życie! Na razie jednak powinnam zrobić sobie zimny prysznic, bo nic tak nie stawia człowieka na nogi, jak tego rodzaju zabieg zaraz po wstaniu z łóżka. Więc jazda do łazienki! Nie, zanim stanę pod prysznicem, muszę zajrzeć do małego. Śpi! Jak to cudownie! Rozkoszuję się więc strumieniem chłodnej wody, która spływa mi na ramiona, szoruję się namydloną gąbką, nabieram na nowo rozmachu – odwagi, Lucynko! Może jeszcze uda ci się jakoś...

Moje optymistyczne rozmyślania przerywa brutalnie dzwonek do drzwi. Że też ja mam zawsze takiego pecha, że kiedy zaczynam jakieś zabiegi higieniczno-kosmetyczne wokół mojej skromnej osoby, zaraz ktoś dzwoni do drzwi. Bardzo tego nie lubię! Warczę po prostu z wściekłości, otulam się w stary kąpielowy szlafrok ojca i podchodzę do drzwi.

– Kto tam? – pytam przezornie. Jeśli to jeszcze jeden podrzutek, stanowczo nie przyjmuję...

Tymczasem jakiś aksamitnie brzmiący męski głos odpowiada.

– Niespodzianka!

– Dziękuję – mówię – nie chcę żadnej niespodzianki.

– Ale tym razem na pewno pani się ucieszy – zapewnia dalej baryton – to jest ekspres do kawy!

– To pomyłka! – ryczę znów wściekła.

– Żadna pomyłka, niech pani otworzy! Ja w uczciwych zamiarach, daję słowo! Chyba pani dostała ten list...

– List? – powtarzam. I w tejże chwili uprzytamniam sobie, że przecież przyszedł do nas ten list! List z metryką. Otwieram więc szybko drzwi i widzę kogoś, kto mógłby być szeryfem moich snów. Ale nie to jest w tej chwili ważne. Ważne jest zupełnie co innego...

– Winniczek! – wołam – Winniczek! Więc to pan! Nareszcie! Jak to dobrze! Jak to dobrze, że pan tu w końcu trafił!

Już myślałem, że nikogo nie zastałem, bo tak długo dobijałem się do drzwi. A kiedy nareszcie otwały się, wyjrzał ktoś spowity w za duży szlafrok kąpielowy. Twarzy nie dojrzałem w pierwszej chwili, bowiem przesłaniały ją mokre kosmyki. Wyglądało to na niedużego chłopaka i gotów byłem przypuszczać, że trafiłem pod zły adres, bo redaktor Prandota mówił mi wyraźnie, że mam oddać paczkę z ekspresem do kawy jego córce, jak z dumą dodał, już dorosłej pannie, maturzystce.

Tymczasem to dziwne zjawisko zaczęło wykrzykiwać coś, czego absolutnie nie rozumiałem – Winniczek!

Co za Winniczek, do diabła? O co chodzi?

– To pan nie jest Winniczkiem? – spytała z wyraźnym rozczarowaniem postać w za dużym szlafroku. Ręką odgarnęła mokre włosy i teraz spojrzały na mnie siwe oczy, wielkie i pełne rozpacz. – I pan nie przyszedł w sprawie Adasia?

– Niestety, nie i nawet zaczynam żałować! Ja tylko w sprawie ekspresu do kawy, a przysłał mnie pan redaktor Prandota.

– Ach tak! – ku mojemu zdumieniu w głosie mojej rozmówczynie zabrzmiała jakby lekka nuta rozczarowania. – Proszę chwilę poczekać, bardzo przepraszam...

Poczekalem więc niecierpliwie w sieni, dopóki dziewczyna nie wpuściła mnie do wnętrza. Nie była taka, żeby nie mogła się podobać, tyle że wyglądała na okropne szczenię. Chyba szesnastolatka. A przedszkole to nie dla mnie, chociaż było to stworzenie niebrzydkie – szczupły pyszczek z ostro zarysowaną brodą, wspomniane już wyżej siwe oczy i ciemne włosy obcięte nad brwiami, ciągle jeszcze mokre.

– Przepraszam, że pan czekał – zająknęła się. – Myślałam, że to ktoś, na kogo właściwie czekałam...

– Od razu domyśliłem się, że wzięła mnie pani za kogoś innego. Wobec tego przypuszczam, że nie dostała pani jeszcze listu od redaktora, chociaż przy mnie wysyłał go ekspresem.

Potrząsnęła głową.

– Nie dostałam listu od ojca. – Po czym dodała z niepokojem: – Czy coś się stało?

Na szczęście u ojca wszystko w porządku, jak się dowiedziałam od tego szeryfa. Maszynkę do kawy ojciec kupił w Pradze i przysłał przez niego, bo przecież nie będzie się z nią woził do Szwajcarii. Okropnie głupio się czułam po tym powitaniu, jakie mu urządziłam, ale on udawał, że nic takiego w ogóle nie zaistniało. To było ładne z jego strony.

Pytał, czy czasem nie mógłby mi się na coś przydać, bo będzie przez jakiś czas w Warszawie, a potem znów wyjeżdża. Tylko jeszcze nie wiadomo na pewno, dokąd. Pewnie do Wenecji albo może na Cypr. Niczego więcej nie zdołałam się dowiedzieć, a zresztą, prawdę powiedziawszy, nie bardzo miałam głowę do rozmowy, chociaż jest to niewątpliwie atrakcyjny chłopiec. Żałuję, że ta nasza znajomość została zawarta w takich głupich okolicznościach, bo jeszcze jakby na dodatek do mojego powitania w pewnym momencie mały zaczął płakać w sąsiednim pokoju.

Co miałam robić? Przeprosiłam gościa i pobiegłam zobaczyć, co się tam dzieje. Mokra, oczywiście, że mokro! Całe szczęście, że miałam naszykowaną szmatkę, która udaje pieluszkę. Wróciłam możliwie szybko, ale już jakoś nie kleiła się nam rozmowa. Powiedział tylko, że jeśli pozwolę, to zadzwoni któregoś dnia, żeby się dowiedzieć, jak tata się czuje po powrocie z Zurychu. I napisał mi na karteczce swoje imię i nazwisko – Wojtek Zimecki. I numer telefonu.

Tak, mógłby być szeryfem moich marzeń, tyle że nie mam teraz głowy do szeryfów.

Masz ci los! Mały znów płacze wniebogłosy!

Niedobrze jest u państwa Prandotów. Lucynka zupełnie głowę traci, bo nie wie, co zrobić z tym malutkim. A on taki śliczny, taki milutki, że serce się, kraje, kiedy się pomyśli, że nie wiadomo, co z nim będzie dalej. Bardzo dobrze też się stało, że przyszałam dziś trochę wcześniej, bo Lucynka taka jakaś zdenerwowana, wszystko jej z rąk leci, widzę, że już nie wytrzymuje nerwowo tej sytuacji. W dodatku w nikim nie ma oparcia, bo za przeproszeniem ta cała Besia, chociaż ma już prawie dziewiętnaście lat, to też za przeproszeniem smarkata, jeśli chodzi o sprawy życiowe. Witusia, który jako starszy brat mógłby tu być

pomocny, też nie ma, bo gdzieś tam z jednym profesorem wyjechał, na naukową wyprawę. I pisze bardzo rzadko, jakby go ten dom nic nie obchodził, a już jeśli chodzi o pana redaktora, to Lucynka ojca ubóstwia i za nic nie chce go teraz niepokoić. Ale jak pan Prandota wróci?...

Zrobiłam małemu kleiczek, dodałam żółtko, żeby miał coś posilniejszego, bo mizernieje to biedactwo, wchodzę potem do pokoju, a Lucynka podaje mi jakąś kartkę i mówi:

– Pani Lodziu, zawsze i ja, i tata uważaliśmy panią za kogoś dla nas życzliwego, jakby pani była z rodziny. I dlatego proszę, niech pani to przeczyta i powie mi, co to ma znaczyć? Co pani o tym myśli?...

Wzięłam więc tę kartkę, czytam raz, czytam drugi raz, bo oczom własnym nie wierzę, a Lucynka mówi tymczasem:

– Jeszcze wczoraj szukałam tego Winniczka, wie pani?

– I po co było szukać, kiedy, jak widać, ta Iwona wcale nie pomyliła się w adresie. Ale swoją drogą nigdy bym naszego Witusia o to nie posądziła. No, proszę! A tak niby stronił od panien.

Jestem wstrząśnięta odkryciem pani Lodzi. Ale czasem taki prostolinijny człowiek, jak ona, od razu dostrzega pewne rzeczy, kierując się zdrowym rozsądkiem. Więc ten Winniczek to Witek? Cóż za idiotyczne zdrobnienie! Trudno mi sobie wyobrazić Witka w roli Winniczka! Ale co najważniejsze – to fakt, że Adaś jest jego synem!

Muszę się z tą myślą oswoić. Mam w głowie mętlik i wszystko wydaje mi się tak zaskakujące. W każdym razie do mojej mózgowicy dotarło na razie to, że Adaś jest moim własnym bratankiem i że mam obowiązek opiekowania się nim. I ta świadomość zaczyna mnie cieszyć, chociaż trudno mi się tak od razu z tym oswoić.

Tymczasem pani Lodzia snuje głośno swoje rozważania:

– Ładny dzieciak! Ale czy to pan Witek da radę sam wychować dziecko, chociaż i magistrem niedługo zostanie? Bo Iwona, jakby nawet wróciła, to z niej żadna matka. A on, biedaczek, nawet na pewno nie wie, co się dzieje z jego synkiem...

Uwaga pani Lodzi natchnęła mnie pewną myślą. Szybko więc zadzwoniłam do centrali telefonicznej i nadałam zwięzły, ale pełen treści telegram do Meksyku. Po spełnieniu tego rodzinnego obowiązku,

wróciłam do Adasia. Siedział na kocyku i patrzył na mnie oczami, tak podobnymi do oczu Witka. Dopiero teraz widzę to podobieństwo.

– No, chodź do cioci... – powiedziałam nieśmiało.

Lucynko! Co znaczy ten telegram? Nie znam żadnego Adasia oprócz naszego wieszczą narodowego, niejakiego Mickiewicza, i to nie osobiście, a raczej z lektur szkolnych. Niepokoję się o stan twojego umysłu.

Nie stać mnie na telegram, więc korzystam z uprzejmości kogoś z naszej tutejszej ambasady, kto podjął się wrzucić ten list na pocztę w Warszawie, ponieważ jutro odlatuje do kraju.

Ucałuj ode mnie naszego staruszka, wracam za dziesięć dni. Hej!

Witek

Taki list dostałam od Witka!

Nie wiem, co znów trapi Lucynkę, ale jest jakaś zamyślona i smutna.

– Pani Lodziu – powiedziała do mnie wczoraj – to wcale nie tak łatwo być dorosłym człowiekiem...

I poprosiła mnie, żebyśmy usiadły i razem się zastanowiły, co trzeba by kupić dla dziecka.

– Wszystko – mówię jej na to – bo i pieluszki by się przydały, takie zagraniczne, co to są zawsze suche, i śpioszki, i nowy kocyk, no i koniecznie wózek. Przecież małeństwo nie może siedzieć ciągle w mieszkaniu, bez powietrza. Dziecko trzeba zabierać na spacer...

– Wózek? – powtórzyła Lucynka. – Pani ma rację, ale mnie jakoś do głowy to nie przyszło. Rzeczywiście trzeba postarać się o wózek. Tylko gdzie się go postawi?

Uprzytomniłam jej, że przecież dziecko nie może ciągle sypiać na zestawionych fotelach, bo co będzie, kiedy wróci pan redaktor?

– A może by na razie w pokoju Witusia? Pokój nie jest duży, ale widny, słoneczny, w sam raz dla dziecka.

Na to Lucynka uśmiechnęła się tak jakoś dziwnie i zgodziła się.

– Tak, tak, najlepiej będzie u Witka...

Uważam, że pomysł postawienia wózka w pokoju Witka jest znakomity. Ten jego pokój to zupełnie specjalna opera. Miejsce święte świętych, do którego Witek nikogo nie chce wpuszczać z wyjątkiem pani Łodzi, kiedy ma u niego sprzątać. Ale poza tym jest urządzone według gustu mojego kochanego braciszka.

Mapy na ścianach – to nawet ładnie wygląda – zamiast biurka stół na krzyżakach i do tego ława ze skrzynią. No i oczywiście książki. Wszędzie – na regałach i na małych półkach, i gdzie tylko się da...

A co do wózka, to pani Łozia ma rację. Nawet przy okazji dowiedziałam się o ceny – ale są horendalne! Około trzech tysięcy – przecież nie mam tyle pieniędzy... Już nawet wyjęłam wszystko z mojej glinianej świnki, w której gromadzę oszczędności na nowy płaszczyk zimowy. Co jakiś czas ojciec podrzuca mi na ten cel parę groszy, które mam odkładać, aby – jak to się mówi, nie rozleciały się nie wiadomo na co. Bo swoją drogą taty to się forsa nie trzyma... Ale w tej chwili świnka nie reprezentuje zbyt wielkiego kapitału... Poza tym trzeba przecież małego trochę ubrać. Ale to już jest zupełnie inna historia.

Było cudownie – wzięłam małego na rękę i poszłam z nim do sklepu z dziecinnymi ubrankami, to jest niedaleko od nas. I tu oszalałam – targła mną rozterka – bo właściwie chciałabym kupić wszystko – były to prześliczne kolorowe szmatki, w które można by również ubrać lalkę. Zagadnienie, czy wybrać pajacyki w misie czy w kurczęta, stało się w tym momencie sprawą wielkiej wagi – w rezultacie okazałam słaby charakter i kupiłam jedno i drugie. I śpioszki niebieskie, i różowe, i jeszcze białe w kwiatki. A także ciepły, niebieski kaftanik, do czego skłoniła mnie podbechtana duma macierzyńska, kiedy sprzedająca, bardzo miła pani, zaczęła się zachwycać urodą Adasia.

– I taki do mamy podobny – dodała na końcu. – Tylko że trochę bledziutki. Pewnie chorował?

Skinęłam w milczeniu głową i już odchodząc do kasy usłyszałam uwagę jednej z kupujących, że dzieciak blady, bo matka młoda i doświadczenia nie ma w wychowaniu.

Po wyjściu na ulicę, dopiero w pełnym świetle tego słonecznego, czerwcowego dnia przekonałam się, że mały jest naprawdę bardzo mizerny. Wtedy zdecydowałam, że muszę kupić wózek. Żeby tam

nie wiem co. Myślałam o tym, mając przed oczami kosztownie ubraną Iwonę na lotnisku. I ten jej list.

Kupię ten wózek na przekór Iwonie i jej podobnym.

Z tym postanowieniem wróciłam do domu i tu, trzeba przyznać, miałam nieco fartu, bo zadzwoniła właśnie pani Lodzia, że jej sąsiadka gotowa jest sprzedać śliczny, nie zniszczony wózeczek po zdrowym dziecku, które już z niego wyrosło. Cóż z tego, że używany, jeśli jest w dobrym stanie. Cena też do przyjęcia – mniej niż połowę tego, co kosztuje nowy. W ten sposób zawartość świnki pokryłaby wydatek. Uważałam, że los uśmiecha się do mnie i do Adasia, zwłaszcza że pani Lodzia gotowa była przywieźć ten nabytek taksówką jeszcze dziś! Jeszcze dziś!

– Adasiu! – zawołałam, pochwyliłam małego na ręce i obróciłam się z nim w kółko. Bardzo mu się to spodobało i roześmiał się. Pewnie jestem idiotka, ale ten jego śmiech tak mnie wzruszył, że rozbeczałam się. Sama nie wiem, co się ze mną stało, bo nie jestem płaksiwa...

Wymyłam ten wózeczek jeszcze u siebie w domu, wyczyściłam, tak że aż błyszczał jak nowy i zawiozłam Lucynce. Zaraz też wykombinowałyśmy, czym się go wyścielę, a że Lucynka kupiła też nowy niebieski kocyk, to akurat pasuje do granatowego wózka. Chciała mi zwracać za taksówkę, ale nie wzięłam.

Nie, nie mogłam się tego wyrzec, żeby jeszcze dziś nie pojechać z Adasiem na spacer. Ubrałam go w nowe pajacyki, nowy kaftanik, uczesałam z przedziałkiem czuprynę.

Oczywiście określenie „czupryna” jest eufemizmem, bowiem to, co znajduje się na łepetynie Adasia, najbardziej przypomina puch, jakim bywa pokryte małe kaczątko. Biedne, podrzucone kaczątko. Może to będzie jak w bajce Andersena?

Witek na pewno używałby sobie na mnie, że jestem sentymentalna, staroświecka i że się rozklejam. Ten Witek! Dlaczego w ten sposób odpisał? Nic innego, tylko na poczcie przekręcili tekst telegramu. To jest całkiem możliwe. Raczej nawet pewne. Więc pojechaliśmy sobie na spacer z Adasiem w Aleje. Granatowy wózeczek prezentuje się wspaniale, wyczyszczone nikle połyskują, jednym słowem wysoki

szyk. Ja też, żeby się jakoś odprężyć – *pour changer l'esprit*, jak mawiają Francuzi – ubrałam się w moją ulubioną niebieską sukienkę i białe sandały – jednym słowem błękitny kwiat prerii.

Szłam, popychając wózeczek, przez Aleje i daję słowo, że ludzie patrzyli na nas niezwykle sympatycznie. Na mnie i na Adasia. Zwłaszcza do niego uśmiechali się. Na pewno myśleli, że jestem jego mamą i to mnie ogromnie bawiło. Czy tylko bawiło? Przyznaj się uczciwie, Lucynko, ty młodociana oszustko, że byłaś wtedy szczęśliwa.

No, byłam i już. Nikt mi tego nie zabroni. Każdy przecież ma swoje wielkie i małe szczęścia. Adaś jest w tej chwili bezradnym, bezbronny dzieciakiem, którym staram się opiekować, tak jak potrafię najlepiej. Może oszustwo polega na tym, że udaję jego mamę, tak jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka woziłam w wózku lalkę? Czy to źle? Chcę rozgrzeszyć się z tego. Bo czy jestem oszustką, jeśli spełniam wobec małego te obowiązki, które należały do Iwony? Czy jestem nieuczciwa, usurpując sobie rolę szczęśliwej mamy? Chociażby tak na niby, jak wtedy, kiedy woziłam w wózek moją lalkę i miałam tylko dziewięć lat.

Zaplątuję się w trudne rozważania. Zbyt trudne i dlatego, odrzucając rzeczywistość, zaczynam zabawę w imaginację. Przysiadam na ławce, wózeczek stoi obok mnie, mały, uśpiony być może zapachem lip, zasypia, a ja zaczynam bajkę. Od czego ją zacząć? Od końca – to znaczy od ślubu, bo zwykle bajki kończą się ślubem – a więc ślub. Ślubna suknia... Biała? A może niebieska? Nie, raczej biała, prosta i długa, o surowym kroju, niczym nie ozdobiona. Tylko pantofelki chciałabym mieć gładkie, atlasowe, w niebieskim, turkusowym odcieniu. A także bukiet, bukiet dla panny młodej, nieduży, płaski, okrągły, z białych kwiatków. Może z konwalii? Tak ładnie pachną. I z bukietu zwisałyby wąskie, długie wstążeczki, też w takim niebieskoturkusowym kolorze. Tak by miała wyglądać bajkowo-filmowa wersja, sznurowata, ale chyba ładna. Oczywiście oprócz ślubnej sukni przy takiej uroczystości wchodzi również w grę i postać partnera.

Pan młody... Bo ja wiem? Musiałabym się zastanowić, bo jednak nie mam w tym wypadku bliżej sprecyzowanego wyobrażenia... Młody... wołałabym, żeby był jasnowłosy, lubię jasne włosy z popielatym

odcieniem... Zostawmy to na razie. Idzie więc obok mnie i ubóstwia. A ja? Ja jestem rozpromieniona, przyjmuję życzenia, grają marsza weselnego Mendelssohna, dziewczyny mi zazdroszczą. Będę nosiła na palcu obrączkę – złotą, z takiego pięknego matowego złota, rzeźbioną delikatnie w listki. Widziałam taką u jednej szalenie eleganckiej, starszej pani. Obrączka staroświecka, z sentymentalnej powieści. Pewnie to wszystko będzie wyglądało nieco inaczej, ale przecież mogę sobie opowiadać...

Potem będzie weselne przyjęcie. Niezbyt duże, jeśli chodzi o liczbę zaproszonych, ale za to wyrafinowane eleganckie, jakby powiedziała pani Lodzia. Ona też będzie na tym weselu. Po weselu wypadałoby odbyć jakąś ciekawą podróż poślubną. Jest to może małomieszczańskie, ale niektóre obyczaje w tym typie podobają mi się. Więc dokąd? Ja bym najlepiej wolała gdzieś na wieś, na taką prawdziwą wieś, gdzie cykają w trawie świerszcze i nie ma zespołu pieśni i tańca, a także brak tranzystorów. I można chodzić boso. I kaczkę chlapią się w stawie, i jest mała rzeczka; Albo strumyk. Byłam raz w życiu na takiej wsi, jeszcze z mamą. Boże! Czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będę miała tak cudowne wakacje? Chyba już nigdy... Ale wszystkim powiemy, ja i ten mój mąż, że jedziemy do St. Tropez. Nazwa mi się podoba, więc dlatego tak będziemy mówić... A z St. Tropez zajrzemy do Monte Carlo. Z tego wynika, że powinniśmy tam wygrać całą masę forsy w ruletkę. Po prostu rozbijemy bank. Z tego dla siebie zatrzymamy tylko trochę... Chyba niedużo, chociaż niestety spełnienie niektórych moich marzeń mogłoby być kosztowne. Chciałabym zwiedzić wszystkie najważniejsze galerie obrazów i kilka miast. Na przykład Kopenhagę. Pewnie jestem nietypowa...

Nie, nie chce mi się dalej marzyć w stylu pop-artu. Rzeczywistość każe mi oprzytomnieć. Adaś pewnie zaraz obudzi się i będzie głodny, trzeba wracać. Ale przyjedziemy tu jeszcze...

Po powrocie do domu muszę zadzwonić do Besi. A tymczasem sunę rączo przez Aleje, popychając wózek. Mały obudził się i wszystko wskazuje na to, że zaraz zacznie okropnie ryczeć. Przyspieszam więc kroku i staram się mniej lub więcej zręcznie wymijać przechodniów, co wcale nie jest łatwe. Nie wiem, po co tyle osób włóczy się w Alejach? Oczywiście, spacerują – ale to niezmiernie utrudnia ruch na chodnikach

matkom wiozącym dzieci w wózkach. I właśnie, mimo że starałam się jechać ostrożnie, byłabym wpadła na dwóch chłopaków, którzy mnie mijali. Spojrzałam na nich karcąco, bo wlekli się zagadani i zupełnie nie uważali, że mogą ich potrącić, kiedy naraz ścierpłam od środka – jednym z nich był nie kto inny, tylko osobiście szeryf moich snów! Ten od ekspresu do kawy!

Spojrzał na mnie trochę nieprzytomnie i ukłonił się tak, jakby nie był pewien, czy ma się ukłonić, czy nie!

Ej, życie, życie! Szedłem właśnie Alejami ze Staszkiem, bo mieliśmy zamiar wstąpić na kawę „Na Rozdrożu”, kiedy kogo ja spotykam? Małą Prandotównę. Z wózcikiem! – a w wózciku nic innego, tylko potomek! Zaskoczenie absolutne, bo stary Prandota nic mi nie wspominał o wnuku, a byłby się na pewno pochwalił, chociaż co prawda rozmawialiśmy bardzo krótko.

Ale ja nie mam fartu! Jak dziewczyna do ludzi podobna, to już ktoś inny ją przechwycił i pozycja stracona! Aż trudno uwierzyć, żeby taka szczeniara już była mężatką i miała dzieciaka...

Jest pierwsza w nocy, a ja jeszcze nie mogę zasnąć. To okropne, bo w tej nocnej ciszy, sama w mieszkaniu, czuję się bezradna i nieszczęśliwa. Wplątana bez sensu w zbyt trudną dla mnie sprawę. W dodatku, kiedy sama jedna muszę sobie dawać z tym radę, Witek przysłał mi list z dowcipami! Dopiero teraz, kiedy mogę jakoś wyłączyć się z bieżących spraw codziennych, zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli Witek uwikłał się w sprawę ojcostwa, a matką małego jest tak niewiele chyba warta dziewczyna, jak Iwona, to historia staje się wręcz dramatyczna. Witek! A ten biedny Adaś! A Tata! Jak to przyjmie, kiedy się dowie? Może wyklnie Witka? Bo czytałam, że w starych, dobrych rodzinach zdarzały się czasem takie rzeczy. Witek... Powiedzmy, że Iwona jest, jaka jest, i nie warto o niej mówić, ale on jest fajnym, uczciwym facetem i metryka wskazuje na to, że mały jest jego synkiem. Chyba że Iwona go szantażuje i metrykę sfalszowała?... Gubię się w domysłach... Szkoda mi Witka, bo zawsze wierzyłam, że znajdzie dziewczynę tak samo fajną, jak on. Inteligentną, która umiałaby się na nim poznać. I chciałam, żeby im było ze sobą dobrze.

A tymczasem... Owszem, dziewczyn nigdy nie brak. Przynajmniej takich, które mają zawsze dużo czasu, dzwonią do niego, chcą łączyć do kawiarni albo któraś żąda kategorycznej odpowiedzi, czy się z nią ożeni... A on nie chce się żenić przed końcem studiów...

Rozklejam się tak dalece, że pozwalam sobie na mały atak hysterii – beczę do poduszki, mruczę do siebie, że to wszystko dla mnie za trudne, za trudne i jeszcze raz za trudne! Potem jeszcze sobie opowiadam, że mam prawo mieć trochę przyjemności po maturze, a także i odpoczynku, że przecież... – w tym miejscu już zaczynam tonąć w najostateczniejszej rozpacz, bo przecież przede mną jest egzamin do akademii...

Nie, nie chcę dłużej myśleć o niczym. Wstaję, piję trochę zimnej coli z lodówki i powoli uspokajam się... I teraz już jest lepiej... I przed samym zaśnięciem, jak olśnienie, przychodzi myśl, że chyba nie ma sensu takie wpadanie w czarną rozpacz – bo jak wróci Witek i Tata, to przecież jakoś wszystko musi się ułożyć. Nic innego nie pozostaje, jak tylko stwierdzenie, że jest to po prostu mała próbka niełatwego, skomplikowanego, dorosłego życia, które chwilami może być gorsze od najgorszej klasówki z matematyki.

Z tego już bardziej optymistycznego nastroju wyrывa mnie nagle okrutna rzeczywistość i głos obowiązku – przecież zapomniałam rozwiesić pieluszki na balkonie. Do rana muszą wyschnąć – bo inaczej będzie bieda. Całe szczęście, że uprałam je jeszcze wieczorem. Ale oczywiście zapomniałam rozwiesić.

Wyskakuję więc szparko z łóżka i wynoszę mokre szmatki na balkon. Sznurki są rozciągnięte i już po chwili pieluszki powiewają na wietrze. Jak białe proporczyki na znak kapitulacji.

Jak tylko obrobiłam się ze sprzątaniami u siebie w domu, to zaraz pognałam na Polną. Przychodzę i widzę w dziennym świetle, że Lucynka jakoś zmizerniała, a mały też mógłby lepiej wyglądać. Powietrza mu więcej trzeba, a także odżywiania. Powiedziałam więc:

– Nic nie jest tak zdrowe dla małego dziecka, jak szpinak.

I przyniosłam z bazaru całe kilo.

Nie tylko los się na mnie uwziął, ale pani Lodzia też. Myślałam, że umrę ze zgryzoty, kiedy mi pokazała z dumą torbę pełną tego zieliska, którym mnie faszerowali, kiedy byłam małą, pod tytułem, że to zdrowe.

– Pani chce mnie zniszczyć! – jęknęłam bliska płaczu, ale zaraz zaczęła mnie pocieszać, że sama przyrządzi, bo to żadna robota, a dla Adasia szpinak jest niezbędny.

Westchnęłam więc, pokiwałam głową i wzięłam się do niewielkiej przepierki. Ledwie zamoczyłam ręce, zadzwoniła Gośka, że urzędują u siebie małą kawę, że będzie fajnie, że co się ze mną dzieje, że podobno widział mnie ktoś objuczona jakimiś zakupami, ale biegłam szybko i nie sposób było mnie zatrzymać. Albo może udawałam, że nie poznaję dawnych kolegów. Istnieją nawet przypuszczenia, że być może wyjechałam za granicę, do ojca...

– Twój stary nie złazi z anteny, a to w Zurychu, a to gdzieś tam jeszcze – powiedziała z uznaniem – więc myśleliśmy, że i ty się gdzieś po świecie włóczysz...

– Być może, że wyjadę – powiedziałam blado i obiecałam, że wpadnę na kawę, bo liczyłam w głębi duszy, że pani Lodzia trochę posiedzi przy małym.

– No to przyjeźdź koniecznie – przykazywała mi Gośka, kończąc rozmowę, po czym ja znowu wróciłam do mojej przepierki. Bywają takie pieluszki, które podobno są stale suche, tylko że to zagraniczne i nie zawsze można u nas dostać. Bardzo by mi się przydały, bo bez takich nowoczesnych wynalazków niełatwo być matką. Chociaż, jak stwierdziłam, i tak można się przyzwyczaić. Pomyślałam sobie, że właściwie o te pieluchy to mogłabym poprosić tatę, bo na pewno w Szwajcarii by je dostał, ale czym umotywić takie zamówienie, kiedy przecież on o niczym jeszcze nie wie. Jejku! Wyobrażam sobie, jak będzie zaskoczony. I w ogóle bardzo się boję dalszego ciągu tej całej historii. żeby zupełnie nie zwariować, udaję, że problem nie istnieje i już. No, przecież musi nastąpić jakiś ciąg dalszy – to znaczy... nie, już dosyć rozmyślań. Wróci Witek, to sam coś postanowi...

Koniec prania i rozważań. Pani Lodzia wzywa mnie gwałtownie, abym zajęła się Adasiem. Zaczynam więc karmić go szpinakiem, tak pieczołowicie przygotowanym przez nią, i usiłuję przekonać, że nieładnie jest wypluwać tenże szpinak na czysty śliniaczek. Niestety

moje argumenty nie trafiają mu do przekonania i po chwili i ja, i on jesteśmy usmarowani na zielono tą niezmiernie wartościową jarzynką.

– Ja się zabiję! – wykrzykuję w rozpaczy, kiedy naraz rozlega się dzwonek u drzwi. – Proszę otworzyć, pani Lodziu!

Pobiegłam więc szybko, otwieram drzwi, a za drzwiami stoi jakiś młody mężczyzna, wysoki, opalony i taki wyrafinowany, jakby zagraniczny czy co. Śmieje się do mnie, zęby mu błyszczą takie białe, a on woła:

– Dzień dobry, pani Lodziu!

Wtedy dopiero po głosie poznałam, że to nasz Wituś! A on już wchodzi do przedpokoju, wciąga walizę i jakieś jeszcze bagaże i pyta, gdzie tata, to znaczy pan redaktor, i gdzie Lucynka. A ona akurat wyszła z pokoju i trzymała Adasia na rękę.

– Witek! – krzyknęłam. – Jak dobrze, że już jesteś! – I nie wiem dlaczego, rozplakałam się jak idiotka. A Witek na to:

– Hej! Jak się masz! No, nie bec, Lucynka! Co się z tobą dzieje?! – Pocałował mnie w czubek nosa, bo byłam umorusana tym szpinakiem, i teraz pyta z zimnym cynizmem: – Co to za dziecię tulisz do łona? Może twoje...?

Tego już było za wiele. To ja tu męcę się z dzieciakiem, szukam dla niego ojca, szlajam się po bazarach, wyglupiam się u obcych, Bogu ducha winnych ludzi, posądzając ich o ojcostwo, uciekam przed milicją, piorę pieluchy, zgadzam się na gotowanie szpinaku, występuję tu i ówdzie jako nieślubna matka, a ten udaje nie wiadomo co i żarciki sobie ze mnie stroi. Chciałam mu zaraz powiedzieć to wszystko, ale z rozżalenia nie mogłam słowa wymówić i tylko zaczęłam płakać jeszcze bardziej. Gardło miałam ściśnięte, łzy płynęły mi po policzkach, mały rzytał do wtóru, a Witek stał z bezgranicznie głupią miną.

Zupełnie nie mogłem zrozumieć, o co chodzi i co się tu w ogóle dzieje. Spojrzałem bezradnie w stronę pani Lodzi, która zwykle wykazuje dużo ludowego, zdrowego rozsądku, ale tym razem i ona mnie zawiodła – bo poszła do kuchni i tylko stamtąd dochodził mnie jej cichy szloch. Tymczasem Lucynka płakała dalej i to tak rzewnie, że

wyjąłem z kieszeni własną chusteczkę, aby jej otrzeć łzy, a także zaczerwieniony nos, a to małe też darło się jak najęte.

– Lucynko! – jęknąłem więc. – Przestań płakać, kochanie! Wszystko będzie dobrze! Jestem tu i nie dam cię skrzywdzić! Lucynko, dlaczego nic mi o tym nie napisałaś? Co tata na to? Powiedz mi zaraz, jak się miewa ten nikczemnik! Cóż za podłość, żeby uwieść naiwną, małoletnią dziewczynę! On mi odpowie za to! To jednak już dalsza sprawa. Najpierw muszę dowiedzieć się czegoś bliższego.

Lucynka tymczasem oddała ryczącego dzieciaka pani Łodzi i, wycierając nos, wyjąkała przez tłumiony szloch.

– Przecież ci pisałam o tym, biedny, niezamożny kretynie!

– Pisałaś? – zdumiałem się.

– Wydałam na telegram ponad dwieście złotych!

– Telegram?

– Nie udawaj, że go nie dostałaś! I zamiast odpisać mi po ludzku, przysyłasz jakieś wygłupy! W tak ważnej sprawie!

– Ale jeśli zawiadamiasz mnie w telegramie, że „Adaś u nas w domu stop wracaj”, to przysięgam ci, że nie znam żadnego Adasia ani Adama. I w ogóle skąd tego jakiegoś Adama wzięłaś? Potem pomyślałem, że to przekręcili słowa na poczcie, a że i tak miałem zaraz wracać z całą ekipą, więc wysłałem list. Uspokój się Lucynko, i powiedz teraz, o co ci chodzi. I w ogóle co to wszystko znaczy? Ja ci we wszystkim pomogę! Możesz na mnie liczyć!

– Mogę na ciebie liczyć! – powtórzyłam z goryczą. – Postępujesz ohydnie! Dlaczego udajesz, że nie wiesz, o co chodzi? Dlaczego wyrzekasz się tego biednego, niewinnego dziecka! – zawołałam dramatycznie i wyrywając wciąż płaczącego Adasia z rąk przestraszonej pani Łodzi, podsunęłam niemowlaka pod nos Witkowi.

– Czy to nie jest twój syn?

– Mmmmmój sssssyn? – wyjąkał Witek i spojrzał na mnie oczami, które były zupełnie okrągłe ze zdumienia. – Co ty opowiadasz, Lucynko? Ale skąd?

– A czy ja wiem? Mnie się pytasz?

– Ależ ja nie mam żadnego syna! – krzyknął teraz Witek, oprzytomniawszy nieco. – Skąd wpadłaś na tak niesamowity pomysł. Syn. A to dobre! Co to za jakiś cyrk?

– Jeśli już nie masz odwagi przyznać się do niego, to powinienes wiedzieć, mój drogi, że istnieją dokumenty...

– Jakie znów dokumenty? – Witek zaniepokoił się teraz na dobre. – Co za dokumenty?

– Zaraz ci je pokażę – odpowiedziałam już spokojniej. – Pani Lodziu, błagam, niech pani da jeść małemu, żeby przestał ryczeć, a ja zrobię dla nas herbaty albo kawy. Co wolisz? – spytałam Witka.

– Nic nie chcę! – ryknął teraz Witek. – Dosyć mam wszystkiego. I powiedz mi wreszcie, o co chodzi.

Byłam już wyczerpana nerwowo do ostatnich granic, a Witek też był w nie lepszym stanie. I bardzo dobrze, że pani Lodzia wtrąciła się i powiedziała mu, żeby poszedł do łazienki, umył się po podróży i przebrał, a potem będziemy mogli spokojnie porozmawiać. To znaczy on ze mną.

– Bo nasza Lucynka też już swoje wycierpiała – dodała, patrząc na Witka jak pogromca albo fakir na jadowitego węża.

Za chwilę usłyszałam szmer prysznic i odetchnęłam z niejaką ulgą. Przebrałam się w czystą sukienkę, postawiłam na stole cukiernicę, wypilałam dwie łyżki passi–spazminy, którą pija tato, kiedy jest zdenerwowany, i szykowałam się do rozmowy, w której, jak mi się wydaje, powinnam wykazać rozsądek i dorosłość. Bo chyba pani Lodzia ma rację, kiedy mówi, że mężczyźni są jak dzieci. Położyłam tuż przy sobie, obok filiżanki, dwa niepodważalne dokumenty. List Iwony i metrykę Adasia.

– Nie znam żadnej Iwony Marczak! I nigdy takiej nie znałem! Nie jestem ojcem tego dziecka! To nie jest mój syn! Przysięgam! I jeszcze raz przysięgam! Na pamięć mamy! To ci wystarczy? I nigdy, ale to nigdy żadna dziewczyna nie nazywała mnie jakimś „Winniczkiem”, nie dopuściłbym do tego! Już raczej mówiły „piesku” albo „tygrysku”. Co za pomysł! Jak mogłaś, Lucynko, dać się zrobić w taką jakąś podejrzaną historię? Dlaczego od razu nie zwróciłaś się do...

– Nie zwróciłam się do milicji, prawda? – spytała Lucynka ze smutkiem. – Otóż nie mogłam się na to zdobyć. Jest taki mały, bezbronny i nikt go nie chce. Oczywiście, uważasz mnie za sentymentalną kretykę, ale zrozum! Ja nie mogłam...

Biedna, mała Lucynka wydała mi się w tej chwili tak samo biedna i bezbronna, jak ten podrzucony dzieciak, dla którego próbowała ocalić chociaż jedno z rodziców. Siedziałem i słuchałem tej historii poszukiwań, śmiesznej zarazem i wzruszającej, historii dziecinnie nieporadnych zabiegów.

– Czy na moim miejscu nie starałbyś się także odnaleźć tego ojca? – spytała.

– Może... – odpowiedziałem – ale sprawa nie jest ani prosta, ani łatwa. Trzeba będzie zacząć od zweryfikowania metryki.

– Być może, że trzeba – szepnęła Lucynka, ale bez przekonania.

No i co robić? Witek chciałby oczywiście jak najprędzej wyjaśnić całą sprawę. Zaklina się i przysięga, i szaleje. Muszę mu wierzyć, bo tak w ogóle to on jest uczciwy chłopak i nie dziwię się, że się broni, jeśli nie jest Winniczkiem. Ale jak się to wyjaśni, a prawdziwy ojciec się nie znajdzie, to co będzie?

Na razie piorę w umywalni śpioszki, śliniaczki i kaftaniki, i łyżę mi kapią. Witek, jak tylko pozafatwia wszystkie sprawy, takie najpilniejsze, w dziekanacie i u swojego profesora, bo muszą uporządkować i opracować materiały z ekspedycji, to zaraz leci sprawdzać metrykę. No i przydałby się do tego adwokat, jak twierdzi Witek. Pani Lodzia sama nie wie, czy cieszyć się z tego, czy nie, że Witek odrzeka się od małego.

– Bogiem a prawdą, moja Lucynko, to już się nawet przyzwyczaiłam do tej myśli, że Adaś jest naszym dzieckiem – powiedziała do mnie dziś, wdychając przy tym, pani Lodzia.

Nie bardzo miałam ochotę na tę rozmowę i starałam się ją jakoś zagadać. Nawiazywałam więc do pogody i do tego, że na rynku pokazały się śliczne wiśnie, ale ona uparcie czepiała się tematu.

– Więc właśnie mówię, że już się do tego przyzwyczaiłam, że nie widzę tego domu bez niego. A swoją drogą, chociaż i naszemu Witusiowi wierzę jak samej sobie, to nie mogę zrozumieć, jak to jest

możliwe, jeśli on jest zapisany w urzędzie i na urzędowym dokumencie jako ojciec... Wie Lucynka co? A może on się nie przyznaje, bo się pana redaktora boi i tylko zwleka, żeby jakoś to wykombinować, żeby nie na niego było...

– Witek nie jest taki, sama pani wie! – stanęłam

w obronie brata, ale muszę przyznać, że pani Lodzia podważyła nieco moje zaufanie. W każdym razie sprawa była w zawieszeniu, a ja?

Ja łąziłam jak idiotka zabeczana, bo ile razy Adaś uśmiechał się do mnie, pokazując swoje wspaniałe dwa ząbki, albo wyciągał do mnie łapki – ryczeć mi się chciało i wołałam nie myśleć, co będzie dalej...

Właśnie... co będzie dalej?

– A jak z twoim egzaminem, Lucynko? – zapytał mnie dziś rano Witek. Zdrętwiałam, bo uprzytomniłam sobie, że to przecież niedługo, a ja wciąż mam wątpliwości na temat baroku, rokoko i postimpresjonistów...

– Jakby coś wyszło na nie, to mogę zostać wykwalifikowaną pielęgniarką niemowląt – powiedziałam. – Też dobry kawałek chleba.

Powiedziałam tak na złość Witkowi, bo on uważa, że jestem geniuszem i przyszlą gwiazdą malarstwa polskiego, albowiem nie wyobraża sobie, abym mogła nie przynieść sławy naszemu rodowemu nazwisku. Boję się, że jednak zawiodę jego nadzieje i rozczaruję go. Picasso to ze mnie nigdy nie będzie. Ale mam swoje plany i wiem, czego chcę...

Zdaje mi się, o ile mogłem to zauważyć wśród nawału zajęć, że Lucynka bardzo się zmieniła. Taka mała szczeniara, a rządzi się w domu teraz jak dorosła osoba – „Witek, zrobisz to, Witek, przyniesiesz mleko, Witek, wyluksujesz pokój ojca”. Bo już nie mówię, że każe mi sprzątać mój pokój – pani Lodzia pomaga przy dziecku.

Niełatwo być ojcem, nawet jeśli ojcostwo jest wątpliwe. Ale swoją drogą to niezła historia... Nie mówiłem o tym nikomu, bo ludzie u nas na wydziale żyć by mi nie dali. A może i nie uwierzyliby, że to mogło, się zdarzyć. A jeśli jeszcze przyjdzie na przykład wezwanie o alimenty?... To wszystko jest koszmarnie, bo przecież nie mam z tym nic wspólnego! Będę musiał poradzić się adwokata. Mamy na uniwerku naszego radcę prawnego, ale do niego się nie zwrócę. Za

nic... A na razie muszę siadać do pisania mojej części sprawozdania. Meksyk! Boże, jakie to było cudowne i jakie jest dalekie. Stanowczo rzeczywistość, w której tkwię w chwili obecnej, wydaje mi się za trudna. Nie lubię takich niespodzianek i już. Czy muszę być dorosły i borykać się z jakimiś idiotycznymi sprawami?

Oczywiście jest to pytanie retoryczne i nawet nie próbowałem na nie odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Lucynka poleciała do Goški, więc musiałem sam przyjmować, chociaż nie lubię, bo nigdy nie wiadomo, kto dzwoni i zawraca człowiekowi głowę. I oczywiście nie zawiodło mnie złe przecucie. Kto dzwoni? Beata! Czego chce? Żebyśmy się spotkali! O, nie, co to, to nie, moja ty królewno. Dziękuję. Po pierwsze nie mam czasu na żadne przesiadywanie w kawiarni. A potem jeszcze każesz odprowadzać się do domu, zupełnie jakbyś dotychczas przez co najmniej dziesięć lat sama nie umiała tam codziennie trafić. A potem jeszcze muszę cię całować i to koniecznie w bramie... Żadne takie! Mimo że masz najładniejsze nogi na naszym roku i wuja reżysera filmowego, nie będę odpowiadał na twoje pytania, czy cię kocham.

Oczywiście nie powiedziałem jej tego wszystkiego, bo dopiero by się obraziła, ale wykręciłem się, że jestem zajęty. Naukowo. Zresztą wcale w tym wypadku nie łżę, mam piekielnie dużo roboty.

Odetchnąłem więc chwilę po bezbolesnym spławieniu najpiękniejszej z koleżanek, kiedy znów trrrr! – telefon. Tym razem – Lucynka. Dzwoni od Goški, żeby dowiedzieć się, czy pani Lodzia jeszcze jest. Niestety, pani Lodzia musiała już wyjść, bo ma w domu jakąś robotę.

– W takim razie zajrzyj, tylko po cichutku, do taty pokoju – szepce tajemniczo Lucynka – i gdyby co, to daj mu smoczek. Ja niedługo wracam.

– Nie spiesz się – mówię z dobroci serca, bo już żal mi dziewczyniny. Ani gdzie pójdzie, ani co, tylko dzieciaka niańczy. – Jakoś sobie poradzę – dodaję z nadzieją w sercu, że podrzutek będzie spał i nie zakłóci mojego spokoju. Jednakże po odłożeniu słuchawki skradam się na palcach i zaglądam do pokoju ojca. Mała lampka rzuca słabe światło na wózek, w którym leży ten brzdąc, którego nikt nie chce. I głupio mi się robi, cholernie głupio...

Byłam u Gosi na kawie, którą urządziła dla naszej paczki. Dziewczyny zjawiły się w nowych, szafowych kieckach zupełnie jak na jaki bal, dając słowo. I z różnymi wyglądami – Alicja miała kolczyk – ogromniasty, tylko w jednym uchu – bo mówi, że teraz tak modnie, a poza tym tu i ówdzie naklejone na twarzy jakieś srebrne, błyszczące kropki. Wyglądała trochę jak nie oskrobana do końca ryba. Ale powiedziała nam, że to się nosi w Paryżu. Możliwe. A Teresa w takim niby toplesie – bo pod koronkową bluzką nie miała nic. Nawet biustu. Jednym słowem, jak powiedział Robert – anatomia dla młodzieży. Gośka też chciała jakoś dorównać innym, więc podwiązała na supeł bluzkę, tak, że między białymi spodniami a bluzką w czarne kropki – pokazywała swój okrągły, śmieszny brzuszek, bardzo przypominający brzuszek Misia Colargola albo Misia Uszatka. Wszyscy żeśmy to orzekli zgodnie – ale ponieważ ona zawsze jest pełna wdzięku, więc została królową wieczoru. W ogóle było sympatycznie i wesoło, bo u Gośki zawsze jest dobrze. Jej mama poszła do znajomych, tata miał zebranie, a lodówka pełna pyszności. Wszyscy tylko uważali, że jakoś spsiałam, czyli zmizerniałam. No, myślę – ja już przecież mam dorosłe kłopoty, a oni co? Co oni wiedzą o życiu? I pewnie dlatego wydali mi się tacy jacyś niedorośli.

Oczywiście był też Daniel. Za tydzień zdaje do tej swojej szkoły aktorskiej. Uczęstował nas nawet monologiem Hamleta, który ma zamiar recytować na egzaminie. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnie śmiesznego. Biedny pan William Shakespeare! Zresztą, czy ja wiem? Może Hamlet, królewicz duński, był tak, jak Daniel, białoróżowym blondynem z loczkowaną czupryną i przeżywając swój dramat tak okropnie krzyczał? W każdym razie najważniejsze jest to, że Daniel sam w siebie wierzy. Wierzy do tego stopnia w swój nieprzeparty czar, że kiedy stałam sobie w kącie i zajadałam przepysznościowe lody truskawkowe, oddając się rozkoszom łakomstwa, dopadł mnie tam i wytrzeszczając na mnie swoje oczka, tak podobne do małych, błyszczących guziczków, szepnął demonicznie:

– Dobry byłem, prawda? No powiedz! A ty zostaniesz moją dziewczyną. Będiesz ze mnie dumna.

Żał mi go było, bo wiem, że zlekceważenie swojej oferty odczuje niezmiernie boleśnie, że będzie to cios zadany nie tylko jego dumie własnej, ale także zakłóci to zaprogramowany obraz radosnych najbliższych dni: zdany znakomicie egzamin, pochwały egzaminatorów, podziw kolegów, a także i zazdrość, bo będą musieli mu zazdrościć, a do tego u boku – dziewczyna.

Ta mała Prandotówna, wiecie... córka tego dziennikarza. Mówią, że szaleje za Danielem” – tę ostatnią informację na pewno będzie kolportować mama Daniela...

– Nie, Danielku, nie gniewaj się, ale nie myślę w tej chwili o żadnym chłopcu... (może trochę kłamię, bo gdzieś tam w tle, w dalekim, dalekim tle majaczy mi w sposób zupełnie iluzoryczny piękna sylwetka męska, bardzo przypominająca dostawcę ekspresu do kawy). Otóż, Danielku, nie myślę o żadnym chłopcu, bo... (tu muszę szybko wymyślić jakieś małe łgarstwo, aby nie urazić Daniela, on tak wierzy w swój nieprzeparty czar) bo... nie mam prawa myśleć w tej chwili o moich osobistych sprawach. Moje rodzinne warunki w tej chwili... (jejku, co mówić dalej?) wymagają, abym... no, zresztą to już dość skomplikowana historia... (Uważam, że zabrzmiało to tajemniczo, a Danielowi nie wypada wymagać, abym udzielała mu bliższych wyjaśnień). Ja wiem, że jesteś wart jakiejś wspaniałej dziewczyny i tym bardziej miło mi, że o mnie pomyślałeś...

Byłabym dalej jeszcze brnęła, ale na szczęście podeszła do nas Teresa, żeby zaproponować posłuchanie paru dobrych płyt, które Robert przyniósł... Ja na to zareagowałam z entuzjazmem największej melomanki w PRL i w ten sposób cała pogaduszka z Danielem rozeszła się po kościach. Ale swoją drogą wcale nie wykluczam, że chciałabym kiedyś być czyjąś dziewczyną...

Myślę, że jednak jest prawdą, że artysta musi cierpieć, aby dojrzał jego talent. I w ten sposób traktuję tę bolesną rozmowę z Lucynką. Bolesną, myślę, przede wszystkim dla niej, bo widziałem, że jest to dla niej rozmowa trudna... Ja też muszę to znieść i przeboleć... Chociaż być może jeszcze losy nasze się splotą... Na razie jestem zmartwiony, bo ona jest naprawdę inteligentna, ocytana i dobrze się z nią rozmawia, chociaż nie jest pozbawiona złośliwości i czasem kpi sobie

ze mnie. Mama mówi, że ona jest dziewczyną, która ma klasę. A mama zna się na tym. I mama zawsze mówi, że nie chciałaby, żebym się włóczył z byle kim. Oczywiście, że w swoim snobizmie najbardziej by się cieszyła, gdybym pokazywał się w świecie z córką firmy Renault czy na przykład z wnuczką Picassa. Ale na razie gotowa jest zadowolić się z Prandotówną. Poza tym gotów jestem uwierzyć w rodzinne kłopoty Lucynki, bo bardzo zeszczuplała i zmizerniała. Ale i tak jest ładna...

Kiedy wróciłam do domu, Witek jeszcze siedział w swoim pokoju i pisał. Jakies sprawozdanie z ich wyprawy. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc tylko przyniosłam mu do pokoju zimne mleko z lodówki, a potem zajrzałam do małego. Właśnie zaczął się budzić, więc przewiniłam go, dałam smoczek do buzi i byłam już po minionym dniu taka zmęczona, że zaraz poszłam spać. Jutro... jutro powinnam porozmawiać z Witkiem. Ja wiem, że on szaleje, kiedy napomykam o wyjaśnieniu tej sprawy, ale i mnie też nie jest łatwo. A poza tym trzeba przecież myśleć o tacie...

Montreux, 27 czerwca...

Droga Lucynko,

wysyłam kartę z Montreux. Jest tu cudownie, jak w bajce. Przywiózł mi tu na małą wycieczkę attache z naszej ambasady. Na karcie jest zdjęcie zamku Chillon, o którym pisał Byron. Czy słuchałaś transmisji z meczu w Bernie? Kupiłem ci coś ładnego, wracam za parę dni. Zadzwoń do radia, będą wiedzieli dokładnie. Całuję – twój Tata.

Oczywiście, że natychmiast po otrzymaniu kartki zadzwoniłam do radia. Witek stał przy mnie okropnie zdenerwowany, bo wolałby, żeby historia tej metryki dała się wyjaśnić przed powrotem Taty. Ale w redakcji powiedzieli, że tymczasem nie mogą podać terminu, bo są jakieś zmiany w kalendarzu spotkań piłkarskich, więc nie wiadomo, czy Tata nie będzie musiał niespodziewanie dołączyć do naszej ekipy i z nimi jeszcze gdzieś pojechać.

– Cieszyłbym się z tego fartu naszego staruszka – powiedział Witek, kiedy mu to powtórzyłam – ale nade wszystko ważne jest, że zyskujemy nieco na czasie...

– Jesteś ohydny egoistą – krzyknęłam – nie myślisz o Tacie, tylko o tym, aby się jakoś wymigać z kłopotu. A w dodatku wcale się nie zabierasz do załatwiania sprawy.

– A ty znów jesteś aniołem dobroci. Zbierasz jakieś podrzutki, a potem chcesz, żeby inni się o to martwili!

Tego już było za wiele!

– Jeśli tak – zawołałam – w takim razie nie martw się o to biedne dziecko! Zabiorę je i pójdę z nim w świat!...

– Proszę bardzo! – powiedział Witek, po czym dodał: – Przestań odgrywać sceny jak z marnego filmu, tylko pomyśl lepiej, co mamy robić.

Ale mnie na razie nic mądrego nie przychodziło do głowy. A że w chwilę później zjawiała się – jak anioł opatrności – nasza pani Lodzia, postanowiłam skorzystać z tego i zostawiając sprawy gospodarskie na jej głowie, pojechać na spacer z Adasiem. Bo naprawdę był bardzo bledziutki. A że Witek też musiał zaraz gnać do swojego profesora, więc pomógł mi znieść wózek ze schodków, tych na dole. W przejściu spotkaliśmy naszą dozorczynię, czyli gospodynię domu. Przystanęła i uważnie przyjrzała się małemu, po czym oświadczyła autorytatywnie:

– Ale podobniście do mamusi, jak dwie krople wody... To synek czy córeczka?

– Synek – odpowiedziałam automatycznie i jęknęłam żałośnie, bo w tymże momencie Witek boleśnie przydeptał mi nogę.

– Uważaj! Zmiażdżyłeś mi stopę.

– To lepiej ty uważaj, co mówisz – mruknął ponuro Witek. – Synek! A czyj? Oczywiście, że twój.

Tak, odpowiedziałam rzeczywiście bardzo lekkomyślnie, bo kiedy w godzinę później wracaliśmy z Adasiem ze spaceru, zarówno w bramie, jak i na schodach spotkałam kolejno trzy nasze sąsiadki, które pozdrowiały mnie z wyraźnym zainteresowaniem. A nawet jedna spytała ze słodyczą:

– A dobrze się synuś chowa?

– Tak sobie, dziękuję – odpowiedziałam grzecznie.

- Pani widziała tę Lucynkę? Z wózczykiem...
- Może wyszła na męża?
- Dozorczyni przysięga, że nie.
- Co pani mówi!

– Lucynka?

– Cześć, Beśka! Już wróciłaś?

– Wróciłam! Było fajnie, pogoda na medal. Niewykluczone, że jeszcze pojedę. Ale jak u ciebie, gadaj! Miałam wyrzuty sumienia, że cię zostawiłam tak samą z twoim kłopotem, ale jakoś już to załatwiłaś, co? Znalazłaś tego Winniczka?

Ze względu na Witka nie miałam teraz zamiaru wtajemniczać jej, jak sprawa wygląda. Odpowiedziałam więc ni to, ni owo, że jesteśmy na dobrym tropie i prawdopodobnie wszystko się wyjaśni lada dzień. To ją ucieszyło i zapowiedziała, że wpadnie jutro. Ja jednak wolałam ją delikatnie spławić. Wiem, że ani Witek, ani ja nie wytrzymalibyśmy nerwowo, gdyby nie podejrzewająca prawdziwego stanu rzeczy Besia zaczęła snuć swoje domniemania. Na pewno w dobrej wierze i z całą życzliwością dla nas. I przykro byłoby, gdyby właśnie wskutek tej życzliwości doprowadziła nas do tego, że mielibyśmy ochotę skrócić jej kark.

Powiedziałam więc ze słodyczą, że zadzwonię do niej jutro albo pojutrze, to się jakoś umówimy.

– A jak się miewa mały? – dopytywała się.

Zapewniłam ją więc, że jest zdrowy, tylko trochę blady.

– Biedactwo – westchnęła Besia.

A ja razem z nią, tylko że po cichutku. I odłożyłam słuchawkę. Jestem zdenerwowana, bo Witek ma wreszcie rozmawiać z prawnikiem.

Dzwoniłem dziś do adwokata, którego polecił mi jeden z moich kolegów. Jego ojciec jest prawnikiem, więc prosiłem, żeby mi wskazał kogoś, kto mógłby się podjąć tak delikatnej sprawy, jak dochodzenie ojcostwa.

– Hej, stary! – mój kolega spojrzał na mnie podejrzliwie. – Masz taki kłopot?

– Coś ty! – odpowiedziałem udając nieskrępowaną swobodę. – Chodzi, uważasz, o kumpla, z którym znam się jeszcze z ogólniaka.

W rezultacie dowiedziałem się jedynie, że pan mecenas jest na urlopie i wraca za tydzień. Głupio, że ta sprawa przewleka się, ale jednocześnie może i lepiej, bo w tej chwili zważyło się na mnie tyle roboty, zarówno w instytucie, jak i w naszym kole naukowym. Właściwie ten mały tak okropnie nie przeszkadza, żeby nie można było wytrzymać jeszcze kilka dni. Tylko że merytorycznie trzeba to załatwić... Jest to historia przykra i gnębiąca, a poza tym absurdalna...

Dostałam znów trochę grosza z redakcji za dawne transmisje, które prowadził ojciec, więc mamy na razie dosyć na gospodarowanie. Jakie to dziwne, że właściwie obecność Adasia w naszym domu stała się jakby czymś normalnym. Stworzył się pewien porządek dnia, oczywiście przystosowany w pewnej mierze do małego, ale nie było to trudne. Na przykład Witek zupełnie dobrze wciągnął się w ten rytm i ofiarował się, że będzie załatwiał niektóre zakupy. Dotychczas robił to raczej niechętnie. Uważał, że jest wyższy ponad tak pospolite sprawy, jak bieganie do sklepu. Witek czasem potrafi mnie zaskoczyć, dając słowo. Tak właśnie jak dzisiaj. Mieliśmy siadać do obiadu, kiedy usłyszałam, że mały nie śpi, więc poszłam zajrzeć do niego. Podchodzę do wózeczka, patrzę, a Adaś trzyma w łapce – grzechotkę i potrząsa nią z zachwytem. Skąd ta grzechotka? Odwróciłam się, a Witek stojąc w progu burknął:

– Zdaje mi się, że dziecko powinno mieć coś takiego...

Uśmiechnęłam się do niego i wyraziłam aprobatę kiwnięciem głowy. Jasne, że dziecko musi mieć grzechotkę! Jedząc obiad, który nam tego dnia ugotowała pani Lodzia, słyszeliśmy dźwięk grzechotki, okrzyki, i piania jej uszczęśliwionego posiadacza. Ale nie rozmawialiśmy o tej ciężającej nam sprawie. Nie, przecież wiem, że za dwa czy trzy dni Witek porozmawia z adwokatem i nabierzemy jakiegoś poglądu. W każdym razie coś się wyjaśni. Ale co się wyjaśni? Co to wyjaśnienie przyniesie temu półrocznemu człowiekowi? Gdzie będzie jego dom?

Omijamy starannie ten temat, udajemy, że w tej chwili nie ma sprawy. Pijemy herbatę po obiedzie, a potem Witek idzie do swojego pokoju, do roboty, a ja wybieram się z małym na spacer. Do Łazienek. Tak, dziś pojedziemy do Łazienek, jest jeszcze dosyć wcześnie i takie piękne, ciepłe popołudnie... I pewnie lipy będą pachniały...

Ależ tak, pachniały cudownie, miodem, i przypominały zapach wsiowego sadu, w którym kiedyś latem mieszkałam z mamą... Całe powietrze przepelnione było tym zapachem, a ja dreptałam po ciepłym piasku na bosaka i robiłam klomby w ogródku dla misia. „Lucynko – powiedziała mama – niedługo będziesz miała małego braciszka albo może małą siostrzyczkę...”

Popychając wózek Adasia, zawędrowałam aż do samego pałacyku, a potem usiadłam w bocznej alei. Widać stąd staw połyskujący, jakby był w złote plamki, a białe łabędzie rozkładały skrzydła i wtedy wyglądały jak ogromne, rozkwitające kwiaty. Cicho tu było i dobrze. Ogarnęła mnie lekka senność i to rozmarzenie, które może ogarnąć człowieka tylko wtedy, kiedy jest w ogrodzie albo w lesie, albo na łące. Małego też, widać, uspiło to wonne, łagodne powietrze, bo usnął i wyglądał tak wzruszająco, tak bezbrinnie... zaczęłam się bać tego, co będzie dalej... Wróciłam więc do domu smutna i przygnębiona.

Witek przy kolacji też prawie nic nie mówił, zjadł spiesznie i miał zamiar wrócić do roboty, kiedy zadzwonił telefon – to był jeden z kolegów ojca z redakcji. Właśnie przed chwilą rozmawiali z nim i na jego prośbę dzwonią do nas – ojciec ma towarzyszyć naszej ekipie piłkarzy podczas jeszcze dwóch towarzyskich spotkań w Szwajcarii, a następnie jedzie z nimi na trzy dalsze spotkania do Portugalii i Maroka!

– Dzięki, dzięki panie redaktorze, za tę nowinę – skończył rozmowę Witek, a potem powiedział do mnie: – Ale to szlagier stulecia! Nasz staruszek wchodzi na antenę jako zagraniczny sprawozdawca! – I powtórzył mi już dokładnie całą rozmowę.

– Tym bardziej nie możemy mu zepsuć jego radości jakimiś kłopotami – powiedziałam. – Musimy załatwić to sami.

– Tak – zgodził się posępnie Witek – tylko jak?

„Załatwić” mówi Lucynka, tylko wciąż się pytam – jak? Oczywiście, czekam na adwokata! Żebyśmy zdążyli chociaż jakoś wyjaśnić tę całą sprawę metryki przed powrotem ojca. Bo, dalej to już coś... Nie, nie wiem, co będzie dalej, ale może znajdzie się jakieś rozwiązanie.

Fatalne jest to, że wszystko może się przeciągnąć. A przy tym jeszcze Lucynka ma egzamin. Jest tak zaabsorbowana bieżącymi sprawami, że zupełnie jakby zapomniała, że ma zdawać.

Witek ma bez wątpienia rację, że powinnam sobie uprzytomnić, że czeka mnie egzamin. Na pewno będzie dość ciężki. Domyślam się tego, bo chociaż przyjęto moją tekę z pracami dotychczas zrobionymi, to jednak, jak widziałam to, co przynosili inni, szanse moje są niezbyt wielkie. Niektóre płótna i kartony w zestawieniu z moimi bazgrołami wyglądają na dojrzałe i śmiałe... A moje, kiedy teraz pomyślę o nich tak nieco krytyczniej, wydają mi się bardziej zbliżone do makatek z jeleniami niż do czegoś, co by przypominało malarstwo. Tylko że ja składając papiery od razu zazaczyłam, że nie zamierzam uprawiać samodzielnego malarstwa, tylko chcę być konserwatorem dzieł sztuki. Ale i do tego trzeba przecież mieć jakie takie pojęcie o malarstwie, rzeźbie, architekturze, tkaninie... bo ja wiem, czy moje wiadomości są wystarczające?

Zadzwoiłam więc dzisiaj do sekretariatu akademii i dowiedziałam się, że egzaminy będą za dziesięć dni. Już za dziesięć dni! Ogarnia mnie panika. Dziesięć dni! Co robić? Wiem, że tylko spokój może mnie uratować, jak zwykł mawiać tata. Spokój i jeszcze raz spokój. Przede wszystkim muszę sama zrobić sobie mały egzamin – z historii sztuki – wiem, że mam ogromne luki. Są epoki, których nigdy nie zdołam opanować. Podobno pytania bywają zaskakujące, jak mówią niektórzy, zupełnie nie na temat! Pytania na inteligencję, na sprawdzian zainteresowania kulturą i sztuką z ostatniej chwili...

Dostaję gęsiej skórki ze strachu. Powinnam zrobić spis materiału, który należy przejrzeć. Powinnam więcej wiedzieć o sztuce starożytnej... powinnam... powinnam...

Co tu sobie opowiadać. Powinnam wziąć się w garść i nie histeryzować, tylko ryzykować. Podobno zawsze przed takim ważnym egzaminem człowiekowi zdaje się, że nic nie umie. A jeśli się tak nie

zdaje? Jeśli naprawdę ma się kolosalne luki? Nie jest oczywiście aż tak, żebym nic a nic nie wiedziała na temat, ale znowu – nie żeby za dużo. Encyklopedią wiedzy o sztuce to ja nie jestem. Tak to należy określić, spoglądając śmiało prawdzie w oczy.

Mówię to wszystko Witkowi, a on mi na to, że jak zwykle przesadzam. Że będzie wszystko dobrze.

Spróbuję w to wierzyć. Tymczasem, korzystając z tego, że pani Łodzia przyjdzie przed południem, skoczę do Biblioteki Uniwersyteckiej i coś niecoś poczytam. I oczywiście zrobię sobie notatki. Może nawet zadzwonię do Besi, to razem polecimy na uniwersytet.

– Trrr – dzwoni telefon. Czy to nie telepatia? To właśnie Beśka. Mówi, że też nic nie umie, a powinna podobno wiedzieć to i owo o Bliskim Wschodzie. Umawiam się więc z nią pod uniwerkiem. Przed wyjściem umawiam się także z panią Łodzią, że zaczeka do mojego powrotu i da małemu zupkę i sok z marchewki. Zaglądam do brzdąca i wołam: pa! pa! – ale Adaś jest najwidoczniej senny, bo nie macha rączką.

– Ciao! Pani Łodziu! Wracam piorunem!

No i Lucynka poleciała, jak ten wicher. Co się dziwić. Młode to, to ją nosi. Do uniwersytetu, powiada, musi zajrzeć. Ja tam się nie pytam, dokąd idzie. Wołałabym jednak, aby wróciła na czas, bo muszę dziś być w domu na trzecią. Hydraulicy mają przyjść, bo u nas rury zmieniają. Jakby mnie nie było w domu, to jeszcze coś tam zmajstrują i mieszkanie mi zaleje. Dam temu małuśkiemu jeść, a potem wystawię wózek na balkon – niech dziecko chociaż trochę powietrzem odetchnie. Ale taki dziś jakiś smutny, nie pokrzykuje, nie woła po swojemu! Ciepło jest, to może przez to taki senny.

Nic nie pytam, jak to z Witusiem i z tym dzieckiem sprawa ma się ułożyć, bo nie chcę się wtrącać. Oboje – Wituś i Lucynka – jakby posmutnieli. Być może Wituś, chociaż i magistrem niedługo będzie – boi się ojca. Co prawda według mnie to nie jego wina. Tylko tej Iwony czy jak jej tam... Ale aż boję się pomyśleć, co to będzie, jak nasz redaktor wróci. Panicznie się boję. A tu znów telefon – przyjmuję, bo nigdy nie wiadomo, kto dzwoni. Może być ważna sprawa.

A jakże, ważna sprawa! To ten Daniel, czy jak mu tam, do Lucynki się dodzwania. Nie mam niby nic przeciwko niemu – owszem, grzeczny jest, zamożny z domu, tylko że matka aktorka... Taka więcej wyrafinowana kobieta... A ubiera się! Chociaż dzisiaj to i starsze osoby ubierają się młodzieżowo...

Jednak pani Lodzia jest kochana, że została z małym. Ja przynajmniej trochę dziś popracowałam. Beśka oczywiście spóźniła się. Więc nie czekałam na nią, tylko w szatni zostawiłam kartkę. Widziałam potem, jak przyszła i coś tam też zamówiła. Ale ludzi dużo i na książkę trzeba poczekać, więc podczas tego czekania umówiliśmy się, że razem wyjdziemy. Ja właściwie miałam zamiar posiedzieć trochę dłużej, to znaczy do drugiej, żeby zdążyć przed wyjściem pani Lodzi, bo mnie o to prosiła, ale Beśka błagała, żeby chociaż pół godziny wcześniej, to mi coś powie niezmiernie ważnego.

Myślałam, że oszaleję. Ja tu czytam właśnie o surrealizmie, a Beśka daje mi znaki, pokazuje na zegarek, że czas wyjść. I oczywiście, jak ostatnia kretynka, dałam się namówić i wyszłam razem z nią. A ona mi mówi:

– Po pierwsze zakochałam się, jak mi się zdaje, szalenie, a po drugie lecimy teraz do „Juniora” i „Sawy, bo dziś mają sprzedawać jakieś superciuchy z importu! Rozumiesz?

– Nie rozumiem – mówię jej na to – gadaj, w kim się zakochałaś?

– W takim jednym – i Beśka robi tajemniczą minę. – Wydaje mi się, że to będzie poważne uczucie.

– Ale kto to jest?

– On zdaje na prawo. Nosi brodę. Poza tym zamierza być dziennikarzem.

– Oszalałaś? – gaszę jej zapał. – Brodę nosi? To przecież okropne!

Beśka jest innego zdania. Oczywiście zmieniła je dopiero co, bo dotychczas też nie znosiła takich z brodą.

– Ależ moja droga, on wygląda cudownie. Być może, wyjdę za niego wkrótce...

– Musimy jeszcze o tym pomówić – zapowiadam srogo. – A co na to twoja mama?

Nie zdołałam się dowiedzieć, co o brodaczu zdającym na prawo sądzi mama Besi, bo w tejże chwili zobaczyłyśmy Gośkę i Zużę. Obydwie były ogromnie podniecone.

– Czy wiecie – wołały do nas z daleka – czy wiecie? Alicja zaręczyła się!

To było coś! Pierwsza z naszej klasy!

– Z kim? – pytamy. – I czy naprawdę, czy tylko tak na trochę?

Bo można się zaręczyć tak na niby, można na zobaczenie, co będzie dalej, i można zaręczyć się naprawdę, to znaczy, kiedy narzeczony stara się o jaki taki pierścionek i gnają do USC załatwiać formalności oraz ustalić datę ślubu.

Gośka zaczęła więc przysięgać, że to są zaręczyny jak najbardziej prawdziwe. Pierścionek – mówiła jej sama Alicja przez telefon – autentyczny, może nawet nie taki drogocenny, ale staroświecki, podobno pamiątka rodzinna. Kamień jasnozielony. Nie, nie szmaragd, tylko jakiś inny. A do tego po bokach dwa diamenty. Nieduże, ale niech będzie, dobry i taki, byle sprawa przedstawiała się poważnie.

– Mniejsza o pierścionek – mówię – opowiadaj o narzeczonym. Widziałas go?

– Nie, nie widziałam. Ale Alicja mówiła, że dosyć przystojny. Ale najważniejsze jest to – dodaje Zuzka – że on jest zagraniczny. Francuz.

– Francuz?

Jesteśmy skonsternowane, bo nie wiadomo dlaczego wyobrażałyśmy sobie, że jeśli zagraniczny, to będzie to jakiś wspaniały kowboj. Ale Francuz?...

– Przystojny?

– Mówię ci, że Alicja twierdzi, że jest dosyć przystojny.

– To znaczy, że nie bardzo – zauważa Beśka. – Jakby był przystojny, toby powiedziała, że szalenie piękny.

Przyznajemy jej rację, ale ja uważam za stosowne zaznaczyć, że ważny jest również dobry charakter oraz bodaj słabe przebłytki inteligencji. Ponadto dowiedziałyśmy się, że jest dość zamożny i że ma na imię Jean-Paul.

– Jean-Paul – powtórzyła Zuzka – cholernie zagranicznie to brzmi. I wyobraźcie sobie, że Alicja już nie będzie zdawać na studia. „Bo i po co? – powiedziała mi – przecież i tak bym nic nie skończyła. Nie mam

głowy do uczenia się. Wystarczy, że będę musiała jakoś we francuskim się podciągnąć”. Ale poza tym jest cała w skowronkach.

Nowina poruszyła nas. Rozgadane, dotarłyśmy wreszcie do sklepów „Centrum” i tu, wciągnięta przez Besię i Zuzkę, nie zdołałam się oprzeć pokusie i nabyłam zupełnie niezłą kciekę – import, płótno, prosty krój z kieszeniami, niepodważalny sportowy szyk. Nie za darmo, bo co dzisiaj dają za darmo? Ale owszem, można się w niej pokazać. Jeszcze dziś po południu włożę ją i spotkam się może z kimś... Bo ja wiem, z kim? Nie, nie spotkam się z nikim, ale w każdym razie wyjdę chociaż na spacer z Adasiem. Jako domniemana młoda matka będę wyglądać elegancko i dystygowanie.

Wśród tych wygłupów zapomniałam zupełnie, że miałam na czas wrócić, że pani Lodzia czeka i że w ogóle nie powinnam była tak się zabałaganić. Krzyknęłam więc tylko do dziewczyn – Hej! hej! – i pognałam na przystanek autobusowy. A tam – tłum ludzi. I w dodatku nie widać nic na horyzoncie. Moja rozpacz sięga szczytów, macham rozpaczliwie na mijające mnie auta – może kto się zlituje i zabierze młodą matkę, która spieszy się do niemowlęcia?

No i warto było machać, bo oto zatrzymuje się przede mną zupełnie niezłe białe renault, drzwiczki otwierają się i jakaś męska pomocna dłoń zaprasza mnie do środka.

– Dzięki! – krzyknęłam. – Jest pan cudowny!

– Powtórz to raz jeszcze – odezwał się na to tak dobrze mi znany głos i wtedy dopiero zorientowałam się, że siedzę obok Daniela.

– Zwabiłeś mnie podstępnie – powiedziałam na to – ale ponieważ się spieszę, więc jestem gotowa poniżyć się ohydnie i powtórzyć, że jesteś chwilowo cudowny. Poza tym błagam cię, jedźmy co koń wyskoczy na Polną, bo pani Lodzia mnie przeklnie. Jest piekielnie późno.

Nie przekłęta jednak, tylko stała już na dole, przed bramą, przestępując z nogi na nogę i wypatrując mnie niczym rycerz polski na rubieży, wypatrujący pohańskich najeźdźców. Przesłaniała nawet oczu ręką od słońca.

– Jestem! Już jestem! – krzyknęłam więc wyskakując z auta. – Przepraszam, pani Lodziu!

– No, całe szczęście, że Lucynka wreszcie się pokazała – oświadczyła chłodno pani Lodzia. Była trochę zła i będę ją musiała jakoś

przebłagać. – Ja tu czekam i już lecę. A jeśli chodzi o dziecko, to nakarmione, przewinięte i śpi. Tylko że taki jakiś dziś ten malutki jakby nieswój...

– Dobrze, dobrze, pani Lodziu! Dziękuję i przepraszam – jękałam się, bo dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że Daniel stoi obok i słyszy wszystko o tym dziecku. Oczywiście, on jest na tyle tresowany, że nie zaczął się dopytywać, o jakie dziecko chodzi, ale dostrzegłam w jego wzroku niejaki ożywienie i zainteresowanie.

– Dzięki, Danielu, zbawco! – powiedziałam, podając mu rękę, a on przytrzymał moją dłoń i szepnął jak amant na scenie:

– Zawsze możesz na mnie liczyć, Lucynko!

– Dobra – zawołałam – hej! I pognałam na górę.

Mały spał. Buzię miał zarumienioną i jakoś mocno oddychał. Zaniepokoiło mnie to i dotknęłam jego policzka. Był mocno ciepły. Może to po prostu z upału. I obiecywałam sobie, że kiedy pojedę z nim do ogrodu, pobędziemy trochę na powietrzu, wśród zieleni, to dzieciak poczuje się lepiej.

Zjadłam więc obiad zostawiony przez panią Lodzie, bo Witek miał jeść na mieście, i zaczęłam oglądać i przymierzać tę nową kieckę. Był to niezły zakup i jestem pewna, że tata nie będzie mi go miał za złe. Podziwiałam więc po raz nie wiadomo który moją wcale niezłą sylwetkę, kiedy usłyszałam, że mały zaczyna płakać.

– Już, już biegnę, kochanie – zawołałam, szybko zdjęłam sukienkę, złapałam po drodze szlafrok i pobiegłam do małego. Wzięłam go na rękę i poczułam, że buzię, a także rączki ma bardzo ciepłe, jeszcze cieplejsze niż poprzednio. Spróbowałam więc dać mu mleka z butelki, ale nie chciał, odtrącał ją, wiercił się na pościeli i płakał coraz bardziej. Nie wiedziałam, co począć, bo zaczęłam sobie zdawać sprawę, że mały jest chyba chory. Ale co się robi wtedy, kiedy taki maluch jest chory? Zadzwoiłam do Beśki, jako doświadczonej posiadaczki małych siostrzenic.

– Chyba musisz mu zmierzyć gorączkę – poradziła.

– Kiedy nie wiem, jak to zrobić, bo przecież nie utrzyma termometru pod pachą!

Besia pominęła milczeniem moją uwagę i tylko dodała, że zdaje się, że można dać naparu z rumianku, taką herbatkę, lekko osłodzoną, żeby chciał wypić.

Tak, niewiele się dowiedziałam. Ale trzeba spróbować z rumiankiem. Na szczęście właśnie Witek wrócił do domu, więc go zaraz pogałam do apteki.

- Kup paczkę rumianku – poleciłam.
- Jak to paczkę? – zdziwił się.
- Oni w aptece wiedzą, że rumianek jest paczkowany...
- Ale po co ci rumianek? Sama nie możesz iść?
- Mały jest chory, rozumiesz? I weź jeszcze ze dwa smoczki...
- Smoczki? Mam kupić smoczki? Ale gdzie?

W aptece była dość długa kolejka i czekałem kawałek czasu, zanim dotarłem do okienka i poprosiłem o rumianek.

– Jedną paczkę?

Czy Lucynka mówiła, ile paczek? Zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć. Ale jeśli mam drugi raz chodzić, bo będzie za mało, to lepiej wziąć od razu więcej. Poprosiłem więc o pięć. Pani magister wypisała kwitek, kiedy uprzytomniłem sobie, że jeszcze mam nabyć smoczki. Powiedziałem więc, pochylając się ku niej, prawie szeptem:

– Pięć smoczków!

Spojrzała na mnie z niejakim zdziwieniem, a ja dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że miałem kupić dwa. Ale trudno, a ona powtórzyła głośno, tak że na pewno wszyscy usłyszeli:

– Pięć paczek rumianku i pięć smoczków.

Poczułem, że się czerwienię i nie miałem odwagi spojrzeć na tych, co stali za mną, bo wyobrażałem sobie, że patrzą na mnie i wiedzą od razu, że mam dziecko, które nie jest moim dzieckiem albo że jest to moje własne, do którego nie mam zamiaru się przyznać. Nie, nie! Staję się jakoś okropnie zakompleksiony na temat dzieci. Pomknąłem więc chyżo do kasy, aby jak najprędzej opuścić aptekę, kiedy tuż po otrzymaniu kwitka poczułem, że ktoś dotyka mojego ramienia. Odwróciłem się gwałtownie. Był to mój kolega z liceum, Maniuś.

– Cześć, Witek – zakrzyknął w tonacji raczej radosnej – cześć! Ale spotkanie! Tyle czasu nie widzieliśmy się! Wychodzisz już?

Wymamrotałem, że tak, wychodzę, tylko muszę odebrać paczkę z okienka. A ta okrutna kobieta w okienku, bo chyba tylko kobiety potrafią być tak okrutne – mówi z taką wyrafinowaną, jakby to określiła pani Lodzia, uprzejmością:

– Proszę, to dla pana, rumianek i pięć smoczków.

– Co ty? – zakrzyknął Wtedy Maniś, który na nieszczęście stał obok i usłyszał to. – Co ty? Pięcioraczki masz? Chłopie! A to niespodzianka! Bo ja mam tylko na razie córeczkę! Słuchaj, a nie wiesz, gdzie można dostać te wysychające pieluszki?

Zdrętwiałem, bo zdałem sobie sprawę, że entuzjastyczne okrzyki Maniusia zwróciły na mnie uwagę oczekujących. A nawet ktoś powiedział: „Tak, tak, młodo się teraz ludzie żenią...”

Czułem się zupełnie idiotycznie. Maniś ciągnął dalej opowieść o zaletach i niezwykłości swojej córeczki, a ja idąc do wyjścia nie śmiałem spojrzeć na tych z kolejki. Kiedy jednak spojrzałem, doznałem szoku. Ci ludzie uśmiechali się do mnie i do Maniusia – życzliwie! Poczulem teraz dla nich szaloną wdzięczność! Czy to nie cudowne, że się właśnie tak uśmiechnęli? Byłem więc jakoś już bardziej podniesiony na duchu, a Maniś ofiarował się odprowadzić mnie do domu. Po drodze udzielił mi rozległych informacji o swoim małżeństwie. Ożenił się z tą rudą Hanką z naszej klasy, z tą, która miała chroniczną dwójkę z historii. Przy pożegnaniu wyraził nadzieję, że chyba teraz będziemy się częściej widywać, a nasze dzieci będą się ze sobą bawiły. Obiecałem więc, że zadzwonię. Mieszkał jak dawniej, u swoich rodziców.

– Czekamy na M-3 – powiedział z dużą dozą optymizmu.

Ależ ten Witek jest nieprzytomny. Po co kupił pięć paczek rumianku? I pięć smoczków. Ale niech będzie. Naparzyłam zaraz rumianku, zrobiłam z niego taką lekką herbatkę i dałam małemu. Pił bardzo chętnie, widać, miał pragnienie, a zaraz potem zasnął. Może to do jutra przeminie? Może już jutro będzie zdrow? Witek też zajrzał.

– No i co? – spytał szeptem. – Lepiej mu?

Skinęłam głową i wyszliśmy do kuchni, żeby nie obudzić małego. Zrobiłam dla nas herbaty i jakieś kanapki, ale nie mieliśmy apetytu.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, zamyśleni, każde po swojemu, aż wreszcie Witek odezwał się.

– A wiesz? – powiedział – Maniś mi mówił, że w niektórych sklepach można dostać takie pieluszki szybko wysychające...

Spojrzałam na niego przerażona, bo pomyślałam, że ostatnie przejścia odbiły się tak niekorzystnie na stanie jego umysłu, ale wyprowadził mnie z błędu.

– Jak to, nie pamiętasz Maniusia? Tego z mojej klasy?

Maniś. Ależ tak, pamiętam go doskonale. Przychodził do nas. Niski brunet, poszedł na elektronikę. Każę Witkowi, żeby zadzwonił do Maniusia i jeszcze raz dobrze wywiedziało się o te schnące pieluszki. Nie, ja nie będę dzwonić, Witek jest ojcem, to niech dzwoni...

Wreszcie odprężyliśmy się nieco. Mały śpi, jakby trochę lżej oddycha. Odnaleźliśmy gazetę i szukamy tych audycji radiowych, w których usłyszymy tatę.

– Należy mu się trochę tej frajdy, że robi te więcej atrakcyjne mecze – mruknął Witek – dostaniemy chyba jakieś karty z pięknymi widokami... Przepadam za nimi...

Oczywiście, że najlepiej będzie wysłać do Lucynki i Witka jakieś piękne widokówki. List nie wiadomo, jak szybko dojdzie. Chyba ja będę sam wcześniej w Warszawie. Myślę, że słuchają radia. Swoją drogą dobrze jest mieć kogoś bliskiego, kto nas słucha. Ciekaw jestem, czy Witek już wrócił. Myślę, że pieniędzy mają dosyć, bo prosiłem w redakcji, żeby postarali się wypłacić Lucynce wszystkie zaległości. Jak wrócę – będziemy szaleć. Najpierw we trójkę, a potem zrobimy wspaniałą kawę dla przyjaciół. Tak jakoś przez ostatni rok odsunąłem się trochę od ludzi, zaniedbałem różne przyjaźnie. Tak to było. A mogło być inaczej, gdyby nie... Nie chcę już wracać do tamtej sprawy. Zbyt wielka rozbieżność zainteresowań nie jest jednak rzeczą dobrą... A poza tym chciałoby się znaleźć trochę ciepła, trochę życzliwości, serdeczności...

Mniejsza o to, w tej chwili nie jest to najważniejsze... nie, nie oszukujmy się... to właśnie jest najważniejsze dla niektórych osobników. Na przykład takich jak ja. Ale teraz nie ma o czym mówić. W tej chwili cieszę się z tych moich wypadów w szeroki świat.

Ogromna szkoda, że Myszka nie mogła się ze mną zobaczyć. Przysłała mi swoją fotografię, wierzyć się nie chce, że to przeszło sześćdziesięcioletnia kobieta! Wygląda na moją rówieśnicę! Naprawdę. Muszę to jej napisać. Ona lubi, kiedy się ją podziwia... A może lepiej, że się z nią nie widziałem? Pewnie uniknąłem w ten sposób czegoś, co by mnie zasmuciło... Zresztą... my się przecież prawie nie znamy... Nie, nie chciałbym, żeby tak było między mną a moimi dziećmiakami...

Genewa

Kochani,

Jutro lecę do Portugalii! Będzie mecz towarzyski w Las Paimas! Mam nadzieję, że posłuchacie. Czuję się cudownie, ale co u Was? Lucynka kiedy ma egzamin? Całuję, do zobaczenia,

Witold

Jednak rumianek nic nie pomógł! Mały płakał w nocy i miałam wrażenie, że temperatura jeszcze się podniosła. Zupełnie tracę głowę. Co robić? Jak się leczy takie maleństwa? Nie chce nic jeść, jest chyba naprawdę chory. I tak ciężko i szybko oddycha. Witek mówi, że trzeba wezwać lekarza. Ale czy przyjdzie? Podobno należy wzywać rejonowego lekarza. Nic się na tym nie znam. Niedaleko nas jest szpital dziecięcy, mogłabym tam pójść z Adasiem. Ale jeśli zechcą go zatrzymać w szpitalu i zaczną żądać jakichś dokumentów... bo ja wiem? W szpitalu żądają takich rzeczy, kiedy przyjmują chorego. Zresztą ja nie chcę oddawać Adasia nigdzie...

Całe szczęście, że przyszła pani Lodzia. Popatrzyła na Adasia i od razu mówi mi, że trzeba iść z nim do lekarza. Najlepiej do przychodni albo do ośrodka zdrowia. Dzwonię więc w końcu do tego ośrodka. Muszę tam zanieść małego jak najszybciej, bo pani doktor przychodzi za godzinę, ale jest zapisane wielu pacjentów. I trzeba będzie poczekać.

– Ależ to dziecko ma silną gorączkę, trudno będzie czekać tyle czasu!
– wołam z rozpaczą. Jednak moja rozmówczyni jest doskonale obojętna.

– Wszyscy czekają... – mówi sennym głosem. Nie ma więc innej rady, tylko ubieram małego, pakuję do wózka i jadę do ośrodka.

– Może ja pójdę z tobą? – ofiarowuje się Witek. – Jakoś wytłumaczę w instytucie, że nie mogę przyjść.

Wiem jednak, że Witek powinien pokazać się dziś u swojego profesora, więc zapewniam go, że dam sobie radę.

– Dobra, będę dzwonił – obiecuje i przypomina mi – weź jakiś swój dowód i legitymację, ale lepiej nie szkolną. I zabierz metrykę małego. W takich instytucjach zawsze żądają bardzo dziwnych rzeczy.

Pewnie Witek ma rację, ale ja przypominam sobie w tej chwili, że nie mam żadnego dowodu osobistego, bo przecież dopiero za miesiąc będę pełnoletnia. Pozostaje więc tylko legitymacja szkolna.

– Czy mam ją wziąć? – zastanawiam się, a Witek, żeby mi jakoś dodać otuchy, żartuje:

– Co za zepsucie wśród dzisiejszej młodzieży! Jeszcze w szkole, a już ma dziecko!

– Nie wygłupiaj się – mówię – bo co będzie, kiedy zapytają o tatusia?

– Może nie będą tacy dociekliwi – pociesza się Witek.

A tymczasem w ośrodku zapytano najpierw o książeczkę zdrowia dziecka.

– Nie ma? Jak to nie ma! – zdenerwowała się pani, która zakładała taką kartę kontrolną czy coś w tym rodzaju.

– Zgubiłam – zełgałam na oczekaniu, bo co innego miałam zrobić.

Wobec tego poproszono mnie dość surowym tonem, abym podała różne dane, celem, jak powiedziała osoba w białym fartuchu, odtworzenia w przybliżeniu danych dotyczących dziecka. Ja rozumiem, że są to rzeczy konieczne, ale byłam piekielnie wystraszona i płatałam się w zeznaniach. Na razie przezornie nie pokazałam metryki.

– Imię matki?

A po co znów im potrzebne imię mamy? Ale odpowiedziałam:

– Ewa.

– Imię ojca?

– Witold.

– Nazwisko! Data urodzenia!

– Moja?

Najwidoczniej wydałam się tak interesującym okazem, że pani w białym fartuchu aż wychyliła się z okienka, żeby mi się przyjrzeć.

Zaraz też dotarło do mojej świadomości, że chodzi o datę urodzenia Adasia. Wreszcie padło to najgorsze.

– Proszę pani dowód osobisty.

– Nie mam – szepnęłam ściskając w garści szkolną legitymację. I zaraz dodałam, że w pośpiechu zapomniałam wziąć. Pani w białym fartuchu pokręciła głową na znak dezaprobaty i poleciła przynieść następnym razem.

– A teraz proszę poczekać.

Przysiadłam więc między innymi matkami i czekałam, aż przyjdzie moja kolej.

– Jaką dziecko ma temperaturę? – zapytała pani doktor, kiedy wreszcie weszłam do gabinetu.

– Nie mierzyłam, ale zdaje mi się, że dużą...

Pani doktor spojrzała na mnie z naganą.

– Jak to? Nie mierzyła pani?

Przecież nie mogłam powiedzieć, że nie wtem, jak się do tego zabrać, że nigdy nie miałam do czynienia z dziećmi i że w ogóle nie jestem jego mamą.

– Proszę rozebrać dziecko – poleciła i wezwała pielęgniarkę, aby zmierzyła małemu gorączkę. Przez ten czas zadawała mi szereg niezmiernie trudnych pytań, na które niezupełnie umiałam odpowiedzieć. Wiłam się jak waż – czy mały dostał już szczepionkę BCG, czy ciężko przechodził wyrzynanie się pierwszych ząbków, czy dostawał witaminy i jakie? Zdawałam sobie sprawę, że muszę to wiedzieć, ale przecież ja nic a nic się na tym nie znałam. Czy miałam powiedzieć prawdę, że jest to biedny mały podrzutek? A metryka z tym samym nazwiskiem? Powinnam więc powiedzieć coś zbliżonego do prawdy, aby mogła zorientować się w stanie zdrowia małego. Wyjąkałam więc, że dotychczas sama nie zajmowałam się dzieckiem, tylko wychowywał je kto inny.

– Pewnie babcia? – pani doktor uśmiechnęła się życzliwie. – Czemu więc tu nie przyszła?

– Moja mama nie żyje, a babcia... babcia jest w Szwajcarii albo we Włoszech, właśnie podróżuje – wyznałam, szczęśliwa, że nareszcie mogłam powiedzieć coś, co było prawdą.

– Ach, domyślam się, że teściowa – wynioskowała pani doktor. – A mogę wiedzieć, ile pani ma lat? Osiemnaście? Pani studiuje? Czy ojciec dziecka jest też taki młody?

Skinęłam głową, bo co miałam powiedzieć?

– Za młodo się teraz pobieracie – zauważyła z naganą i zabrała się do badania Adasia. Miał bardzo wysoką temperaturę. Dochodziła do trzydziestu dziewięciu stopni. Usłyszawszy to jęknęłam z przerażenia.

– Dzieci w tym wieku są bardzo skłonne do wysokiej temperatury – mruknęła pani doktor, po czym dodała: – Pani mały ma zapalenie płuc.

– To niemożliwe – krzyknęłam – to straszne!

Popatrzyła na mnie z wyraźnym politowaniem.

– Jak się okazuje, najzupełniej możliwe. I uprzedzam panią, moje dziecko, że ogólny stan synka nie jest najlepszy. Dziecko jest osłabione. Czym go pani odżywia? Karmi go pani sama? Bo to jest dla dzieciaka zawsze najlepsze...

Pośpieszyłam z wyjaśnieniem, że oczywiście karmię sama. Tylko czasem wyręcza mnie dochodząca gosposia. Widząc jednak wyraźne zdumienie i coś w rodzaju niepokoju w oczach pani doktor, zapewniłam ją gorąco, że butelka jest zawsze starannie wyparzona. Smoczek też.

Pani doktor w odpowiedzi westchnęła ciężko i teraz już tylko wypisywała recepty na antybiotyki i jakieś proszki, które miałam dziecku dawać rozpuszczone w mleku. Są też i zastrzyki – ale przyjdzie do domu pielęgniarka, żeby je zrobić. Przeraziłam się – takie małeństwo ma dostawać zastrzyki.

Tak, to było konieczne, a pierwszy zrobiono od razu, na miejscu.

– Gdyby temperatura nie spadała, niech pani dzwoni do lekarza rejonowego – powiedziała mi jeszcze pielęgniarka – niech go pani wezwie do domu – i dała mi na kartce numer telefonu.

Ja już nic tej Lucynce nie mówię, ale wydaje mi się, że z dzieckiem nie jest dobrze. Gorączka się trzyma i oddycha tak ciężko. Wiem, że w nocy wzywali lekarza. Powiedział, że na razie zajęte jest prawe płuco, ale może przerzucić się i na lewe, a wtedy... Już wolę nie myśleć. Biedne dziecko, ale i Lucynka też biedna. I Wituś taki zmartwiony, i smutny. Panicznie nie lubię takich rzeczy i serce mi się kraje. Wiem, że

przez całą noc obydwójce siedzieli przy malutkim. Dopiero rano namówiliśmy Witka, żeby się położył, bo jeszcze w dodatku jakąś tam ma pracę na tym uniwersytecie. Też serca nie mają, żeby mu nie dać paru dni zwolnienia, kiedy dziecko chore... Ba, kiedy on mówi wciąż, że to nie jego. Ale opiekuje się nim i trzęsie nad brzdącem jak prawdziwy ojciec. Oj, takie uczucia to nie kłamia!...

Lizbona, 2 lipca...

W Las Palmas fantastycznie! Jaka szkoda, że Was tu nie ma! Jakoś wszystko dobrze leci, tylko piekielnie gorąco. Mamy zamiar strzelić parę goli. Całuję Was

Witold

Oj, tato, tato, czy wiesz, jak nam ciężko? Ale to dobrze, że o tym nie wiesz. Cieszę się, że ciebie tu nie ma w tej chwili. Nie mogę patrzeć na Lucynkę, tak zmizerniała, wygląda jak cień. A mały jest w dalszym ciągu chory. Zmusiłem Lucynkę, żeby się położyła spać, chociaż na dwie godziny. Zaraz przyjdzie pielęgniarka i zrobi dziecku zastrzyk. Jest bardzo pocziwa – pociesza mnie tak, jakbym był ojcem tego maleństwa, bo przecież ona nie wie, jak to jest naprawdę... Jak jest naprawdę... To dziwne, ale w tej chwili ta sprawa stała się zupełnie drugoplanowa, nieistotna... Takie przewartościowanie ważności...

Dziś przed południem dzwoniła Beata. Może trochę byłem niegrzeczny... spławiłem ją bez litości. Oczywiście, że ona nie może mieć pojęcia, co się u nas dzieje, ale kiedy po raz nie wiem który zapytała mnie, czy za nią nie tęsknię, bardzo twardo upewniłem ją, że nie. Potem coś tam jeszcze plotła, że poznała jednego pana, który chce się jej oświadczyć. No i jak gadać z taką niedorozwiniętą umysłowo osobą? Egzaminę dwa zaważyła, nie wiadomo, czy je zda przy powtórce... No i co to sobie myśli?

Ktoś dzwoni do drzwi – to nasza siostrzyczka. Od razu, na progu pyta, jak mały. Kupiła mnie tym, że przejmuje się dzieciakiem razem z nami. Zaraz zmierzy mu gorączkę, da lekarstwo i zrobi zastrzyk. Przykazuje, żebym nie budził Lucynki, że sama sobie poradzi ze wszystkim, a Lucynka powinna trochę odpocząć.

Spałam tak cudownie, śniło mi się, że Adaś już umie chodzić i razem biegniemy wąską dróżką przez łąkę. On biegnie tak szybko, że ledwie mogę za nim nadążyć. Aż w końcu doganiam go i teraz płyniemy w cudownej, chłodnej wodzie. „Adasiu! – wołam – uważaj!”

Był to wspaniały sen. Taki pogodny i tak mi było dobrze. Nurzałam się w wodzie, słońcu, letnim powietrzu. Obudziłam się i chciałam przedłużyć go, marzę przez chwilę, kiedy naraz w moją świadomość wdziera się okrutnie myśl, że przecież mały jest ciężko chory. Jakie straszne przebudzenie. Zrywam się i biegnę do niego. Witek zmizerowany i potwornie znękany mówi mi, że należy oczekiwać kryzysu. Albo temperatura spadnie i niebezpieczeństwo minie, albo...

– Ja tu dziś u państwa zostanę – mówi pielęgniarka Ania, która przychodzi robić zastrzyki – czeka nas ciężka noc, może będzie trzeba dać coś na wzmocnienie działalności serca. Doktor dał mi polecenie, żeby w razie czego...

Patrzę na to małe biedactwo, niechciane i niczyje. Zatrzymał się teraz na krawędzi życia, które już od początku tak źle się z nim obchodzi.

– Niech państwo pójdą napić się herbaty albo kawy – mówi pielęgniarka. – Ja zostanę przy dziecku. Powinno spać po zastrzyku...

Siadamy więc w pokoju Witka i pijemy kawę, żeby jakoś zachować przytomność. Mamy za sobą parę nieprzespanych nocy. Czas wlecze się obrzydliwie. Witek mówi – posłuchajmy dziennika – i otwiera radio. Ale to nie był dziennik...

– ...Halo, halo! Oto znów spotykamy się na pięknym boisku w Las Palmas. Tłumy widzów śledzą w napięciu przebieg rozgrywki. Nasi chłopcy spisują się wspaniale. Stan remisowy, zero-zero! Czekamy na bramkę. Właśnie widzę, jak nasz znakomity Michcik wybija piłkę! Ajajaj! Co za szkoda! Chyba pójdzie na aut! Nie! Nie, gol! Proszę państwa goooooool! goooool!... Cudowny, wspaniały strzał nieomylnego naszego... – Głos taty, nabrzmiały szczęściem, łamał się i chrypiał: – Gooooool!

Witek spojrzał na mnie i próbowaliśmy się uśmiechnąć. Wtedy weszła do pokoju pielęgniarka Ania. Mówiła coś, ale nie dosłyszałam, więc wyłączyłam radio.

– Czy... czy... coś się stało? – zdołałam wyszeptać. Witek ujął mnie za rękę i mocno ścisnął.

– Temperatura trochę spadła – powiedziała Ania jakimś nieswoim głosem, jakby przez ściśnięte gardło. – Dałam mu zastrzyk na podtrzymanie serca. Puls jest ciągle bardzo słaby. Ale kryzys minął.

– Więc... więc może będzie już lepiej... co, siostrzo? – zapytał Witek, a ja nie powiedziałam nic, tylko zaczęłam płakać.

– Nie rycz, Lucynka – Witek dał mi swoją chusteczkę – przecież słyszałaś... kryzys minął. Ania skinęła głową.

– Tak, tylko jest tak bardzo osłabiony...

Tak, dziecko jest bardzo osłabione i ma wyniszczony organizm. Gorączka spadła, ale to nie znaczy, że już wszystko jest w porządku, bo jeszcze teraz mogą okazać się różne komplikacje. Powiedziałam to otwarcie im obydwójgu. A ze swojej strony zadzwoniłam do ośrodka, żeby lekarz zajrzał, jak tylko będzie mógł najwcześniej. Żal mi dzieciaka, ale żal mi i tej matki... taka młodziutka. A ten chłopak to nie jest jej mąż, tylko jej brat. A co z jej mężem? Może ją rzucił? Albo jest niezamężna? Taka smarkata...

Tacy byliśmy skołatani chorobą małego, że wszystkie inne sprawy przestały dla nas istnieć i w ogóle nie pamiętaliśmy o niczym. I dopiero dziś uprzytomniłem sobie, że przecież Lucynka lada dzień będzie miała egzamin na akademii. Powinna by pójść i sprawdzić, bo pewnie już wisi lista dopuszczonych na podstawie złożonych prac. Teka z jej rysunkami i akwarelami nie zawierała, być może, dzieł wybitnych, ale przecież Lucynka zaznaczyła składając ją, że chodzi jej o wykształcenie w zakresie rzetelnej pracy konserwatorskiej. No, zobaczymy. Całe szczęście, że małemu już lepiej. Niańczymy go na zmianę, Lucynka ciągle gotuje jakieś wzmacniające zupki, pani Lodzia pomaga, jak może, a ja latam za zakupami. Wspecjalizowałem się znakomicie, znam się na kaszkach, mleku w proszku, żądam świeżych jajek, kupuję smoczki i butelki oraz dopytuję się o szybko schnące pieluszki, przedmiot westchnień wszystkich rodziców. Jestem dumny, jeśli uda mi się zdobyć coś z tych rzeczy, a Lucynka i pani Lodzia chwala mnie. Wolałbym tylko, żeby wieść o specyfice zakupów nie dotarła do moich kolegów, bo dopiero byłaby to sensacja i moje domniemane ojcostwo mogłoby stać się głośne. A swoją drogą historia

jest dziwaczna i na pewno jest to wynik jakiejś pomyłki lub lekceważenia załatwianych spraw. Nieraz się o tym słyszy! Niech tylko wszystko będzie zupełnie w porządku ze zdrowiem tego brzdąca, to już ja zrobię raban. A co z tego wyniknie?

Odetchnęłam. Ten malutki jakby już lepiej wygląda i zaraz w domu – bo to jest dla mnie drugi dom – wszystko też lepiej idzie. Obydwoje z Witusiem staramy się, aby Lucynka teraz trochę odpoczęła, bo ona najwięcej zmarniała przez tę chorobę dziecka. Muszę powiedzieć sprawiedliwie, że rodzona matka bardziej by się nie przejęła. Dobrze trafi ten chłopak, co ją dostanie. Ale trzeba, aby się odespała i miała trochę czasu, bo podobnież jeszcze przed nią jakiś tam egzamin. Ale ja mówię, że najlepszy egzamin to ona przy tym dzieciaku zdała. Daję słowo. Mówiłam to Wnusiowi, że gdzie tam tym wszystkim wyrafinowanym dziewczynom, co za chłopakami latają, do naszej Lucynki. Chociaż nie powiem, Wituś też był okropnie przejęty i uważam, że się poświęcał tak, że rodzony ojciec lepiej by nie mógł. Albo i dziś. Siedziałam trochę przy małym, a Wituś zagląda, pyta, czy małemu czego nie trzeba, martwi się, że taki bledziutki, a potem wyciąga z kieszeni taką laleczkę gumową, co to piszczy, i daje temu dziecku. Bawił się z nim potem, zagadywał, aż się to biedactwo uśmiechnęło.

Ponieważ Lucynka i Wituś nie chcą przyjmować telefonów, bo mówią, że głowy do gadania nie mają, to ja odbieram. Jak to jednak przyjaciela pozna się w biedzie. Kto dzwonił, żeby z pomocą się ofiarować – Besia. Nabrałam przez to do niej przekonania – owszem, mówię, proszę przyjść, to ja się trochę zwolnię, bo mam pranie namoczone. Dzwonił także ten Daniel, co ma matkę aktorkę. Przywitał się ze mną grzecznie i pyta o Lucynkę. Ja mu mówię, że nie ma jej w domu, a on dalej się dopytuje, czy aby nie chora i kiedy można ją zastać, i żebym koniecznie jej powtórzyła, że on dzwonił. Ale chyba Lucynka nie będzie chciała się z nim teraz spotkać. Gdzie ona miałaby teraz głowę do latania z chłopakami. Przecież widzę, że ciągle chodzi zamyślona i martwi się. Pewnie, że ma się czym martwić. Panicznie się denerwują obydwójce z Witusiem, co powie pan redaktor, kiedy wróci z tego wyjazdu.

Dobrze, że chociaż teraz wyszła z domu. Ubrała się, a jakże, ale dopiero po tej nowej sukience widać, jak zeszcupiała.

– Idę dowiedzieć się, kiedy egzaminy – powiedziała i westchnęła.

Na podwórzu akademii pełno ludzi. Starzy studenci – to widać, że się tu czują jak u siebie, rozgadani, dziewczyny niektóre oryginalnie ubrane i przeważnie ładne. Naprawdę, plastyczki to przeważnie ładne dziewczęta albo po prostu umieją się dobrze ubrać i dlatego wyglądają tak atrakcyjnie. Chciałabym już być jedną z nich, chciałabym tak jak one być wciągnięta w sprawy studenckie, znać profesorów, chodzić na zajęcia, kupować płótna i farby, gadać o malarstwie. Ale czy tak będzie?

Pod jedną ze ścian stoi gromadka chłopców i dziewcząt. Wyczytują coś z ogłoszenia, umieszczonego w drewnianej szafce. Czuję, że serce wali mi jak młotem, ale wolno, wolno, coraz wolniej, jakby miało zatrzymać się. To ze strachu. Bo ja się boję podejść i spojrzeć na listę. Jeśli mnie nie ma na liście dopuszczonych do egzaminów, to nie wiem, co zrobię! Aby się tylko nie rozplakać! Taka się ostatnio stałam jakaś mazgajowata! Ale trzeba się zebrać w sobie i śmiało naprzód! Nie bądź tchórzem, Lucynko, i spójrz prawdzie w oczy. Nawet jeśli będzie przykra.

Przepychem się więc do tej szafki i naumyślnie, mimo że lista jest alfabetyczna, zaczynam ją czytać od samego początku, odsuwając moment dojścia do litery P. Sunę wzrokiem przez cały alfabet. Są to nazwiska tych, z którymi być może będę kolegowała przez najbliższe cztery lata. Jest sporo dziewcząt. Jakie będą? One pewnie też w tej chwili są tak samo zdenerwowane jak ja... Czytam – Malanowska, Mikosz, Nawrot, Nyc, Opara, Paczyńska, Piątek... Jeeeest! Prandota Lucyna!

Nie wierzę! Odczytuję jeszcze raz i jeszcze raz! Dopuszczona do egzaminu! Zwycięstwo!

Ejże, niemądra Lucynko! Jakie znów zwycięstwo. Dopuszczenie jeszcze nie oznacza tak dużo. Masz dopiero szansę! No, ale kto wie. Przecież to jest jakaś nadzieja! W każdym razie dobrze, że chociaż jesteś na tej liście.

Stałam przez chwilę na środku dziedzińca i nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Powinnam chyba zadzwonić do Witka, ale jego teraz nie ma w domu. Miałam ochotę pójść na lody, żeby ochłoniąć z wrażenia. Ale sama? Na lody sama?

– Dzień dobry! – zabrzmiał naraz obok mnie jakiś jakby znajomy głos. – Dzień dobry! Pani mnie nie poznaje? No, co? Wiem, już czytałem listę!

Odwróciłam się gwałtownie i chyba zaczerwieniłam się.

Jakżebym miała go nie poznać. To szeryf! Osobiście.

Mała Prandotówna wygląda mizernie i wydaje mi się, że się boi egzaminów. Więc aby ją uspokoić i dodać otuchy, zapewniłem ją, że jeśli jest na liście, to już coś znaczy i teraz tylko trzeba przeskoczyć próg.

– Drzę, że jest to bardzo wysoki próg – wyznała mu.

– A czy pani, broń Boże, nie uczy się teraz po nocach lub coś w tym rodzaju?

Poruszyła przecząco głową.

– Nie, właśnie tak się wszystko złożyło u nas w domu, że nie bardzo mogłam się uczyć. Ktoś zachorował – dodała.

– Ale chyba nie pani ojciec? Słyszałem go na antenie parę dni temu i jego piękny głos pełen był młodzieńczej werwy.

Ożywiła się teraz.

– Słuchał pan taty? Prawda, że był wspaniały? Powinien wrócić chyba lada dzień.

Zapytałem więc, jak się sprawuje ów przywieziony przeze mnie ekspres do kawy i wyraziłem nadzieję, że jeśli w domu redaktora Prandoty znajduje się tak wspaniała aparatura, to zostanie jednak kiedyś zaproszony na kawę.

– Oczywiście, jest pan jak najbardziej zaproszony – szepnęłam – to znaczy jak tylko tata wróci.

– Ach, więc będę czekał niecierpliwie. Ale na razie może pójdziemy na kawę do tutejszej kawiarenki?

Miałam cichą nadzieję, że oprócz kawy będą tu także i jakieś lody. A on wziął mnie pod rękę, jak gdybyśmy byli starymi znajomymi, znającymi się od lat kumplami.

– Idziemy, koleżanko? – spytał.

Oczywiście, że idziemy. Idziemy do podziemia akademii. Pełno tu ludzi, a wszyscy właściwie znają się. Jest cudownie. Naprawdę cudownie.

Jakie to swoją drogą dziwne, że ludzie którzy nawet dotychczas nie wiedzieli o swoim istnieniu, naraz mają sobie tyle do powiedzenia. Okazuje się, że jest masę rzeczy, które nas jednakowo interesują. Na przykład oboje lubimy Bacha. I koncerty przy świecach. I Breugla. I długie spacery. W Warszawie to na Starówkę albo do Łazienek, ale w dzień powszedni, kiedy nie ma tłoku. Jego mama jest nauczycielką, romanistką z wykształcenia. A ojciec nie żyje.

Wspomniał też o tym, że interesuje go konserwacja malowideł ściennych. Czy to nie cudowne? A na koniec powiedział, że bym mówiła do niego: Wojtek, bo jakoś łatwiej się wtedy rozmawia.

Wpadłam dziś do Lucynki. Zaraz jak tylko wróciłam z Nieporętu. Przebrałam się i poleciałam do niej. Miałam wyrzuty sumienia, że w tych ciężkich dla niej dniach ja spędzałam czas beztrosko „wśród słońca i róż”, podczas kiedy ona miała tyle kłopotów. Ale muszę przyznać, że to dlatego tak się stało, że trochę zwariowałam dla Artura. On jest cudowny. Tylko tyle mogę powiedzieć. Inteligentny, jak mi się zdaje, nieprzeciętnie! I ta jego wspaniała pogarda dla rzeczy zwykłych i pospolitych. Nie wiem, co ma na myśli, używając określenia „zwykłe i pospolite”, ale sądzę, że mi to wyjaśni. Będzie zdawać na handel zagraniczny, bo chciałby podróżować. Ja mu się zwierzyłam z tej mojej arabistyki, ale natychmiast zlekceważył ten pomysł. Jak twierdzi, na Bliskim Wschodzie kobiety nie mają nic do gadania. Nawet podobno nie chodzą do kawiarni! Jeśli tak jest, to okropne! Chyba będę musiała się jeszcze zastanowić, chociaż jeśli chodzi o termin składania papierów i egzaminu, to pewnie będzie za późno. Ale Artur ma głowę do wszystkiego i mówi: – Zdawaj sobie na te araby, a potem przenos się i już.

Muszę jeszcze pogadać o tym z Lucynka. Bo na przykład mama też wątpi, czy arabistyka jest akurat dla mnie najlepsza.

Beśka przyszła do mnie naradzać się w sprawie studiów. Ja przecież od razu jej powiedziałam, że powinna wybrać coś innego. Ale akurat wtedy podkochiwała się w jednym chłopaku z archeologii śródziemnomorskiej i wyobrażała sobie, że w ten sposób będą mieli wspólne zainteresowania i że w ogóle potem miłość szalona połączy ich na wieki, a także będzie rozkwitać w cieniu sfinksa lub w cieniu oazy. Od razu mówiłam jej, co o tym sądzę. I wyszło na moje, bo chłopak, jak się potem okazało, miał zupełnie inną dziewczynę, niebrzydką i niegłupią. Beśka odczuła to jako zdradę z jego strony, a przecież naprawdę to jednego słowa z nim nie zamieniła, tylko znała go tak, z widzenia raczej. Niemniej uważała, że ją zdradził, niemniej nie zrezygnowała z arabistyki, bo postanowiła, że tam zabłyśnie i pokaże temu niewiernemu, że jest wybitną uczoną. Tak że właściwie ta arabistyka miała być wyrazem zemsty! A teraz nagle zjawił się ten Artur, o którym ciągle mówi. Nie Widziałam go na oczy, ale gdybym miała Beśce wierzyć, jest to ósmy cud świata – nieludzko piękny, stuprocentowo męski, inteligentny, szorstki w obejściu, lecz dla niej czuły, a poza tym nonszalancki. Ta ostatnia cecha zrobiła na mnie niezbyt dodatnie wrażenie, ale jeśli, jak Beśka twierdzi, jest tylko o rok od niej starszy, to jest w takim razie chyba źle wychowany. Tylko że ta pocziwa Beśka uważa to za męski wdzięk.

– Lubię brutalnych mężczyzn – wyznała mi kiedyś. Bo jej się wszystko w tej łepetynie pomyliło: i mocny człowiek, i słodki brutal, i takie różne inne bzdury z taniej literatury. I teraz nic, tylko Artur i Artur. Mam jak najgorsze przeczucia, ale obecnie nie czuję się na siłach, aby przywozić Beśkę do opamiętania. Poza tym i tak by mi nie uwierzyła. Ciekawa jestem, czy i ja też tak zwariuję dla jakiegoś chłopaka? Kto wie! I czy się rozczaruję? Wolałabym bez rozczarowania, bo to przykre. Zwłaszcza jeśli już po ślubie.

A propos ślubu! Oto szlagier Mundialu. Alicja zaprasza całą klasę na swój przyspieszony ślub. Ona pierwsza z nas będzie mężatką, a ślub nie dlatego jest przyspieszony, że na przykład Alicja oczekuje potomka, tylko dlatego, że pan młody to obcokrajowiec. Z importu! Więc nie

może tyle czasu czekać. Bo na ogół w USC czeka się bardzo długo. Ale jej mama ma swoje znajomości i dali najbliższy termin. Po ślubie – przyjęcie, ale już nie dla całej klasy, tylko dla tych specjalnie zaproszonych, z którymi Alicja tak się bliżej przyjaźniła. Ja także dostałam zaproszenie, jednocześnie z zaproszeniem dla mojego taty. To już snobizm – bo mama Alicji lubi się chwalić, że zna masę ludzi. „Wiecie – mówi na pewno do swoich koleżanek biurowych – będzie także ten dziennikarz, Prandota. Bardzo miły facet”.

Wiem, że tak opowiada, bo jedna nasza znajoma pracuje z nią w tym samym pokoju. Oczywiście mama Alicji nie pracuje dlatego, żeby musiała zarabiać na utrzymanie głodnych dzieci, tylko dlatego, że kocha życie towarzyskie, które radośnie płynie w przerwach między urzędowaniem.

Może bym i poszła na ten ślub, ale nie wiem, jak mi się to uda. Nie mam z kim zostawić małego, bo Witek jest zaharowany. Musi odrobić zaległości z tego ciężkiego okresu, kiedy tak źle było z Adasiem. Chyba żeby pani Lodzia przyszła. Zobaczysz się. Beśka naturalnie wybiera się i to z tym swoim Arturem. Już mi zapowiedziała, że powinnam przyjść, bo będę miała wtedy okazję zobaczyć i poznać go osobiście. A swoją drogą ciekawa jestem, czy jej mama widziała to cudo i co o nim myśli. Zdaje mi się, że Besia jak dotychczas nie ujawniła jego istnienia wobec mamy. Jeśli o mnie chodzi, to też muszę się jeszcze liczyć i z powrotem taty. Nie daj Boże, żeby na przykład tak się miało zdarzyć, że tata wraca, mnie nie ma w domu – a w wózeku śpi samotny Adaś! To by dopiero była sytuacja! A taty oczekujemy już lada dzień. Pani Lodzia doprowadza mieszkanie do porządku, czyści i pucuje. Zwłaszcza pokój taty, a my z Witkiem nie rozmawiamy na wiadomy temat, tak jakby ta sprawa nie istniała. Bo co możemy zrobić w tej chwili?

Mały na szczęście odzyskuje powoli siły. Ma już lepszy apetyt, a siostra Ania przyniosła mi całą listę tego, co mu należy dawać. Swoją drogą – urwać się można! Same okropne rzeczy – sok z marchwi, szpinak, twarożek! Ale jeśli tak trzeba, to trzeba. Wiem teraz tylko, że niełatwo być matką. Dobrze, że Witek w miarę możliwości pomaga mi w zakupach. Dowiedzieliśmy się też w redakcji, że nie jest wykluczone, że tata zostanie jeszcze parę dni dłużej.

Nasz pan redaktor wraca podobno lada dzień. Co to będzie? Wituś się zapiera, że to nie jego ten malutki, ale chodzi koło niego jak koło własnego. Już sama nie wiem, co o tym myśleć...

Witek niemal mnie zmusił, żebym poszła na ten ślub Alicji. Że potrzeba mi trochę rozrywki po tych wszystkich ciężkich dniach, które przeżyliśmy.

W rezultacie zdecydowałam, że się wybiorę. Cała klasa miała się stawić. A zaproszenia – ostatni szyk z wyglupem! Drukowane za granicą, ze złoceniami i na niebieskim jedwabistym papierze w białe gołąbki. Okropnie to zabawne i schowam sobie na pamiątkę. Daniel, ku mojemu zdumieniu, zachował się bardzo sympatycznie, zadzwonił do mnie i ofiarował się podjechać swoim autem. Nawet trochę mi się zrobiło głupio, bo tak go ostatnio poniewierałam, a on nic, tylko jak najlepszy przyjaciel... Więc zgodziłam się i przy okazji pogratulowałam mu, bo najniespodziewaniej w świecie zdał do tej swojej aktorskiej szkółki.

Przed Pałacem Ślubów, a także i we wnętrzu, tłok nie do opisania. Biedne młode pary, stojące w kolejce do małżeńskiego szczęścia! Rodzice się denerwują, goście i świadkowie patrzą na zegarki, oblubienice wraz ze swoimi bukietami więdną w upale! Hej! hej! – jak widać, niełatwe są matrymonialne początki. Może dalej jest lepiej! Ciekawa jestem, jak będzie wyglądał mój ślub. Zresztą nie. Nie chcę sobie nic wyobrażać, choćby dlatego, że czasem rzeczywistość przekracza wyobraźnię. Tymczasem, ponieważ przyjechaliśmy pięknym wozem Daniela, on w białym garniturze z niebieską koszulką, ja – w niebieskiej sukience w białe groszki, z bukietem konwalii, które nie wiadomo dlaczego Daniel mi ofiarował – zaliczeni zostaliśmy, widać, do nowożeńców, a raczej do kandydatów do ceremonii ślubnej. Jakiś pan podszedł do nas i zażądał, żebyśmy ustawili się w kolejności, a nie pchali poza kolejką i zapytał srogo, o której jest wyznaczony ślub?

– Zależy czyj, proszę pana – odpowiedziałam – bo mój na pewno nie! I proszę nie stosować przymusu matrymonialnego wobec nieletnich.

Facet zrobił ogromnie niemądrą minę i wycofał się. Natomiast Daniel szepnął z uczuciowym zabarwieniem:

– A gdyby tak to był nasz ślub?!

Spojrziałam na niego z politowaniem. Co za pomysł!

A jednak nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to był nasz ślub. Daję słowo, Lucynka podoba mi się coraz bardziej. To jest dziewczyna w dobrym gatunku – jak mawia moja mama. Ożeniłbym się z nią bez namysłu, nawet mimo tej plotki, jaka o niej krąży. Nie wiem zresztą, czy jest prawdziwa. Lucynka sama zachowuje się jakoś dziwnie i powiedziałbym tajemniczo... Ale mimo to jest na razie najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką znam...

– Witaj, Besiu – powiedziała Lucynka, która przybyła z Danielem. Podejrzewam, że się w końcu zaręczą, mimo że Lucynka z Daniela nieco szydzi.

A ja – ja przyszedłam z Arturem. Zaciągnęłam go tu trochę dlatego, że uważam, że chłopak powinien zobaczyć, że ludzie się żenią i brać z nich przykład, a trochę dlatego, że chciałam, żeby dziewczyny od nas zobaczyły, że mam swojego chłopca. Niech mi trochę pozazdroszczą. Co prawda w tym tłoku nie było wiele okazji do pokazania go, ale kiedy spostrzegłam Goškę, uważałam, że powinnam się z nią przywitać.

Beška mnie zupełnie zaskoczyła! Daję słowo! Taka nieglupia dziewczyna, a chyba zwariowała! Ledwie mnie zobaczyła, zaczęła do mnie machać ręką, zupełnie jakbym stała na jednym szczycie Tatr, a ona na drugim, a potem przedarła się przez tłum, ciągnąc za sobą jakiegoś wysokiego, brodatego chłopaka w rekordowo obszarpanych dżinsach. Wyglądał trochę jak zbój Madej z książki z bajkami, która niegdyś należała do mojej mamy. Bardzo stara, przedwojenna książka.

– Goška – powiedziała nieco zdyszana Besia – pozwól, że cię przedstawię Arturowi.

Widzę więc, że z dziewczyną niedobrze, bo traci rozum i dobre maniery. Przecież powinna była chłopaka mnie przedstawić, a nie mnie

chłopakowi. A ten Madej milczy tylko ponuro i jakby z łaski wyciąga do mnie łapę.

– Cześć – mówię, a on ponury jak noc, dalej milczy, tylko gdzieś się gapi. A Beśka cała w skowronkach! Trzepoce się i przymila do tego ponuraka. W dodatku chociaż wysoki, ale jakiś taki niezgrabny. W brzuchu gruby jak stary dziad, a nogi jak patyki. Włosięta też ma niezbyt gęste, na kark mu spadają, a tłuste, jakby główkę mył w rosole!

Ciekawa jestem, co o tym sądzi Lucynka – to znaczy o tym chłopaku Beśki. Zadzwoń do niej jeszcze dziś, to sobie całą sprawę obgadamy. Lucynka przysłała z Danielem, który ku ogólnemu zdumieniu zdał do tej swojej aktorskiej szkoły. Jest to więc pierwszy student w naszej paczce. I w ogóle w klasie. Jak to jednak nigdy nic nie wiadomo. Lucynka przysłała z Danielem, ale nie sądzę, żeby miała się z nim zaręczyć. Wyglądała mizernie, ale bardzo ładnie. Chyba nawet ładniej od panny młodej, czyli bohaterki dzisiejszego dnia. Alicja jest owszem, niebrzydka, dość zgrabna i ubrana była jak gwiazda z musicalu. Daje słowo. Suknia do ziemi, rękawy szerokie jak skrzydła anielskie – i to wszystko w kolorze bzu. Do tego we włosy wpięte kwiaty, ale było ich tak dużo, że wyglądało to razem jak klombik. Uszmiękowana była fantastycznie! Podobno umalowała ją taka pani od charakteryzacji w telewizji. Ale Alicja była zdenerwowana, że hej! chociaż niby śmiała się i starała się wykazać swoje światowe obycie. Ciekawa jestem co prawda, jak to ja będę się zachowywać w takiej sytuacji. Ten jej mąż to nawet wyglądał dość sympatycznie. To jest Francuz polskiego pochodzenia i, jak twierdzi mama Alicji, jest szalenie bogaty. Ma podobno duży hotel w Paryżu, a drugi w Vichy. Jest to jednak już starszy człowiek, ma chyba po trzydziestce. Mama Alicji była ubrana w różową suknię i wyglądała jak druga panna młoda, zwłaszcza że ciągle wołała tego swojego zięcia po imieniu – Jean—Paul! Jean—Paul! – i potem jeszcze okropnie dużo mówiła do niego po francusku. Widać, koniecznie chciała zaznaczyć, że jest to taki lepszy zięć z importu, jak zauważyła Joanna, która jest najładniejsza z całej klasy i najdowcipniejsza.

Tak więc obszczekiwaliśmy pannę młodą, a Robert Dybek, który ma ciągoty do uroczystych występów i chce zostać dyrektorem – wręczył jej w imieniu naszej byłej klasy efektowny wazon z Desy. Ponieważ

poza tym uważaliśmy, że jednak był to poniekąd ślub stulecia, więc zdecydowaliśmy, że spotkamy się któregoś dnia, żeby jeszcze trochę poplotkować na ten temat. Na ten i na inne. Niemniej ja i tak przedtem zadzwonię do Lucynki. Masz ci los, telefon u niej zajęty i zajęty...

Gośka do mnie zadzwoniła po południu, po tym ślubie Alicji. Ale nie o ślub jej chodziło, tylko o Beškę. Oczywiście, że zaczęła od urągania mi, że telefon u mnie ciągle zajęty, ale co mogłam poradzić, kiedy to Besia mnie dręczyła, żeby się dowiedzieć, jakie na mnie wrażenie zrobił Artur. Oczywiście wyrażałam się oględnie i nic nie mówię, że wydał mi się taki nie bardzo. Cóż, podobno miłość zaślepia. Ale czy to aby miłość? Gdzie tam! Znam Beškę i wiem, że to jej kiedyś przejdzie, że znów będzie mądrą dziewczyną z poczuciem humoru.

A potem Gośka mnie pyta, czy to prawda, że zaręczyłam się z Danielem.

– Coś ty? – mówię jej na to. – Czy ty myślisz, dziewczyno, że nie mam innych zmartwień?

Oj, mam ich wystarczającą ilość. Adaś co prawda trochę lepiej wygląda i ma coraz większy apetyt, ale z kolei mam zmartwienie z Witkiem, bo łązi smutny i ponury. Ja wiem, że on się gryzie tym, co będzie z małym. Pierwszy raz tak się zdarza w naszym życiu, że chcielibyśmy, aby powrót taty trochę się odwłókł. Tylko czy to coś zmieni? Co prawda jest szansa, że Witek nareszcie złapie tego adwokata, który powinien sprawdzić autentyczność metryki. Ale adwokat też jeszcze się nie zjawił w Warszawie.

– A gdybyś sam poszedł do urzędu? – poradziłam Witkowi.

Poszedł więc, ale niezbyt chętnie, bo on nienawidzi załatwiania spraw w urzędach. Wrócił zły, że na próżno stracił czas, bo po pierwsze musi złożyć podanie usprawiedliwiające wydanie mu pełnego świadectwa urodzin Adasia – a to jest sprawa, którą właściwie powinien załatwić prawnik, bo podanie musi być chytrze napisane. A po drugie nie robili mu nadziei, aby dokument mógł być przygotowany wcześniej niż w ciągu miesiąca. A już wtedy i tak ojciec będzie w domu. Poza tym...

Tak, poza tym mam wrażenie, że teraz sprawa stała się dla Witka jeszcze bardziej ciężka i przykra, niż to było od razu, na początku. Ciężka i przykra w inny sposób i z innego chyba powodu... Witek

siada przy małym, wzdycha, bawi się z nim, a potem nagle wstaje i mówi:

– Cholerny świat! Przecież nawet psiaka człowiek boi się oddać w niewiadome ręce...

Niechby już jednak tata wrócił, niech to się jakoś załatwi...

Jakoś! Ale jak?

Oj, wróć, tato! Albo byś przysłał telegram, żebyśmy wiedzieli, kiedy będziesz...

Postanowiłem, że nie wyślę żadnego telegramu zawiadamiającego o moim przybyciu. Bardzo lubię robić niespodzianki. Stęskniłem się do moich dzieciaków. Ale wypad w szeroki świat był wprost fantastyczny. Zaczynam wierzyć, że karta mojego losu odwróciła się i że wszystko będzie lepiej. Lepiej pod każdym względem. Może ułożą się jakoś wreszcie i te trudne, przykre sprawy, które mnie gnębią i o których już nawet chwilami nie mogę myśleć. Witek i Lucynka nic o tym nie wiedzą. Oni jeszcze przecież nie znają życia. Niemniej może nadejść taka chwila, kiedy będę musiał z nimi o tym pomówić, a oni też już dochodzą do takiego wieku, kiedy powinni być dorosłymi partnerami do rozmowy. Nie jestem co prawda w głębi duszy przekonany, że wszystko przejdzie gładko, ale nie chcę w tej chwili więcej o tym myśleć. W tej chwili chcę być szczęśliwy i już. Ewa zawsze mówiła, że jestem lekkomyślny. Zapewne miała rację. Ale taki już, widać, jestem. Teraz też wyszastałem trochę grosza z moich diet na zakupy dla dzieci. Ale lubię dawać prezenty! To jest naprawdę ogromna przyjemność. Obawiam się, że nie są to podarki praktyczne i rozsądne. Ale właśnie takie chciałem im przywieźć. Może zadzwonić do nich z lotniska? Nie, jeśli nawet nie zastanę ich w domu, to przecież mam klucze. Wejść, rozpakuję wszystko i będę na nich cichutko czekał.

Lucynka pewnie denerwuje się egzaminem do akademii. Mam nadzieję, że zda. A gdyby nawet nie zdała, to najwyżej będzie próbować w przyszłym roku. Jest taka młoda! Zaraz po egzaminie trzeba będzie gdzieś pojechać w plener. Najlepiej byłoby na taką prawdziwą, zwykłą wieś, gdzie się rzeczywiście odpoczywa. Witek też chyba już wrócił albo wraca lada dzień z tego swojego Meksyku. To dobry chłopak, tylko że taki piekielny pracus. Na pewno się we mnie

nie wrodził. Czasem tobym wolał, żeby nie był taki spokojny, taki poważny. Może wolałbym, żeby miał więcej szczeniackiej lekkomyślności. Pewnie wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Ewa żyła. Boję się, że za mało zajmuję się nimi. Powinienem przecież stworzyć moim dzieciom jakieś możliwości uprawiania sportów. Byłoby to dla obojga bardzo dobre. Lucynka to chociaż pływa zupełnie nieźle. Ale Witek? Gra w badmingtona – to wszystko. A przecież mógłby uprawiać tenis. I konną jazdę. Zwłaszcza konną jazdę. Już ja go teraz dopilnuję!

Samolot otacza mgła, motory pracują miarowo, za godzinę, nie, za półtorej, powinienem już być w domu. A może będą siedzieli przy kolacji? Lucynka starym zwyczajem będzie podskakiwać na jednej nodze i wołać: „Tata! Ach, tata nasz wraca!” A Witek cmoknie mnie w policzek i powie basem: „Cześć, staruszkule! Dobrze, że nie zoczyłeś z drogi!”

Już chciałbym być na miejscu, a czas wlecze się niemożliwie. Zawsze najdłuższe są te ostatnie minuty podróży. A jutro tylko zadzwonię do redakcji i powiem, że chciałbym mieć parę dni odpoczynku. Zapakuję do pocziwego starego fiata dzieci i pojedziemy gdzieś za miasto na dobry obiad. A może z czasem dobiję się lepszemu wozu? Będę też musiał pojechać na Ząbkowską. Ale to później... Głowa mnie piekielnie boli. Ach, być już nareszcie w domu!

Dziś był ciężki, upalny dzień. Dopiero teraz, pod wieczór, jest trochę chłodniej. Mały już śpi, a my z Witkiem pijemy zimny kefir i ciesząc się powiewem wiatru, wpadającego przez otwarty balkon, oglądamy w telewizji jakiś okropny kryminał. Nie jest to taki, jakiego lubię. Mnie się podobają takie bardziej psychologiczne, takie na inteligencję. Witek aż takich wymagań nie ma. Jak się gonia albo pędzą samochodami, to mu też wystarcza. W tym kryminale właśnie jest tylko pogoń i strzelanina, więc zaczyna mnie to w końcu nudzić. Odrywam się od tej morderczej treści i powracam do spraw, które mnie gnębią.

– Witku – mówię w jakiejś chwili – pamiętaj, że jakby co... to znaczący mam na myśli, wiesz co, jakieś trudne momenty z tatą, to pamiętaj, że to przede wszystkim jest moja wina.

Witek niechętnie odrywa wzrok od telewizora i spogląda teraz na mnie ze zdumieniem, po czym robi znaczące kółko na czole.

– Oszalałaś z niewygód? Co ty opowiadasz?

– Bo nie trzeba mi było wpuszczać tej dziewczyny do domu...

– Daj spokój – Witek macha lekceważąco ręką – daj obejrzeć ten kryminał. Na zmartwienia zawsze jest czas...

Może on ma i rację? Więc zaczęłam na nowo śledzić losy genialnego przestępcy i jeszcze bardziej genialnego policjanta, kiedy naraz w huk strzelaniny włączył się zupełnie niespodziewanie delikatny dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

– A kogo tam znów licha niesie – westchnął Witek, bo nie lubi gości, kiedy ogląda telewizję – jeśli do mnie, to powiedz, błagam, że mnie nie ma!

– Mnie też nie ma – zbuntowałam się, bo bardzo nie lubię niezapowiedzianych gości. – Udawajmy wobec tego, że nas obydwójka nie ma w domu.

Ale niestety ten szczytny zamiar okazał się o tyle nierealny, że słyhać telewizor, a nikt nie uwierzy, że telewizor sam się uruchomił. Podniosłam się więc niechętnie, aby zobaczyć, kto zakłóca nasz spokój, a Witek zawołał za mną:

– Tylko na ten raz koniec z podrzutkami! Jeden wystarczy, przynajmniej na razie!

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedziałam i otworzyłam drzwi. A za nimi stał tata...

– Jak się masz, kochanie – powiedział do Lucynki, pocałował ją i zapytał: – A Witek jest? Wrócił już?

Poczułem, że zbliżają się ciężkie momenty. Ale wyszedłem szybko do przedpokoju i powiedziałem, jak gdyby nigdy nic, radosnym tonem.

– Cześć, tato! Fajnie, że wreszcie jesteś! Słuchaliśmy radia i byłeś genialny.

Ojciec lubi, kiedy się go chociaż trochę pochwali, bo zawsze ma jakieś opory, jakiś brak wiary w swoje siły. Zresztą tym razem mówiłem świętą prawdę, bo był naprawdę bardzo dobry.

– Tak uważasz?

Spojrzał na mnie bystro, jakby w obawie, czy nie jest to jakieś rodzinne przymilanie się. Ale zaraz zacząłem przysięgać, że mówię świętą prawdę i tylko prawdę, a Lucynka mnie poparła. Stał teraz obok nas trochę zmizerowany, ale widocznie uszczęśliwiony. Jego przystojną twarz rozjaśniał uśmiech, jakby nieśmiały, niedowierzający. Cholernie dużo wdzięku ma ten nasz tata i dlatego baby tak się za nim uganiają. Więc teraz, kiedy patrzyłem na ten nieśmiały uśmiech, było mi bardzo, ale to bardzo łyso, że oto już być może za chwilę stanie się coś, co zmaści jego radość. Tę skromną radość, której mu dotychczas los tak skąpo w życiu wydzielał.

Wziąłem jego walizę i jeszcze jakąś torbę podrózną, której przedtem nie miał, widać, kupił ją za granicą, i stałem przez chwilę z tym bagażem, nie wiedząc, co z nim zrobić. Zanieść do pokoju ojca? Lucynka usiłowała dawać mi jakieś znaki, ale nie umiałem ich zrozumieć. A kiedy zrozumiałem, było już za późno. Ojciec nacisnął klamkę, otworzył drzwi i zatrzymał się na progu. W pokoju panował półmrok i stojący pod oknem wózek mógł być w pierwszej chwili nie zauważony. Natomiast stał się przeraźliwie widoczny, kiedy ojciec nacisnął wyłącznik i światło zalało pokój. Spojrzałem na Lucynkę, ale nie mogłem się zdobyć na spojrzenie w stronę ojca.

Witek wlepił we mnie wzrok i pobladł. Ułamki sekund wydały nam się teraz nieskończonością. Ojciec też stał nie ruszając się, milczący, i patrzył na wózek. Wreszcie po jakimś czasie zrobił krok w tamtą stronę i teraz spojrzał na mnie. Nie gniewnie, tylko jakoś pytająco i bezradnie zarazem. Ja też patrzyłam na niego w milczeniu, bo nie wiedziałam, co mówić. Tymczasem mały, obudzony przez jaskrawe światło, poruszył się i otworzył oczy. Ale nie płakał.

– Lucynko! – odezwał się wreszcie tata – co to znaczy? Skąd to dziecko tu się wzięło?

Wyjaśniłam więc spieszenie, że jest to dziecko, które...

Zawahałam się. Jak właściwie należało określić sytuację Adasia w naszym domu? Wyjąkałam więc, że jest to podrzutek, ale przerwał mi Witek. Przetykając ślinę, jakby mu zaschło w gardle, wyjąkał schrypniętym głosem.

– Tato! Wysłuchaj mnie! Musisz mi uwierzyć!

Teraz ja z kolei nie pozwoliłam mu dalej mówić, bo zlekłam się, że lapnie coś niezbyt zręcznie i wyjaśniłam, że jak już powiedziałam, dziecko zostało podrzucone. Zostawiła je taka jakaś dziewczyna... Tymczasem Witek wołał:

– Tato! Przysięgam ci, że nie jestem ojcem tego dziecka!

Tata spojrział na niego z niejakim zainteresowaniem i w milczeniu stał przy wózku Adasia, a Witek zapewniał go dalej:

– Przysięgam ci, że to jakaś niezrozumiała pomyłka! Ja nie jestem ojcem tego dziecka, mimo że w metryce jest napisane, że jest moim synem. Gdyby to było prawdą, przyznałbym się bez wahania. Ostatecznie jestem pełnoletni...

– Ale jak to jest z tą metryką? – zdziwił się tata.

Teraz ja uważałam za stosowne wtrącić się.

– My mamy jego metrykę, tato! Taki odpis, który ktoś przysłał listem poleconym, adresowanym do Witolda Prandoty. Otworzyłam ten list, bo was obydwu nie było w Warszawie, no i to tam było w środku.

Podaliśmy ojcu kopertę, a on przeczytał metrykę, westchnął, pokiwał głową i powiedział całkiem cicho:

– Przecież Witek nie jest jedynym Witoldem Prandota w tej rodzinie. List jest adresowany nie do niego, tylko do mnie...

Potem ojciec uśmiechnął się do nas tak jakoś żałośnie, nieporadnie, jakby przepraszająco i dodał:

– ...bo widzicie... to jest wasz brat...

Powiedziałem to nareszcie. Zresztą powinienem to być już dawno powiedzieć. Ale odetchnąłem. Stało się nareszcie to, co się stać powinno. Trzeba było, aby wiedzieli o istnieniu Adasia. Co prawda zupełnie inaczej wyobrażałem sobie tę scenę rodzinną... Nie, nieprawda, wcale jej sobie nie wyobrażałem, bo po pierwsze nie wiedziałem, jak to zrobić, a po drugie wcale nie byłem pewien, jaki to wywrze efekt na moich starszych dzieciach. Odwlekałem i odwlekałem, bo nie chciałem ich wciągać w moje komplikacje życiowe. A przecież oni na pewno są na tyle dojrzały, że można było z nimi o tym mówić. Ja jednak ciągle miałem opory i naprawdę bałem się wprowadzenia do naszego domu macochy. A już Iwona jak najmniej nadawała się do tej roli. Więc sprawa przecież nie była ani prosta, ani

łatwa. Ewa, mimo że nie żyje od dziesięciu lat – tak ciągle jest jakby obecna w tym domu. Nie miałem szczęścia, nie spotkałem później takiej kobiety, która umiałaby serdecznie włączyć się w nasz dom i życie. A tymczasem tak głupio trafiłem na Iwonę. Nie, to raczej właściwie ona na mnie trafiła. Na takiego, który wzruszył się jej bezbronnością, młodością, chęcią wyrwania się, jak twierdziła, ze środowiska okropnej rodziny, rezydującej na bazarze! Więc, nieudany błędny rycerz, starałem się jej pomóc – ale chyba to było bez sensu. Tyle że przeze mnie poznała trochę ludzi i to raczej były jakieś przypadkowe znajomości – dziennikarze, aktorzy. Trochę ją wychowywałem, bo właściwie nie miała żadnej ogłady. Nawet ta szkoła baletowa nic jej nie dała, bo co tu mówić o tańcu, kiedy przecież ona nie miała słuchu. Ale jeśli ze względu na Adasia chciałem się ożenić, to starałem się jakoś ją podciągnąć i ucywilizować. Trzeba przyznać, że nawet była dość pojętna, tylko że niestety teraz z kolei zaczęła się zachowywać jak gwiazda filmowa z marnego filmu przedwojennego. A muszę przyznać, że wampy dla ubogich nie są w moim guście. Zresztą nie miałem się już o co martwić. Ostatnio Iwona zaczęła sobie sama dawać świetnie radę i robiła dość szmatławą małą karierkę ni to modelki, ni to prezenterki, ni to dyskdżokejki, diabli wiedzą, w jakich lokalikach, raczej podejrzanych. I nie chciała już wyjść za mnie. Wolała, żebym po prostu dawał pieniądze na Adasia. A mnie to cholernie gryzło, jakie też dzieciństwo będzie miał Adaś pod opieką mojej niedoszłej teściowej, która jest, co tu kryć – pierwszą damą podejrzanego handelku na bazarze... To wszystko było piekielnie trudne i zagmatwane... Ale może trzeba było wcześniej pomówić o tym z Lucynką i Witkiem... W każdym razie to szczęście, że Adaś jest tu...

Tata przymknął oczy jak człowiek bardzo zmęczony i milczał. Wziął Adasia na ręce, pocałował i z powrotem położył do wózka. Odwrócił się do nas. Wyglądał, jakby był chory, twarz miał postarzałą, zniechęconą. Było mi go okropnie żal. Chciałam coś zrobić, coś powiedzieć, aby rozładować to męczące napięcie, przeskoczyć jakoś przez tę chwilę tak trudną dla naszego zupełnie załamane go taty. Nie był to w tej chwili uroczy, pełen niemal chłopięcego, nieodpartego wdzięku redaktor

Prandota, za którym tak uganiały się różne panie i paniusie, ale był to po prostu starszy pan, zniszczony przez życie...

– Tato... – szepnęłam. Ale zanim zdołałam powiedzieć coś więcej, to Witek najniespodziewaniej rozładował atmosferę.

– To fajnie! – zawołał. – To fajnie! Będziemy wychowywać tego małego kajtka! – I dodał: – Bo rozumiesz, staruszkule, łyso by nam było, gdyby trzeba było gdzieś go oddać! Teraz niech tu sobie śpi, a my chodźmy stąd. Nie trać równowagi ducha, tato. Wszystko jest okey. A ty pewnie teraz chciałbyś umyć się po tej podróży i mam nadzieję, że Lucynka da nam coś do jedzenia!

– Nie jestem właściwie głodny – mruknął tato – ale chętnie umyję się po podróży. I muszę wypakować walizki...

– Dobra! To ja pomogę Lucynce nakrywać do stołu. Hej, mała! Gdzie jest nasz najszykowniejszy obrus?

Witek gada tak niefrasobliwie, po swojemu, żeby zrobić jakiś dobry klimat, a ja sprawdzam, co mamy w lodówce. Nieźle – jest twaróg, szcypiorek, rzodkiewki, śmietanka i może być jajecznicza. Poza tym razowy chleb i trochę szynki.

Stół jest więc nakryty elegancko, odświeżone, kwiatki w wazoniku (Łajdak – Witek spustoszył skrzynkę z nasturcjami na balkonie, ale wybaczam mu to). Wołamy:

– Tato! Siadamy do stołu!

– I jak odsapniesz, to nam nareszcie opowiesz co nieco o swojej podróży – mówię. – Jak było w Zurychu i na świecie. Byłeś wspaniały, słuchałam ciebie i naprawdę byłeś wspaniały.

Dobrze, że Lucynka sprowokowała ojca, żeby nareszcie zaczął mówić o sporcie, o meczach. Już się trochę odprężył, już zaczyna być taki, jak zawsze – przejęty, zapalony, młody. Och, tato, kochamy cię właśnie takim, jakim jesteś. I nic tego nie zdoła zmienić.

Ale tato znów po jakimś czasie przestaje mówić o podróży, tylko wraca do tego, co go najwidoczniej gnębi.

– Jesteś zmęczony – mówię.

– Tak, oczywiście, ale przede wszystkim martwi mnie, jak to będzie z małym.

– Jak to! – podrywa się Witek. – Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że nie zgadzasz się, aby został w domu.

– Nie, cóż znowu – tylko rozumiecie... myślę o was. Przecież musicie się uczyć, jak będzie z waszym czasem? Przy dziecku jest zawsze sporo roboty. Trzeba będzie to jakoś zorganizować. Poszukać niani czy wychowawczynie... Ja oczywiście będę pomagał. Będę robił zakupy i woził małego na spacer i w ogóle nawet mogę pracować. Przecież umiem to robić z czasów, kiedy Witek był mały...

– Fajnie, tato! O nic się nie martw. Poradzimy sobie – zapewniam.

– A twój egzamin! – przypomniał sobie naraz tata.

– Oj, nie strasz mnie teraz! Może zdam. Są tacy, którym to się udaje! (A czy ja będę wśród nich? – pomyślałam w popłochu. Ale gadam dalej, żeby podtrzymać tatę na duchu). I w ogóle jakoś to będzie. A poza tym co ty sobie, tatulu, wyobrażasz? Czy myślisz, że nie dawaliśmy sobie świetnie rady z małym, zanim wróciłeś? A w dodatku mały był wtedy chory...

– Był chory? – zaniepokoił się tata.

Teraz obydwójce uspokajamy go, że to już przeszło, już jest wszystko dobrze. Ponadto przypominamy, że przecież jeszcze istnieje tak wspaniała instytucja, jak pani Lodzia, która tak pokochała Adasia i jest gotowa poświęcić mu sporo czasu. Witek przytacza również szereg przykładów z życia, jak to paru jego kolegów, już żonatych, wychowuje swoje potomstwo w skromnych i trudnych warunkach akademików.

Tata nabiera więc nieco otuchy, a Witek dodaje.

– Wiesz co, tato? Zdaje mi się poza tym, że powinienesz jednak ożenić się. Z jakąś niebrzydką i niegłupią dziewczyną... Bo jeśli będziesz się długo namyślał, to się zdenerwuję i sam się ożenię, jako kawaler z dzieckiem.

Tata nareszcie odzyskuje pogodę ducha.

– No, to jest niezła myśl, synku.

– Ale oczywiście jeden warunek – żeby to była odpowiednia dziewczyna.

– Otóż to! – mówi tata. – Odpowiednia dziewczyna!

Wstajemy od stołu, Witek obejmuje tatę ramieniem i tak we trójkę idziemy do jego pokoju, aby uroczyście wypić kieliszek wina za zdrowie najmłodszego Prandoty.

A ja? – zastanawiam się przez chwilę. – Czy mogłabym być dla kogoś odpowiednią dziewczyną?

Może bym nawet wiedziała, dla kogo, ale te rozważania odkładam na kiedy indziej. Na razie wypijam kieliszek wina i jestem szczęśliwa.